

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



Patrz III str. okładki

# 3

(55) 2008

W 65. rocznicę ludobójstwa ♦ O Stachu z Zamarstynowa ♦  
Lwowskie fortyfikacje ♦ O przodkach i swoim życiu opowiada  
prof. Czarnik ♦ L. Sawicki wspomina Klub Kwitnącej Wiśni,  
a prof. Węgrzynowicz kolonie w Tuchli ♦ Ulicę Ormiańską  
przedstawia T. Olszański ♦ Słownik ♦ Książki ♦ Kronika

## DWIE RÓŻNE DROGI

Czytelnikom (i nie tylko), którym bliska jest problematyka historii i kultury Ziemi Wschodnich – czyli ogromnej części obszaru i dziejów naszego Kraju i Narodu – należy się wyjaśnienie w związku z wiadomością, jaka przeszła przez media w ostatnich paru miesiącach, a dotycząca likwidacji (formalnej czy faktycznej) tzw. „Instytutu Kresowego” w Warszawie. Od razu na wstępie chcemy powiadomić, że fakt ten nie ma żadnego związku z postulowanym przez nas Instytutem Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich. Po prostu dotyczy czego innego.

Czytając te słowa pamiętają zapewne, że z naszego kręgu „Cracovia-Leopolis” wypłynęła przed czterema laty idea powołania do życia instytutu o charakterze naukowo-badawczym, archiwalno-muzealnym, wydawniczym. Zyskaliśmy poparcie ponad tysiąca prominentnych osób, nie tylko ze środowiska TMLiKPW, ale przede wszystkim wielu profesorów, działaczy państwowych i samorządowych, duchownych, artystów i innych znanych postaci z całego Kraju. Przygotowaliśmy wyczerpujący program działania instytutu, wytypowaliśmy zagadnienia warte podjęcia na samym wstępie...

Założyliśmy jednak, że instytut taki nie może zacząć działalności samodzielnie – musi zyskać oparcie o instytucję naukową lub inną obiektywną placówkę o charakterze historycznym. Nie można wszak rozwinąć szerszej działalności naukowej „z marszu”, w oderwaniu od doświadczonej kadry naukowców, i bez zaplecza organizacyjnego. Nasze dążenia skierowaliśmy do dwóch poważnych instytucji, chronologicznie: do Muzeum Niepodległości w Warszawie, przy którym istnieje od lat „Kolekcja Leopolis” oraz inne zbiory poświęcone ważnym miejscom naszej historii i kultury na Wschodzie (Krzemieniec!), a nadto organizowane są liczne wystawy poświęcone regionom Ziemi Wschodnich. Drugą instytucją było Ossolineum we Wrocławiu, czego wyjaśniać nie trzeba. Ta druga ścieżka jednak nie otworzyła nam optymistycznych perspektyw.

Przyszłość łączymy przeto z Muzeum Niepodległości. Ostatnio – o czym piszemy w tym numerze – odbyły się tam I Muzealne Spotkania z Kresami, rozpoczynając tym samym budowę systemu informacji, za którymi pójdą zapewne kolejne – przede wszystkim jednak zmierzając do integracji środowiska, związanego z historią i kulturą Kresów.

\* \* \*

Nasza idea, a zarazem jej powolny zrazu rozwój spowodowały w ostatnich paru latach całą serię prób tworzenia podobnych „konkurencyjnych” placówek. Doliczyliśmy się ich szczęściu (w samej Warszawie czterech), z tego jednak pozostała dłużej jedna – tzw. „Instytut Kresowy”, utworzony w 2006 r. przez działaczy PiS w Radzie Miasta Warszawy, zapewne (jak słyszeliśmy) zainicjowany przez prezesa *stołecznego* oddziału TMLiKPW. Organizatorzy nie pokazali żadnego sensownego programu i w żaden sposób nie próbowali porozumieć się z nami, skorzystać z naszych propozycji programowych, a także doświadczeń (również negatywnych). Wiedzieliśmy o nich tyle, co z wycinków z warszawskich gazet, przysyłanych nam jako ciekawostki przez znajomych. Mieli za to lokal, stoły, krzesła...

Dość istotna i brzemienista w skutki zmiana na warszawskim Ratuszu doprowadziła „Instytut Kresowy” do katastrofy. Uznano go za niepotrzebny w Warszawie, mimo że organizatorzy usiłowali włączyć go w życie kulturalne miasta, zaniedbując zarazem sens tej placówki jako instytutu naukowego. Odebrano im też udzielone wcześniej fundusze.

W ostatnich dniach przed ostatecznym upadkiem, dotychczasowa dyrekcja IK zwróciła się do szeregu osób w Kraju – w tym do niżej podpisanego – z zaproszeniem do „Rady Instytutu Kresowego” (odpowieź była negatywna), jednak niebawem dyrektor, p. R. Wyszyński został zdjęty ze stanowiska, a powołano nowego (podobno b. prezesa Aeroklubu). Nic się jednak dalej nie dzieje.

Piszemy o tym dlatego, że niektórzy Czytelnicy myślą *casus warszawski* z naszym projektem. Ale jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

Andrzej Chlipalski

## MIASTO JAK BRYLANT... (3)

Przychodzi mi na myśl jedno nigdy niezapomniane przedstawienie. Młodzież Lwowa ukończyła właśnie zaciąg. Nowo uformowany pułk gotował się do wymarszu. W przeddzień wyruszenia teatr był przepelniony. Nie brakło tam nikogo z młodych powstańców. Szła polska sztuka z muzyką, w kostiumach narodowych i ze śpiewami. W ostatnim akcie prawie każdy z obsadzonych aktorów miał zaśpiewać kuplet związany w jakiś sposób z chwilą obecną, a teksty do tych piosenek kreśliło się pośpiesznie już w czasie trwania przedstawienia. Reżyser odczytywał wierszyki, aprobując je lub poprawiając. Były tam słowa pożegnania i życzenia pomyślności, a także odwołujące się do patriotyzmu apele, mające zagrać młodych do bohaterstwa. Młodociągnięcia ochotnicy przyjmowali z radością każdą zwrotkę, aktorzy śpiewali dławiąc się łzami, między sceną a widownią nawiązała się taka nić sympatii, że gdyby nie rampa, wszyscy padliby sobie w objęcia. Coś wielkiego, wzniosłego i rozzdzierającego serce było w widoku wszystkich młodych, zapalczewych twarzy, w większości jeszcze dziecięcych, bez śladu zarostu na górnej wardze czy brodzie, szaleńców rzucających się na ślepo w wir walki i niewątpiących ani na chwilę, że oswobodzenie zależy wyłącznie od ich odwagi i że jutrzienka wolności jest bliska.

Helena Modrzejewska, *Wspomnienia i wrażenia*, o 1863

Jeszcze nie zwiedziłem Lwowa, ale z wierzchu nawet miasta i z wnętrza hotelu sądząc – to porządny gród. Teraz żałuję, że tu nie posiedziałem połowy zimy... Kamienice, jak się patrzy, ulice „kichy wylizoł”, ludzie uprzejmi, ale nie „całujący rączek” i nie „padający do nóg pana bdzieja”. Tak z wierzchu Lwów robi wrażenie, żeby nie zełgać, Monachium. [...] Lwów – to śliczne miasto. Nie przypuszczałem, aby taki Lwów, który byle jaki Niemczyzna nazywa sobie od niechcienia Lembergim – mógł istnieć u nas. Bez żadnego wątpienia ładniejszy jest niż Kraków, a prawie tak ładny jak Praga. Jest to w całym znaczeniu tego wyrazu miasto europejskie, piękne, czyste (o tyle, o ile nie patrzy się na Żydów), urozmaicone, ciekawe dla zwiedzających i żywotne, jako stolica kraju (w znaczeniu austriackim tego wyrazu) – tylko nie fabryczne.

Stefan Żeromski w liście do narzeczonej, 13 kwietnia 1892

Dziś rano o 9-tej przyjechałam, witana na dworcu przez deputację akademicką z bukietem fiołków i konwalii w ręku. [...] Ty wiesz, jak ja Lwów lubię, więc to wytchnienie dla mnie po nudach krakowskich.

Gabriela Zapolska w liście do Ludwika Szczepańskiego, 17 marca 1899

W ostatnich czasach czytałem kilkakrotnie w dziennikach lwowskich, że Kraków otrzymał lub otrzyma później od ofiarodawców naszego grodu rozmaite zbiory, niektóre z nich wielkiej wartości artystycznej i historycznej. Składają się na nie druki stare i bardzo cenne, obrazy, sztychy i rysunki, najrozmaitsze przedmioty, wchodzące w zakres starożytności i dawnego przemysłu artystycznego, wielka i jedyna w swoim rodzaju kolekcja pamiątkowych fotografii itd. Ma więc przejść od nas do Krakowa znaczna ilość przedmiotów z liczby tych, które stanowią największą ozdobę każdego miasta, szerzą zamiłowanie do piękna i sztuki, a o ile są to dawne rzeczy polskie, niecą uczucia patriotyczne, wywołując wspomnienia z czasów potęgi i chwały.

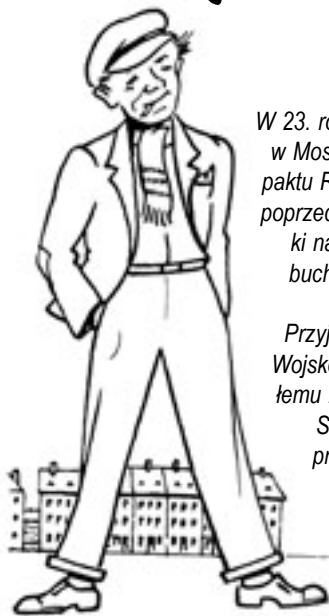
Wieści powyższe nasuwają pewne myśli i uwagi, których niepodobna ani usunąć od siebie, ani stłumić. Czy naprawdę i w przyszłości mamy dążyć do tego, ażeby we Lwowie nic nie pozostało? Ażeby Lwów zamiast wzbogacać i pomnażać swoje zbiory sztuk pięknych i pamiątek historycznych, tracił to, co dotychczas jeszcze posiada?

Bolesław Czarnik. *A cóż dla Lwowa?*, 1906

William Bolesław Kierzyk

# STACH Z ZAMARSTYNOWA

*Opowieść o lwowskim batiarze*



*W 23. rocznicę podpisanego w Moskwie gangsterskiego paktu Ribbentrop-Mołotow, poprzedzającego zdradziecki napad na Polskę i wybuch krwawej w dziejach II wojny światowej. Przyjacielowi z 2 Szpitala Wojskowego w Penley, bytemu żołnierzowi 3 Dywizji Strzelców Karpackich, przebywającemu „czasowo” w Londynie.*

*Chicago,  
1 września 1962 r.,  
„Książę”*

Widywali go ludzie przeważnie wieczorem w Pasażu Mikolascha, tuż obok apteki, od strony Kopernika – gdzie mrużąc powieki, z jakimś wprost nadzwyczajnie beztrojskim humorem, zachwalał smuglowane z Wiednia zapalniczki – lub wspañiale żyletki znanej firmy „Polo”, które – jak gwarantował – ponoć „same gołą”, i przeważnie prawdziwe podwójne kamyczki zagranicznej produkcji, pochodzące z Pragi... Czasami – zachowując pozory powagi, otoczony półkołem przygodnych słuchaczy – niezwykłe drobniagowo i zrećnie tłumaczył chemiczny skład „kogutka”, przeciw bólowi głowy, lub odsuwając z czoła kapelusz pilśniowy – oferował klientom kiepską sacharynę, pastę do butów „Erdal” oraz lep na muchy...

Czasem wsparty o ramię sklepowej witryny obok kina „Uciecha” – niespokojnym ruchem odwracał się na pięcie i zerkał z ukosa na wężące patrole czerwonej milicji. Opuszczał wówczas pasaż – stawał na ulicy – zapalał mechanicznym ruchem papierosa i z cierpkim półśmiechem na zgaszanej twarzy szedł po starym, wytartym trotuarze, licząc bezwartościowe sowieckie pieniądze.

Często zniknął z pasażu na długie miesiące wynosząc się na „paryż”, za Wielkim Teatrem – gdzie w mocno wyświechtanym i podszytym wiatrem przeniecowanym palcie, uwijał się w tłumie brodatych handelesów – błądząc wśród straganów, zawalonych nadżartą przez mole starzyzną... Czasami – przygnieciony codzienną szarzyzną – zatrzymywał się dłużej i patrząc w zadumie na pstrokaciznę wzorów perskiego dywanu wymienianego z trudem za worek kartofli – przez milczącą niewiastę, stojącą bezradnie z filcową parą męskich domowych pantofli, pozostałych po mężu – kłął w duchu szkaradnie i wymyślał pod nosem na „rządy” tyrana.

Waleśał się na „czarnej giełdzie”, na Rejtana w pobliżu Bagateli, tuż przy Jagiellońskiej – gdzie fiakry stały rzędem i gdzie odór koński zmieszany z aromatem francuskiej perfumy stwarzał rodzaj intymnej swojskiej atmosfery... Gdzie sfalszowany paszport kosztował fortuny, a wśród „handlowo wyżej postawionej” sfery notorycznych paserów, trampów, rzeźmieszaków – ustalano kurs złota – gdzie powiedzmy z sieczką dla dorożkarskiej szkapy wychudłej i starej – przeliczano na ruble marki i dolary... Gdzie sprawdzano typ szlifu i wartość w karatach szacowanych brylantów czy drogich kamieni i gdzie w nie przewietrzanej zaśmieconej sieni w tajemniczym półmroku półotwartej bramy, wulgarnie wystrojone kokoty z półświatka – otwierając co wieczór z grzechem swoje kramy, naprzykrzały się rzadkim, spóźnionym przechodniom.

Zjawiał się regularnie jeden raz w tygodniu na placu Unii Brzeskiej, między sitwesami z czarnorynkowej branży – zawierał umowy i pośród ceregieli natury handlowej, szeleszcząc obrazkowo barwnymi rublami – powtarzał podsłuchane na Rynku kawały, kawiarniane dowcipy, dorożkarskie żarty bogate w jędrne słówka – cięte i zuchwałe – w których cwaniacy w sposób szczerzy i otwarty nabijali się głośno z sowieckiej „kultury”, wyśmiewając Azjatów w cudacznych fufajkach!

Często – stojąc u wejścia do „Manufaktury” w formujących się długich ogonkach Na Bajkach, rozpędzanych „fachowo” co nocy kolbami – zastanawiał się nie raz długo, godzinami nad czerwoną utopią – zlorzeczając

Moskalom...!

A na drugi dzień rano – zły i niewyspany, z kilkunastu metrami lichego perkalu – szedł pomiędzy stoiska i puste stragany, próbując wycygnąć u wiejskiej babiny poleć przeszarcowanej w koszyku słoniny...

Stach mieszkał za rogatką, na Zamarstynowie, na rozbitym poddaszu – hen na krańcach miasta – przy jednej z malowniczych uliczek we Lwowie, gdzieś koło Balonowej, w okolicy Piasta za torem – który skręcał na Podzamcze łukiem gubiąc się wśród zieleni między ogrodami, gdzie lwowska wiosna kwitła przepyszными bzami, gdzie urywał się asfalt – kończyły się bruki – a uliczne latarnie znajome i swoje, oplecione błękitnym kwitnącym powojem – słuchały z wzrastającym każdej nocy lękiem obco brzmiącej plugawej piosenki...

...Gryzł się Stach, zastanawiał, nie sypiał nocami – zeszczipiał, wymizerniał i wysechł jak szczapa... i często gdy świt budził wróble na okapach, gdy bezdomne gołębie całymi stadami sfruwały na budzące się miejskie podwórza – w batiarskim wiernym sercu budziła się burza i gniew rumieńcem płonął na bładych policzkach...! A kiedy pewnej nocy w uśpionych uliczkach zjawily się sowieckie kryte ciężarówki – kiedy serią z pepeszy strzaskane dachówki waliły się z loskotem w głąb zdziwionych ulic... Wyskoczył do ogrodu – tak jak stał w koszuli i z duszą na ramieniu dopadł do parkanu, przeskoczył zwinnie, przywarł do ziemi – a rano nim słońce ozłociło lwowskich świątyń wieże, nim brzask zajrzał do okien pustej kamienicy – pożegnał wierne miasto, popłakał się szczerze i poszedł ku węgierskiej gościnnej granicy...

Wiatr smagał twarz tułacza – czas pogłębiał rysy, zaczęły się dni ciężkiej mitręgi, niedoli...

Oliwny gaj zapraszał – szumiały cyprysy – zamiast lwowskiej „czeremchy”, zakwitł krzew

magnolii

i w miejsce koronkowej z Kajzerwaldu brzozy, do której wiosną tęsknił w księżycowe noce – pojawiły się palmy wysmukłe i obce, a egzotyczny zapach tiulowej mimozy zablądził wraz z serdeczną żołnierską tęsknotą

do spłowiących od słońca wojskowych namiotów... Pustynny skwar dokuczał – piaskiem kłuło w oczy, arabski hamsin szalał na umarłych wydmach – zatykał oddech, dławił, oślepił, zamroczył i zacierając każdy ślad stopy Pielgrzyma, poprzez miejsca postojów – gnał w bojowym szyku ku jasnemu lazurówemu brzegom Adriatyku...

Bryznęło rudym tynkiem, ogień buchnął płowy, świat zawirował w oczach – poniosły go nogi... Stach poleciał z chłopcami kwiecistym odlogiem przez zapory i bunkry, przez pola minowe, byle bliżej do domu, do swoich – do Polski...! Byle pomścić na wrogu zaborczym i butnym krwawy wrzesień w Bydgoszczy, tragedię pod Kutnem – by krzyżackim najeźdźcą zapłacić ołowiem pod Ankoną – za zbrodnie w Poznaniu, w Krakowie, za kaźnie Radogoszczy, lochy Mokotowa – A z Ankony... z Ankony już blisko do L w o w a !

Stach nie wrócił do Polski – został za granicą – inny świat się wylaniał z wojennych fermentów... Fiasko Jałty publiczną było tajemnicą – A Kresy Wschodnie padły łupem appeasementów, makabrycznych pomyłek – politycznych kantów...! Ów „sweet home” anglosaskich zwycięskich aliantów, nie zastąpił „chawiry” – nie przypomnieli domu – a w kraju, zagrożonym chaosem przelomów, daremnie wyciągając okrwawione dłonie – dogorywał rycerski mit „natchnienia świata”.

Żołnierski sen się przysnił, wypłowił po latach – czas osrebrzył przedwcześnie siwiejące skronie... Zostały tylko szare dni znaczone troską, żal, inwalidzka renta – ciepłe ludzkie słowa – Virtuti Militari za kampanię wiosną i szczerozłote serce – tęskniące do Lwowa!

*Od redakcji: wartość powyższego poematu – choć nie pretenduje on do szczególnie walerów poetyckich – polega na dramatycznym przedstawieniu tragedii i losów lwowianina (a również dobrze każdego innego Polaka z okupowanych Ziemi Wschodnich) po wrześniu 1939 r. Wiersz ten, napisany przez W.B. Kierzyka w 1962 r., znaleźliśmy w materiałach pozostałych po śp. dr. Tadeuszu Krzyżewskim, a wedle odręcznej notatki T. Krzyżewskiego na maszynopisie, Kierzyk w 1996 r. miał 74 lata, mieszkał w USA (w Atlancie?).*

# UCZCIJMY GODNIE PAMIĘĆ OFIAR OUN-UPA

Zbliża się 65. rocznica największego nasilenia eksterminacji (ludobójstwa) ludności polskiej Kresów Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej. Dokonała jej Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) przy użyciu swoich zbrojnych watah tzw. Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). Będziemy ją obchodzić 11 lipca, kiedy to w 1943 r., w niedzielę, miało miejsce apogeum zbrodni: OUN-UPA mordowała wówczas polską ludność Wołynia w ponad 160 miejscowościach powiatów włodzimierskiego, horochowskiego, łuckiego, kowelskiego. Kresowianie, świadkowie rzezi bezbronnej ludności oraz ich dzieci i wnukowie obchodzą 11 lipca jako dzień żałoby po dziesiątkach tysięcy bestialsko wymordowanych Rodaków, głównie dzieci, kobiet i starców.

Od wielu lat Kresowianie domagają się, proszą, błagają, by ofiary OUN-UPA również były traktowane przez nasze elity podobnie jak ofiary holocaustu, zbrodni katyńskiej, jak wszystkie ofiary wojennego i okupacyjnego terroru. Tym razem Kresowianie mają nadzieję, że polskie władze państwowe i samorządowe, z Panem Prezydentem Rzeczypospolitej na czele, najpoważniej potraktują wielką narodową tragedię kresowej ludności polskiej. Pochłonęła ona dziesiątki tysięcy bezbronnej ludności od niemowlęcia do starca, wymordowanej przez nazistowsko-hajdamacką OUN-UPA, gloryfikowaną teraz na Ukrainie. Jest to jedyny skandaliczny przypadek nobilitacji ludobójców w Europie po II wojnie światowej, kiedy i sam prezydent dekretami nakazuje społeczeństwu kult ludobójczej formacji. Niesłychany skandal! Ale i nasz stosunek do tego, co się za wschodnią granicą dzieje, kryje w sobie wiele paradoksów, bo milczymy wobec szerzącego się tam zła, akceptujemy je, wspieramy. Mało tego, ulegamy brutalnym naciskom ideowych spadkobierców OUN-UPA, tolerujemy ich brunatną propagandę i wierutne fałszowanie historii upokarzające świadków

banderowskiego ludobójstwa. Współcześni oounowcy z zuchwałym cynizmem żądają od nas, byśmy np. zrezygnowali z uczczenia pamięci Ofiar OUN-UPA, otaczanej przez nich fanatycznym kultem. Domagają się grożąc, byśmy ukraińskich kombatanów II wojny światowej, którzy przelewali krew wyzwalając Polskę, traktowali jako ideowych – banderowców – jako godnych czci i chwwały koalicjantów.

Kresowianie pragną godnie, uroczystie uczcić pamięć Rodaków, których spotkał tak niewyobrażalnie straszliwy los. Całkowitą rację ma prof. Ryszard Szawłowski twierdząc, że na Kresach miał miejsce *genocidium atrox*, genocyd okrutny, okropny, dziki, najstraszliwszy w latach II wojny światowej. Dniami i nocami przez rok i dłużej przeżywali tam Polacy ustawiczny niepokój, wyczerpujący psychicznie lęk o życie najbliższych i własne, a w obliczu strasznej śmierci – panicką trwogę. Widząc śmierć najbliższych – tracili zmysły. Tylko ludzie o dużej wrażliwości i empatii są w stanie wyobrazić sobie głęboki tragizm polskiej ludności kresowej. Gdy zaszczuci tracili nadzieję na ocalenie, modlili się o śmierć od kuli, bo była szybsza, bez długiej męki i straszliwego bólu, jaki najczęściej zadawali oprawcy pastwiąc się nad ofiarami. Jedna z 60 ofiar UPA w mojej wsi Radowiczach, pow. Kowel, szesnastoletnia Leokadia Daszkiewicz, gdy oprawcy przyszli zamordować rodzinę, zdażyła ukryć się pod żłobem w oborze. Znalaziono ją z wbitymi w ciało widłami, częstym wówczas narzędziem mordów. Irenka Kiciak z Jasińca, pow. Horochów, była śliczną blondyną, podziwianą we wsi, rodzice byli dumni z jej wyjątkowej urody. Bandyci z UPA znaleźli jej rodzinę w ukryciu, wyprowadzili na podwórze i bestialsko zamordowali. Młodszej siostrze Irenki, Fredzi, udało się ukryć w bujnym zielsku. Słyszała, jak mordowali rodziców i Irenkę. Zabijali ich łopatami i pałami. Irenka przeraźliwie krzyczała, bo oprawcy znęcali się nad nią. Po chwili w sąsiedniego zabudowania rozległ się rozzdzierający krzyk starszej siostry i pisk jej dziecka. Huknęły strzały i zaległa cisza. Zaraz po tym na podwórze wjechały sąsiadki, Ukrainki, ładowały na wóz rzeczy, łapały kury, gęsi. Tak się działo w setkach miejscowości na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Dla wielu jeszcze żyjących świadków

ludobójstwa, które pochłonęło 150 tysięcy, a może i znacznie więcej ludności, uroczyste żałobne nabożeństwo byłoby należnym, chrześcijańskim, symbolicznym pogrzebem. Ta ogromna liczba ofiar zasługuje przecież na szczególnie uroczyste nabożeństwo w Ich Stolicy, odprawione przez najwyższych naszych hierarchów kościelnych, a nie tylko na zdawkowy apel, nawet najbardziej uroczysty. Obchodziliśmy niedawno przez kilka dni 65. rocznicę powstania w getcie warszawskim, co roku czcimy pamięć poległych w powstaniu warszawskim, Ofiar Katyńskich oraz wielu innych martyrologii. I tak być powinno, bo taka jest nasza historia, którą powinniśmy przypominać również ku przestrodze różnych drzemiących demonów zła. Dlatego żadna narzucona nam *poprawność polityczna* nie może być przeszkodą w należnym, godnym uczczeniu pamięci ofiar ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA, zwłaszcza teraz, gdy na tzw. Ukrainie Zachodniej szerzy się kult formacji, która tego ludobójstwa dokonała. Żeby obchody spełniły swoje przeznaczenie, muszą uszanować pełną prawdę historyczną, a więc i godność eksterminowanego Narodu. Bez prawdy, jak nauczał Jan Paweł II, nie ma godności, a bez niej prawdy.

Obchody tej rocznicy nie mogą też ograniczyć się do Wołynia, bo eksterminacja (ludobójstwo) miała miejsce również na południowym Polesiu (ponad 1000 ofiar), w Tarnopolskiem, Stanisławowskiem, Lwowskiem i na wschodnich terenach Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny. W tych ostatnich dwóch województwach eksterminacja byłaby nie mniej okrutna niż na Wołyniu, gdyby nie zbliżająca się totalna klęska Rzeszy, sojusznika OUN-UPA, gdyby nie posterunki milicji, stacje WOP oraz pododdziały WP, które w końcu ukróciły bandycką samowolę banderowców. Operacja „Wisła” położyła kres doktrynalnej, programowej, ludobójczej depolonizacji, trwającej właściwie od września 1939 roku.

Kresowianie pragnęliby, żeby o treści i formie obchodów decydowały przede wszystkim organizacje kresowe, które mają liczący się dorobek w społecznym dokumentowaniu ounowskich zbrodni. Drastycznym nietaktem i niewybaczalnym kolejnym upokorzeniem Kresowian byłoby pominięcie tutaj Ogólnopolskiego Komitetu Obchodów 65. Rocznicy Ludobójstwa Dokonanego przez OUN-UPA

## Wspomnienie o wspaniałych lwowianach

*W CL 4/04 zamieszczono wspomnienie o śp. Marii Homme. Nie zawiera ono danych o ważnej Jej działalności, tj. świadczeniu i organizowaniu pomocy dla starych Polaków. Przez wiele lat wspólnie z mężem korespondowaliśmy z p. Marią oraz odwiedzali Ją we Lwowie.*

*Z listów wiadomo np. że dopóki pozwalały Jej na to siły, gotowała obiady prof. Gębarowiczowi, potem zaś organizowała przesyłanie z Polski leków i opatrunków dla dr. Mosinga, w czym w miarę możliwości pomagaliśmy.*

*W związku z ukazaniem się w CL 1/07 wspomnień o dr. Mosingu załączam list p. Marii Homme na temat ostatniego okresu Jego życia i organizowanej przez p. Marię pomocy.*

*Joanna Halaunbrenner-Lisowska, Kraków*

Kochani Joanno i Waclawie!

Często Was molestuję, lecz żal mi bardzo naszego 85-letniego Doktora. Dziś rozmawiałam z pielęgniarką Doktora w sprawie lekarstw. Maści są potrzebne i opatrunki. Wasza paczka pełna lekarstw i opatrunków bardzo się przydała. Z nieśmiałością, o ile to nie jest zbyt drogie, są proszeni o paczki lekarstw, gdy nadarzy się okazja. Podaję dużo nazw, ale Wy przysyłajcie jakąś tego część. Lekarstwa niektóre są bardzo drogie. Pielęgniarka, weterynarz trochę się krępuje, ale na wszelki wypadek ja podaję nazwy leków, maści, opatrunków.

Waszych opatrunków było b. dużo, ale z powodu dużych ran i odleżyn materiał opatrunkowy jest ciągle potrzebny. Wymieniam ich dużo – część znajdowała się w Waszych podarunkach. Wybierzcie niektóre tylko.

Gdyby na kopercie listu był polski znaczek, nie dziwicie się, znajomi z Polski zabierają listy, aby prędzej (dla nas taniej) doszły. Zdaje się, że mój ostatni list miał datę 15 V.

W ostatnich tygodniach kardynałowie z zochodu oglądali katedrę, ale nasz arcybiskup ciągle nie posiada rezydencji i często odmawia się zwrotu łacińskich kościołów czy kaplic.

Przesyłam jeszcze raz bardzo wdzięczne podziękowania oraz serdeczne pozdrowienia ze Lwowa.

Lwów, 6 VI 1995

*Maria*

*Od redakcji: Profesor-lekarsz i zarazem ksiądz Henryk Mosing zmarł w 1999 r. (ur. 1910), a prof. Mieczysław Gębarowicz w 1984 r. (ur. 1893). Pani Maria Homme zmarła w 2004 r. (ur. 1911).*

► na Ludności Polskiej Kresów Wschodnich czy Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów (SUOZUN), czy w ogóle Forum Organizacji Kresowych i Kombatanckich (FOKIK). SUOZUN ma olbrzymi dorobek organizatorski, publikacyjny i edukacyjny. Liczni działacze tych organizacji poświęcili wiele lat często benedyktyńskiego, społecznego trudu i pieniędzy ze skąpych nieraz emerytur dla upamiętnienia swoich bliskich, sąsiadów, znajomych. Nikt nie ma moralnego prawa narzucać tutaj cze- gokolwiek Kresowianom – ani Związek Ukra- ińców w Polsce, gloryfikujący ludobójców, ani sympatycy OUN-UPA, których w Polsce (zakonspirowanych) jest wielu, i nawet sam prezydent W. Juszczenko.

Ounowcy i ounofile rozpętali w Polsce i poza jej granicami bezprzykładnie cyniczną akcją propagandową przeciwko obchodom 65. rocznicy i Pomnikowi Ofiar OUN-UPA. Ounowska akcja protestacyjna przekracza wszelkie granice, przybiera ostatnio for- mę wprost chulikańskich wyskoków. Kilku dziennikarzy o dobrze znanych ounowskich poglądach, tolerowanych przez redaktorów naczelnych, w sposób skandaliczny, typowy dla pogrobowców ounowskiej ideologii, bez- karnie upokarza Kresowian. Według nich ci, którzy nie dali się zarznąć rezunom i teraz pragną godnie uczcić pamięć swoich Roda- ków, są ultranacjonalistami, szowinistami, a oni – demokratami (polskimi), troszczą- cymi się wyłącznie o poprawne stosunki polsko-ukraińskie. A tak naprawdę realizują tylko skandaliczną uchwałę OUN z 22 VI 1990, zobowiązującą swoich ludzi do nobi- litacji OUN-UPA. Niektórymi z nich powinna się zająć prokuratura, bo formacja ta była nazistowsko-hajdamacka, dokonała zbrodni przeciwko ludzkości.

Obchody 65. rocznicy mieszczą się w zupełności w kanonie etyczno-prawnym, religijnym, zawierającym obowiązki, prawa i zwyczaje religijne do pełnego, godnego uczczenia pamięci pomordowanych okrut- nie Rodaków, do upamiętnienia Ich w ry- gorach prawdy historycznej, a nie według *poprawności politycznej*, zwłaszcza w in- terpretacji OUN.

Pod pozorem układania przyjaznych sto- sunków polsko-ukraińskich ounowcy doma- gają się od nas takiej poprawności, ale sami do niej się nie stosują. Wprost przeciwnie:

gloryfikują zbrodniarzy z OUN-UPA, wprowa- dzają ich do narodowego panteonu, szerzą administracyjnie, nakazowo ich obłędny kult, brutalnie fałszują historię stosunków polsko- ukraińskich. W wyniku ounowskiej infiltracji mamy w kraju zafałszowane podręczniki hi- storii, encyklopedie, młodzież uczy się nie- prawdy o kresowych losach Polaków.

Mimo uzasadnionych obaw, wynikają- cych z przykrych doświadczeń, Kresowianie żywią jednak krzepiącą nadzieję, że obchody 65. rocznicy odbędą się z należną powagą, w duchu prawdy historycznej i z poszano- waniem godności również świadków rzezi. Mają również nadzieję, że nasz parlament uczci pamięć Ofiar słowem prawdy i chwilą ciszy, jak to jest w pięknym jego zwyczaju, nawet wobec pojedynczych osób. Złoży rów- nież należyne hołd bohaterskim Samoobromom Kresowym oraz oddziałom AK i BCh, które obroniły przed zagładą setki tysięcy ludności polskiej. Wyrazi wdzięczność tym Ukraińcom, którzy ratowali życie swoich pol- skich sąsiadów, płacąc nieraz życiem za ludzką postawę.

Tylko takie obchody tej bolesnej rocznicy spełnią nasz narodowy obowiązek uczczenia pamięci Ofiar *genocidium atrox*, dokonanego na naszych Rodakach. I tylko takie obchody, wierne prawdzie historycznej, mogą mieć po- zytywny wpływ na pogłębianie porozumienia i współpracy z bratnim, słowiańskim Narodem Ukraińskim, który w olbrzymiej swojej większości potępia ludobójstwo dokonane przez OUN-UPA, również na tysiącach Ukra- ińców, Rosjan, Żydów i zdecydowanie odcina się od sprawców wielkiej zbrodni.

Kresowianie, którym na takich obcho- dach zależy, będą za nie wdzięczni polskim władzom, zwłaszcza Panu Prezydentowi, że nie zawiódł ich serdecznych oczekiwań, w pełni uzasadnionych historycznie, praw- nie i moralnie.

Kresowianie chcą wierzyć, że Premier RP Donald Tusk nie rzuca słów na wiatr: *Polacy muszą dbać o prawdziwy obraz historii, tak aby nikt w Europie i na świecie nie zdołał jej zakłamać. Prawda jest jedynym fundamen- tem, na którym może powstać autentyczna przyjaźń i zrozumienie w tej części świata* (Stutthof, 10.05.2008).

*Notkę biograficzną Autora zamieściliśmy w CL S/2000*





Marta Walczewska

## Siostra Marta Wiecka (1874–1904)\* szarytka wyniesiona na ołtarze

Ta młoda Siostra, która w swym krótkim 30-letnim życiu – w tym 12 lat w zakonie, a tylko dwa lata w Śniatynie – zdążyła osiągnąć świętość i zasłużyła na cześć, którą oddają Jej mieszkańcy tego kresowego miasteczka już ponad 100 lat. Zwracają się też do Niej z ufnością mieszkańcy Jej stron rodzinnych, położonych w dawnym zaborze pruskim.

Uroczystości beatyfikacyjne w dniu 24 maja 2008 we Lwowie w Parku Kultury zgromadziły liczne rzesze wiernych, w tym około 1000 Polaków przybyłych z różnych stron RP. Mszy świętej przewodniczył kardynał Tarcisio Bertone, Sekretarz Stanu Stolicy Apostolskiej, a obok kardynała Mariana Jaworskiego i koadiutora biskupa Mieczysława Mokrzyckiego przy ołtarzu zgromadzili się biskupi z Polski i Ukrainy. Nad ołtarzem umieszczono napis w dwóch językach: *Miłość Chrystusa Ukrzyżowanego przynagla nas*. Kardynał Marian Jaworski, metropolita lwowski, podziękował Ojcu Świętemu Benedyktowi XVI za

### LIST KSIĘDZA PROBOSZCZA Rzymskokatolickiej Parafii pw. św. Walentego w Kałuszu

Do Prezesa Stowarzyszenia Chóru  
Mariańskiego, Dyrygenta oraz wszystkich  
Członków Chóru w Krakowie

W roku 1993, pracując już w Parafii Narodzenia NMP w Dolinie, zebrałem garstkę wiernych w Kałuszu i po usilnych staraniach udało nam się zarejestrować parafię i otrzymać w tymczasowe użytkowanie budynek dawnej plebanii, znajdujący się niedaleko kościoła. W tym czasie nasz kościół był przekazany do użytku wiernym obrządku prawosławnego, którzy mimo usilnych naszych starań nie chcieli nam go oddać. Przez 8 lat trwały „rozmowy”, zanoszone prośby i modlitwy do Boga o interwencję. Nasze wołanie zostało wysłuchane w Wielką Sobotę 1994 r. (i jednocześnie w dzień moich urodzin). Całą Wielką Sobotę sprzątaaliśmy kościół, aby móc

pierwszą rezurekcyjną mszę św. sprawować w naszym kochanym kościele. Atmosferę, jaka towarzyszyła temu wielkiemu wydarzeniu, trudno opisać słowami. Łzy radości płynęły strumieniami i rzeczywiście ten dzień był dla nas dniem Zmartwychwstania Chrystusa i Kościoła.

Kościół znajdował się w oplakany stanie. Dach pokryty starą pobitą dachówką, wieży kościoła nie było, bo ją rozebrano, okna zamurowane i mające odpowiedni wygląd dla sali sportowej, ściany obdarte, a wewnątrz – prezbiterium podzielone na dwie kondygnacje, nawa główna zamieniona na boisko do gry w koszykówkę, chór zamurowany i przystosowany dla potrzeb podnoszenia ciężarów, w nawach bocznych znajdowały się toalety, łazienki i sauna. Można by tak jeszcze wiele mówić, do czego doprowadziły ten kościół minione czasy. Na wiosnę przystąpiliśmy do ciężkiej i bardzo kosztownej pracy przy odbudowie zrujnowanej naszej świątyni. Dzisiaj minęło już ponad osiem lat mozolnej i niełatwej pracy. Wszyscy na miarę

► dar beatyfikacji. Homilię wygłosił w języku włoskim kardynał Bertone. Mówił o S. Marcie, której grób stał się symbolem jedności i dialogu ekumenicznego. Jej życie to była miłość do każdego cierpiącego człowieka, w którym widziała Chrystusa. Ewangelię odśpiewali diakoni – rzymskokatolicki po polsku, grekokatolicki po ukraińsku. Modlitwa wiernych była czytana po polsku, angielsku, rosyjsku, francusku i hiszpańsku. Dary Ołtarza były niesione przez siostrę szarytkę, ubraną w dawny strój zakonny, z dużym białym kornetem, jaki nosiła bł. Siostra Marta, oraz przez przedstawicieli licznie przybyłej rodziny Błogosławionej. Kardynał Jaworski otrzymał w darze od Ojca Świętego ornat i mitrę biskupią. Liturgiczne wspomnienie bł. Marty będzie obchodzone 30 maja, w dniu Jej odejścia do Nieba.

Następnego dnia, w niedzielę 25 maja, odbyły się uroczystości w Śniatynie, miasteczku położonym na granicy Bukowiny (dawnej granicy Rzeczypospolitej). Przed wojną Śniatyn był zamieszkały w dużej mierze przez Ormian. Kościół z XIX wieku po wojnie został zamieniony na kuźnię i warsztat samochodowy. W latach 90. XX wieku zwrócono go wiernym w stanie zdewastowanym. Obecnie w wyremontowanym wnętrzu króluje kopia obrazu Matki Boskiej Śniatyńskiej. Białe, tylko otynkowane wnętrza nie posiada żadnego wyposażenia. Kościół jest jednak piękny w swojej prostocie.

W tym to miasteczku na cmentarzu znajduje się grób bł. Siostry Marty Wieckiej, od ponad 100 lat nawiedzany przez ludzi różnych wyznań. Tu przychodzili modlić się w czasach wojny i komunizmu, kiedy kościół był zamknięty, tu wyprasali liczne łaski, wierząc we wstawiennictwo S. Marty. Grób pełnił rolę Świątyni. Zawsze były tu kwiaty i światła, haftowane ręczniki, zawieszane na krzyżu.

W niedzielne przedpołudnie na stadionie przylegającym do cmentarza była sprawowana msza św. Tak jak poprzedniego dnia we Lwowie – zgromadzili się przy ołtarzu liczni dostojnicy kościelni. Liturgia była odprawiana w języku polskim i ukraińskim, a w części po łacinie. *Te Deum* odśpiewali zebrani po polsku i ukraińsku.

Po sprawowaniu liturgii na stadionie odbywały się występy zespołów regionalnych i chórów. Przygotowano też posiłek dla wszystkich. Wieczorem zaniesiono procesjonalnie obraz bł. Siostry Marty do kościoła, gdzie został umieszczony w kaplicy.

Inicjatorem otwarcia procesu beatyfikacyjnego był ks. prof. Stefan Ryłko, który przypomniał Siostrze Szarytkom osobę Siostry Marty. Ogromne są zasługi ks. kardynała Mariana Jaworskiego w doprowadzeniu procesu do końca.

\* O Siostrze Marcie Wieckiej pisaliśmy w CL 2/08.

► swoich możliwości wkładali i wkładają serce i z utęsknieniem czekają dnia, kiedy znowu w odremontowanym kościele będą mieli możliwość zanosić gorące prośby do swojego Ojca w niebie. Do tej pory udało nam

się: wybudować nową wieżę, pokryć dach kościoła nową blachą, wyburzyć wszystkie dobudowane przez wcześniejszych użytkowników ściany działowe, założyć nową instalację elektryczną, oczyścić sufit kościoła, jego wnętrza i odrestaurować dekoracyjne gzymsy, otynkować kościół na zewnątrz i pomalować fasadę kościoła, zrobić odpowiednie odwodnienie – drenaż, zakupić nowe oświetlenie (żyrandole, kinkiety itp.) i wybudować piękny ołtarz główny. Obecnie trwają prace związane z porządkowaniem terenu na zewnątrz świątyni (chcemy zrobić odpowiednią opaskę krawężnikową wokół kościoła i wyrównać teren, tak aby uroczyste procesje wokół kościoła mogły odbywać się normalnie. Na wiosnę w 2008 roku, po Wielkanocy,

Kościół w Kaluszu



*Dokończenie na s. 72*



Oskar Stanisław Czarnik

# Tradycje rodzinne i moje życie

**P**ochodzę ze Lwowa. Urodziłem się tutaj 27 grudnia 1937 r.

Moim pierwszym miejscem zamieszkania był dom przy ówczesnej ulicy Rewakowicza na Górnym Łyczakowie, w parafii kościoła św. Antoniego.

Mój pradziadek Jakub Czarnik był aptekarzem w Bóbrce pod Lwowem, a dziadek Stanisław Czarnik lekarzem-pediatrą w Szpitalu Łyczakowskim. Jego brat Bronisław pracował przez 40 lat w lwowskim Ossolineum jako wicekustosz, później kustosz, zarazem kierownik działu. Obaj zostali pochowani na Cmentarzu Łyczakowskim (pole 15), natomiast na Cmentarzu Orłąt spoczywa ich brat, adwokat Kazimierz Czarnik, współorganizator lwowskiego „Sokoła”.

Czarnikowie byli blisko spokrewnieni z lwowskim odgałęzieniem rodziny Żulińskich. Na Cmentarzu Łyczakowskim (pole 72) spoczywa moja babcia, Teresa z Żulińskich Czarnikowa (żona Stanisława Czarnika). Pochowano tu wcześniej jej ojca – Józefa Żulińskiego. Był to powstaniec z lat 1863–1864, później dyrektor średniej szkoły żeńskiej we Lwowie, założonej przez Siostry Benedyktynki Ormiańskie. Tablica ku jego czci znajduje się w krużgankach katedry ormiańskiej we Lwowie. W sąsiednim grobowcu spoczywają bracia Józefa: ks. Kazimierz Żuliński i lekarz Tadeusz Żuliński (senior), również powstańcy styczniowi. Tadeusz (senior) był przewodniczącym Komisji Higieny w Radzie Miasta Lwowa. Uhonorowano go tablicą w kościele Dominikanów. Warto dodać, że dawni powstańcy styczniowi przybywali do Galicji w znacznej liczbie po przyznaniu jej autonomii w 1867 r. Żulińscy porzucili wówczas mało gościnny dla nich Zachód, by zamieszkać w przyjaznym i patriotycznym Lwowie. Inaczej ułożyły się losy ich brata – Romana Żulińskiego. Był to na-

uczyciel matematyki w Radzynie i Warszawie, a zarazem dyrektor tajnej poczty polskiej w czasie Powstania Styczniowego. Zginął jako członek Rządu Narodowego na szubienicy 5 sierpnia 1864 r. na stokach cytadeli warszawskiej wraz z Romualdem Trauguttem, Janem Jeziorańskim, Rafałem Krajewskim i Józefem Toczyskim. We Lwowie uczczono ich pamięć z pietyzmem, o czym świadczy pomnik w kwaterze Powstańców z lat 1863–1964 na szczycie wzgórza na Cmentarzu Łyczakowskim.

W grobie Teresy z Żulińskich Czarnikowej spoczywa też jej brat – Tadeusz Żuliński (junior). Urodzony już we Lwowie, skończył tu studia medyczne. Wstąpił jednocześnie do PPS i Związku Walki Czynnej. W sierpniu i wrześniu 1914 r. był osobistym adiutantem Józefa Piłsudskiego, na którego polecenie przekradł się przez front niemiecko-rosyjski i założył na tyłach armii rosyjskiej konspiracyjną Polską Organizację Wojskową. Był jej pierwszym komendantem. Po wyparciu wojsk rosyjskich z tzw. Królestwa Polskiego w 1915 r. dołączył już jawnie na czele Batalionu Warszawskiego POW do I Brygady Legionów J. Piłsudskiego. Zginął w bojach przeciw armii rosyjskiej na Wołyniu. Po kilku miesiącach, w 1916 r., pochowano go we wspomnianym grobowcu we Lwowie.

**W**arto jednak powrócić do rodziny Czarników i bliższych już zdarzeń. Mój ojciec Leszek Czarnik (syn Stanisława i Teresy), urodzony we Lwowie, skończył tu studia medyczne. Przed wybuchem II wojny światowej był lekarzem w Przychodni Kolejowej we Lwowie. Działal jednocześnie w Związku Harcerstwa Polskiego. Wchodził w skład Komendy Chorągwi Lwowskiej. Opiekował się tzw. drużynami kolejowymi, które tworzone wówczas wokół większych stacji PKP na ziemiach południowo-wschodnich II Rzeczypospolitej. Leszek Czarnik współredagował też wychodzące we Lwowie czasopismo „Skaut”. Był to najstarszy polski periodyk

harcerski. Powołał też zastęp starszoharcerski „Argonautów”.

Moja matka Halszka (z domu Chmielowska) urodziła się za Zbruczem, a więc w zaborze rosyjskim. Jej rodzina aż do 1920 r. zamieszkiwała w Kamieńcu Podolskim oraz w okolicach tego miasta.

Po wybuchu II wojny światowej i po zajęciu Lwowa przez wojska sowieckie Leszek Czarnik był współzałożycielem Polskiej Organizacji Walki o Wolność. Miała ona oczywiście charakter konspiracyjny. Działała we Lwowie i na ziemiach południowo-wschodnich ówczesnej Rzeczypospolitej. Po pewnym czasie organizacja ta weszła w skład harcerskich Szarych Szeregów. Leszek Czarnik reprezentował podziemie harcerskie w lwowskiej Komendzie Związku Walki Zbrojnej. Aresztowany przez NKWD w 1940 r, został przewieziony z więzienia zamarstynowskiego we Lwowie do Moskwy, na Łubiankę. Skazano go na śmierć, a w trzy tygodnie później został tam rozstrzelany. Po upływie miesiąca skazano na śmierć i rozstrzelano w Kijowie kilku lwowskich działaczy konspiracyjnych, bliskich współpracowników Leszka Czarnika. Były to następujące osoby: ksiądz Jerzy Jaglarz (doktor prawa kanonicznego), Mieczysław Gruszkowski (prawnik), Czesław Gattowski (inżynier), Helena Klecan (urzędniczka). Nie wiem, co się stało z inż. Janem Kolbuszewskim, byłym wiceprezydentem miasta Lwowa, wywiezionym w głąb ZSRR. Inny przyjaciel i współpracownik konspiracyjny mego ojca, dr med. Tomasz Poratyński (pracownik naukowy Uniwersytetu Jana Kazimierza), został zamordowany przez NKWD w lwowskich Brygidkach około 28 czerwca 1941 r.

**P**odczas pierwszej okupacji sowieckiej (miałem wówczas trzy lata) moje babcie Teresa z Żulińskich Czarnikowa oraz Łucja Żulińska ukrywały mnie przed wywózką u krewnych i znajomych. Powyższa obawa nie była bezpodstawna. Po aresztowaniu mego ojca enkawudyci wezwali na przesłuchanie moją matkę. Szantażowali ją groźbą, że osadzą mnie w sowieckim domu wychowawczym. Miałem wówczas 3 lata. Moja matka po jakimś czasie przedostała się nielegalnie do Warszawy. Pozostałem nadal pod opieką moich babci we Lwowie. Po 22 VI 1941 matka powróciła do

Lwowa, ale wówczas aresztowali ją Niemcy i wysłali do karnego obozu pracy w głębi III Rzeszy.

Wojnę przeżyłem wraz z moimi babciami we Lwowie. Mieszkaliśmy wówczas w kamienicy przechodniej z podwójnym adresem: ul. Boimów 3 – plac Kapitulny 5 (dzisiaj wejście od placu Katedralnego jest zamurowane). Wczesne dzieciństwo spędziłem zatem w cieniu katedry łacińskiej i kaplicy Boimów. W czasie okupacji niemieckiej uczęszczałem do przedszkola Sióstr Zmartwychwstanek na rogu ul. Łyczakowskiej i ul. Krupiarzkiej. Po śmierci Teresy Czarnikowej w 1944 r. opiekę nade mną przejęła Łucja Żulińska, która była jej rodzoną siostrą.

Opuściłem Lwów wraz z moją opiekunką latem 1946 r. Dłuższe pozostawanie w rodzinnym mieście groziłoby nam zapewne deportacją na wschód. W oczach władz sowieckich byłymy przecież rodziną antyradziecką, kontrrewolucyjną.

Po ewakuacji ze Lwowa zamieszkaliśmy początkowo u naszej rodziny w Gościeradzu (w okolicach Bydgoszczy). Uczęszczałem tam do szkoły podstawowej. Później przenieśliśmy się do Radzimina pod Warszawą. W 1955 r. uzyskałem maturę w Liceum Ogólnokształcącym w Radzyminie i zdałem egzamin wstępny na studia polonistyczne. W czasie studiów dwukrotnie przebywałem dłużej we Francji. Zamieszkiwała tam moja matka. Uwolnili ją z obozu niemieckiego Amerykanie. Wyszła we Francji ponownie za mąż. Mam francuskie rodzeństwo przyrodnie.

Po ukończeniu studiów (z tytułem magistra) na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Warszawskiego pracowałem przez kilka lat jako nauczyciel języka polskiego w Liceum Ogólnokształcącym w Tłuszczu na Mazowszu, następnie w szkołach średnich w Warszawie. Później przez kilka lat byłem zatrudniony w instytucjach handlu zagranicznego. Zdałem wówczas egzaminy ze znajomości języka francuskiego, hiszpańskiego i niemieckiego. Przenieśliśmy się w tym okresie (1968) z Radzimina do Kobyłki pod Warszawą. Zmarła tam moja była opiekunka, Łucja Żulińska, którą utrzymywałem po rozpoczęciu pracy zawodowej.

W 1972 r. powróciłem do zawodu nauczycielskiego (tym razem w Technikum Odzieżowym na warszawskim Mokotowie). Nawiązałem w tym czasie kontakty z Pracownią Współczesnej Kultury Literackiej w Instytucie Badań Literackich PAN. Podejmowałem dla niej różne prace dokumentacyjne z zakresu historii prasy i jej związ-



ków z literaturą. Jeszcze jako nauczyciel napisałem pracę doktorską pod kierunkiem profesora S. Żółkiewskiego. Obroniłem ją w 1979 r. w Instytucie Badań Literackich PAN. Moja praca doktorska pt. *Proza artystyczna a prasa codzienna 1918–1926* ukazała się drukiem we Wrocławiu w 1982 r. nakładem Ossolineum.

**W** 1978 r. zakończyłem pracę w szkolnictwie średnim i przeniósłem się do Biblioteki Narodowej w Warszawie. Byłem tam najpierw zatrudniony w Zakładzie Katalogów Centralnych, a od 1982 r. w Instytucie Książki i Czytelnictwa.

Na ten okres przypada pewne przełomowe wydarzenie w moim życiu. W 1978 r. zawarłem małżeństwo z Grażyną Wiech, z zawodu nauczycielką. Chociaż na ślubnym kobiercu stanąłem stosunkowo późno, przebyliśmy oboje w tym związku już 28 lat. Mamy dwie dorosłe córki, studiujące na Uniwersytecie Warszawskim. Starsza – Agnieszka, kończy Wydział Stosunków Międzynarodowych, młodsza – Ewa jest na drugim roku afrykanistyki.

W latach 80. i 90. XX w. – jako pracownik naukowy Biblioteki Narodowej – prowadziłem nadal badania poświęcone historii kultury polskiej, a zwłaszcza dziejom prasy w XIX i XX wieku. Badałem również dorobek innych instytucji zajmujących się upowszechnianiem kultury (np. wydawnictwa książkowe, biblioteki). Napisałem w tym okresie kilkadziesiąt tekstów opublikowanych w periodykach naukowych i w książkach zbiorowych. Przygotowałem też moją własną książkę pt. *Między dwoma Sierpniami. Polska kultura literacka w latach 1945–1983*. Powyższe dzieło stanowiło podstawę mojej habilitacji w Instytucie Badań Literackich PAN, prze-

prowadzonej i zatwierdzonej w latach 1992–1995.

W 1995 r. jako pracownik BN podjąłem jednocześnie drugie zatrudnienie w Katedrze Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego. Prowadziłem tam zajęcia ze studentami (seminaria magisterskie i wykłady) z historii prasy oraz innych instytucji kultury literackiej w XIX i XX wieku (w Polsce i na emigracji). Pod moim kierunkiem powstało kilkadziesiąt prac magisterskich i trzy prace doktorskie.

Na wniosek Rady Wydziału Filologicznego UŁ Prezydent RP nadał mi w 2003 r. tytuł profesora nauk humanistycznych.

Ważna zmiana nastąpiła też w miejscu mojej pierwszej pracy, to znaczy w Bibliotece Narodowej. Ówczesny dyrektor tej instytucji Michał Jagiełło powołał mnie 1 stycznia 2001 r. na stanowisko kierownika Instytutu Książki i Czytelnictwa, gdzie dotąd byłem zatrudniony. Pełniłem tę funkcję przez 7 lat.

W 2004 r. zakończyłem pracę na Uniwersytecie Łódzkim, natomiast od 1 X 2005 aż do dziś jestem profesorem w Instytucie Bibliotekoznawstwa i Dziennikarstwa Wydziału Humanistycznego Akademii Świętokrzyskiej w Kielcach (od kilku tygodni jest to już Uniwersytet Świętokrzyski). Prowadzę tam wykłady i seminaria magisterskie. Dotyczą one głównie historii prasy, wydawnictw książkowych, innych instytucji kultury oraz czytelnictwa w XIX i XX w. na ziemiach polskich i na wychodźstwie.

Moje obowiązki w Bibliotece Narodowej pełniłem do 31 stycznia 2008 r. 1 lutego br. przeszedłem na emeryturę. Nadal prowadzę jeszcze raz na dwa tygodnie zajęcia ze studentami na wspomnianej uczelni kieleckiej.

W ciągu kilku dziesięcioleci zajmowałem się również pracą społeczną – do 1978 r. jako nauczyciel wiele czasu poświęcałem imprezom kulturalnym i krajoznawczym, przygotowywanym wraz z innymi nauczycielami i z młodzieżą.

**W** krótko zmienił się jednak charakter mojej działalności społecznej. 17 września 1980 r. – jako obserwator wysłany przez pracowników BN – uczestniczyłem w spotkaniu w Klubie Pracowników Stoczni

Gdańskiej, gdzie powołano Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”. Od września do początku grudnia 1980 pełniłem funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Tymczasowego NSZZ „Solidarność” w BN. Na początku grudnia 1980 r. wybrano mnie na przewodniczącego stałej już Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w BN. Obowiązki przewodniczącego pełniłem ponad rok.

14 grudnia 1981 r. byłem oficjalnym koordynatorem akcji protestacyjnej prowadzonej przez związkowców w BN przeciw wprowadzeniu stanu wojennego. Nastąpiła wówczas interwencja sił bezpieczeństwa. Oddział ZOMO wprowadził w biblioteki mnie i 10 innych osób. Wkrótce je wypuszczono, natomiast mnie osadzono w więzieniu w warszawskiej Białołęce. Kilka tygodni później przewieziono mnie wraz z grupą innych zatrzymanych działaczy helikopterem z Warszawy do Ośrodka Internowanych w Jaworzu na Pomorzu Zachodnim (na terenie poligonu wojskowego w rejonie Drawska). Zwolniono mnie pod koniec kwietnia 1982 po kilkakrotnych interwencjach Prymasowskiego Komitetu Pomocy Internowanym. Wróciłem do domu i do pracy zawodowej. Działalem też jawnie w duszpasterstwach ludzi pracy w Warszawie. Jak wynika z dokumentów udostępnionych mi niedawno przez Instytut Pamięci Narodowej, co najmniej w ciągu 7 lat byłem obiektem zainteresowania Służby Bezpieczeństwa. Donosy składało na mnie zazwyczaj od 5 do 7 osób.

Po obradach Okrągłego Stołu zostałem ponownie przewodniczącym odnowionej „Solidarności” w BN. Pełniłem tę funkcję przez kilku miesięcy.

W 1990 r. z ramienia Komitetu Obywatelskiego „Solidarności” kandydowałem na radnego w Kobylce. Zostałem wybrany przez mieszkańców, a nowo powstała Rada Miejska powierzyła mi jednogłośnie stanowisko przewodniczącego. Wykonywałem związane z tym obowiązki w latach 1990–1994, nadal pozostając pracownikiem BN. Po upływie mej kadencji nie kandydowałem już ponownie na radnego. Działam natomiast w Towarzystwie Przyjaciół Miasta Kobylka. W 2005 r. Rada Miasta nadała mi tytuł Honorowego Obywatela Miasta Kobylka.

**O**d końca 1989 roku zaangażowałem się też w inną działalność: pomoc Polakom za-

mieszkałym na wschód od obecnej granicy państwa polskiego, a więc zarówno na dawnych Kresach, jak i na dalej położonych terytoriach.

Była to przede wszystkim pomoc książkowa. Obserwowałem przy tym różne zbiórki książek dla Polaków na Wschodzie, przeprowadzane na początku lat dziewięćdziesiątych przez niektóre środowiska oraz organizacje społeczne. Byłem tym niekiedy przerażony. W toku tych akcji gromadzono niekiedy setki kilogramów makulatury książkowej. Znajdowały się wśród niej m.in. wydania zbiorowe wszystkich pism Włodzimierza Lenina w języku polskim, powieści Wandy Wasilewskiej, przemówienia różnych polskich dostojników komunistycznych, tysiące pozycji, które nie przynosiły żadnego pożytku naszym rodakom na Wschodzie. Gromadzono też książki wartościowe – naukowe, literackie, specjalistyczne, ale wysyłano do miejscowości i środowisk, gdzie ledwie czytano po polsku, np. do osiedli byłych zesłańców w Kazachstanie lub do kolchozów w głębi Białorusi. Cały wysiłek i koszt związany z wysyłką był daremny, a przesłane książki sprawiały tylko kłopot adresatom.

Wychodziłem z założenia, że trzeba najpierw dokładnie rozpoznać rzeczywiste potrzeby różnych ośrodków i środowisk, a dopiero potem można zbierać dla nich książki i rozpocząć wysyłkę. Odbylem w tym celu wiele podróży na Wschód, początkowo na własny koszt, później na koszt Biblioteki Narodowej, która poparła moją koncepcję. Odwiedziłem wielokrotnie Ukrainę (w tym ziemię za Zbruczem), Białoruś i Litwę. Byłem też w północnym Kazachstanie. Poznałem różnych ludzi, ich losy, potrzeby, zainteresowania, ich oczekiwania w stosunku do Polski,

Dzięki tym rekonesansom przystąpiłem do przygotowywania różnorodnych zestawów lekturowych (naukowych, literackich, podręcznikowych) dla wielu odbiorców, a więc dla szkół, domów polskich i organizacji społecznych, a także dla wyższych uczelni, instytutów kultury polskiej, bibliotek państwowych, prywatnych i parafialnych. Uczestniczyło w tej pracy bezinteresownie kilkanaście osób z Biblioteki Narodowej. Wyróżniały się inicjatywą i ofiarnością mgr Anna Karczewska i dr Anna Zdanowicz. Poczynając od 1990 r. aż do stycznia 2008 r.

udało nam się wysłać na Wschód kilkanaście tysięcy egzemplarzy książek. Nasze zestawy lekturowe dotarły do takich państw jak Ukraina, Białoruś, Litwa, Łotwa, Estonia, a także Mołdawia, Rosja (Syberia), Kazachstan oraz Czechy (Śląsk zaolziański). Przez pewien okres otrzymywaliśmy za pośrednictwem BN dotację z Ministerstwa Kultury przeznaczoną na ten cel. Umożliwiło to nam zakup w księgarniach odpowiednich książek. Współpracowaliśmy też w realizacji naszych zamierzeń z różnymi instytucjami, jak np. Fundacja Pamięci Narodu Polskiego (śp. dyr. Myrcha), Fundacja Pomoc Polakom na Wschodzie, Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim, Fundacja Semper Polonia. Wspierały nas polskie placówki dyplomatyczne i władze kościelne, a także niektóre instytucje ukraińskie i białoruskie. Staraliśmy się przy tym uwzględnić potrzeby wszystkich osób zainteresowanych kulturą polską, a więc nie tylko Polaków, ale także Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Łotyszy, Estończyków, Mołdawian, Rosjan i innych.

Prócz wysyłki książek podejmowałem inne formy pomocy. Wielokrotnie wygłaszałem odczyty poświęcone kulturze polskiej w szkołach polskich na Litwie, w siedzibach różnych organizacji, jak np. Dom Polski w Żytomierzu lub na Państwowym Uniwersytecie Pedagogicznym im. I. Franki w Drohobyczu.

Szczególnie ważną rolę w moich przedsięwzięciach na Wschodzie odgrywała współpraca z Federacją Organizacji Polskich

na Ukrainie. Przewodnicząca Federacji, pani Emilia Chmielowa, p. Teresa Dutkiewicz oraz inne osoby ułatwiły mi nawiązanie kontaktów z wieloma środowiskami polskimi na dawnych Kresach. Uwieńczeniem naszych wspólnych starań było wydanie w Polsce pięciu książek, zawierających utwory autorów, którzy mieszkali i nadal mieszkają na Wschodzie, na swej ziemi ojczystej. Była to zarówno poezja, jak i proza. Jedna książka ukazała się nakładem „Wspólnoty Polskiej”, a cztery wydała Biblioteka Narodowa. Powyższe publikacje stanowią świadectwo, że w naszych stronach ojczystych kultura polska nie tylko przetrwała, ale nadal się rozwija, a wiele osób mimo trudnych warunków podejmuje cenne i twórcze inicjatywy.

\* \* \*

Jak już wspomniałem, w styczniu 2008 r. zakończyłem moją pracę zawodową w Bibliotece Narodowej. Zamknąłem tym samym pewien rozdział w dotychczasowej działalności społecznej. Żywię jednak nadzieję, że mogę być nadal potrzebny w różnych przedsięwzięciach naukowych w mojej specjalności badawczej. Może przydam się jeszcze w samorządowej pracy kulturalnej. Może przydam się jeszcze moim Rodakom na Wschodzie, tak bliskim memu sercu, a także osobom innych narodowości, zainteresowanym kulturą polską. Chciałbym resztę mojego życia poświęcić współtworzeniu wspólnego dobra.

*Kobyłka, 29 marca 2008*



Kto mógłby rozpoznać z jakiej okazji oraz gdzie i kiedy zebrało się towarzystwo uwidocznione na załączonym zdjęciu?

# FORTYFIKACJE LWOWA W XVII WIEKU

*Niech patrzy twoje serce,  
A nie tylko głowa.  
A może zdołasz ujrzeć dumną  
Duszę Lwowa.*

Taką radę dał poeta i pisarz Kornel Makuszyński tym, którzy chcą ujrzeć „dumną duszę” miasta. A ona – kształtowała się przez stulecia. Wydaje się jednak, że właśnie w XVII wieku, kiedy przyszło miastu i jego mieszkańcom wziąć na swoje barki ciężar obrony suwerenności i niepodległości Rzeczypospolitej, kiedy samotnie stawiało ono czoło najeźdźcom, najwięcej w swoją duszę wlało dumy. Tej narodowej „dumy”, która pozostała aż do XX wieku, dzięki czemu słowa *Leopolis Poloniae semper fidelis* zawsze były prawdziwe i popierane czynami.

Oprócz bardzo dobrego położenia pod względem handlowym, leżał Lwów również na ważnym szlaku strategicznym. To tędy prowadziła droga do „serca” Rzeczypospolitej. Tatarzy, Turcy, Kozacy, wojska moskiewskie i włoskie, które chciały wejść z południowego wschodu w głąb Korony oraz zagrozić Warszawie i Krakowowi, musiały przechodzić przez Lwów. O fortyfikacjach miasta pisali kronikarze: Jan Długosz wspomina o dwóch zamkach<sup>1</sup>, Marcin Kromer również o nich pisze i dodaje, że jest to miasto *dość dobrze obwarowane*<sup>2</sup>. Nie pomija też tego tematu Szymon Starowolski nadmieniacząc, że miasto *ma dosyć silne umocnienia i dwa zamki*<sup>3</sup>. Najwięcej miejsca ufortyfikowaniu miasta w swoim opisie poświęca Gwagnin: *dwoistym murem i basztami mocnymi, niemniej też wałem i przepoką głęboką obtoczone; w strzelbę i w rynsztunek wojenny prawie dobrze opatrzone, na miejscu obronnym leży*<sup>4</sup>.

Tak widzieli Lwów współcześni. Jednak umocnienia powstałe w średniowieczu i wieku XVI nie gwarantowały bezpieczeństwa mieszkańcom w XVII wieku, kiedy to szybko, na skutek nowych form oblężniczych, zmieniła się architektura obronna. Lwów

został założony na północnej krawędzi płaskowyżu podolskiego, w kotlinie rzeki Pełtwi (powstałej w okolicach miasta jako zlewisko kilku strumieni), na wysokości około 280 metrów nad poziomem morza. Ta duża ilość strumieni była dla obronności Lwowa korzystna. Utrudniała dojście do miasta od strony zachodniej i północnej oraz dostarczała niezbędnej wody źródlanej. Potrafili też lwowianie wykorzystywać te rzeczki do stworzenia fos wokół murów miejskich. Dużo gorzej, zwłaszcza w XVII wieku, kiedy główną rolę przy oblężeniach odgrywała artyleria, wyglądała sytuacja ukształtowania terenu. Miasto zostało zbudowane w kotlinie nadpełtwiańskiej, otoczonej ze wszystkich niemal stron wzgórzami. Od północy wznosiła się góra zwana Łysą, która łączyła się od strony wschodniej ze wzgórzem, na którym stał Wysoki Zamek (398 m n.p.m.). Był to najwyższy punkt w okolicy miasta. Dalej na wschód od góry, gdzie stał zamek, znajdowały się kolejne niższe już wzniesienia: góra Lwia, a za nią Wilcza i – Kaiserwald. Leżące nieopodal doliny Pasieki i Soroki tworzyły przerwę w paśmie wzgórz. Zaraz za Soroką rozciągała się góra Wronowskich zwana też Cytadelą. Ku zachodowi wznosiły się wzgórza św. Jura, a następnie Stracenia i Kortumowa (372 m n.p.m.)<sup>5</sup>. Nienajlepsze położenie miasta nie przeszkadzało aż do XVII wieku, gdy artyleria nie odgrywała tak dużej roli. Na każdym z tych wzgórz (oprócz tego gdzie stał zamek) można było ustawić działa i ostrzeliwać miasto. By zniwelować to niekorzystne położenie, trzeba było zbudować odpowiednie obwarowania. Warto zatem przyjrzeć się jak wyglądały umocnienia miasta w XVII wieku<sup>6</sup>.

W roku 1527 (w czerwcu) wybuchł wielki pożar we Lwowie. Był on o wiele większy niż poprzednie. Spłonęło wtedy doszczętnie całe miasto wraz ze średniowiecznymi umocnieniami (ocalał tylko Niski Zamek). Po tej właśnie katastrofie zaczęto wznosić nowe umocnienia miasta. Niestety częściowo odbudowano średniowieczne fortyfika-



cje. Miasto było otoczone głęboką fosą, za którą wznosił się wysoki i gruby wał. Za wałem był gruby mur, na którym znajdowały się baszty.

Pierwsza, nad Bramą Krakowską (Tatarską) zaopatrywana była przez kuśnierzy, druga, Stumilowa – przez blacharzy, miechowników i mydlarzy. Miała ona wraz z barbakanem Bramy Halickiej osłaniać południową kurtynę. Trzecia nazywana była Basztą Mieczników, czwarta Tkaczów, piąta Czapników i Siodlarzy. Szósta Piwowarów i Miodosytników, siódma – Lodowa należała do rymarzy. Ósma, cylindryczna basteja, zwana Basztą Królewską, należała do murarzy, dziewiąta – Bernardyńska przypisana była szewcom, dziesiąta garncarzom i kotlarzom. Jedenasta, nad Bramą Halicką, należała do krawców, dwunasta zwana była Basztą Złotników, trzynasta Rzeźników, czternasta Stolarzów, Bednarzów i Stelmachów, piętnasta Korniaktowa należała do kowali, ślusarzy i iglarzy, szesnasta do kramarzów, a siedemnastą nazywano Piekarską. Osiemnastą była wybudowana w latach 1554–56 w odmianie bastei czworobocznych tarasowych trzykondygnacyjna baszta nazywana Prochową, wzmocniona dodatkowo rodzajem rawelinu<sup>7</sup>. Tam znajdowały się składy prochu do czasu wybudowania w XVII w. arsenału. Wybudowano również wieżę zwaną Na Grobelce, chroniącą Bramę Krakowską. Istniała też baszta zwana Pustą. Rozpoczęto również w XVI wieku budowę kolejnej, nie mającej nazwy, baszty poniżej Niskiego Zamku. Na zachód od wspomnianego Barbakanu Halickiego wzniesiono w 1540 roku Basztę Wężową<sup>8</sup>. Na narożniku południowo-zachodnim znajdowała się dwudziesta trzecia baszta, zwana Farską. Jak można zauważyć, baszty przypisane były do cechów, które miały je zaopatrywać i ich bronić. Od strony wewnętrznej mur był przysypany dodatkowo wałem ziemnym.

Do miasta prowadziły dwie bramy: Krakowska (Tatarska) i Halicka. Obydwie miały

bramę zewnętrzną i wewnętrzną, połączone ze sobą mostem, pod którym znajdowała się fosa. Bramy Halickiej strzegł barbakan oraz zbudowana nad nim baszta. Przy bramie Krakowskiej również został wybudowany barbakan. Baszta, która jej miała strzec, nosiła nazwę Na Grobelce. Rozpoczęto też budowę kilku bastei zewnętrznych na przedpolach miasta. Taką funkcję spełniały także wszystkie klasztory budowane na przedmieściach; miały one charakter obronny i broniły dostępu do murów. Pomimo, wydawałoby się, imponujących fortyfikacji, już na początku XVII wieku – w 1607 roku – inżynier królewski Aurelio Passarotti skrytykował położenie miasta oraz jego obwarowania. *Obrona miasta samego w koło – pisał – nie jest gruntowna, albowiem, acz ma wkoło mury z wieżami czworograniastymi i niepewne przykrycie z wieżami okrągłymi starodawnego zwyczaju, mało co po nich i prawie nic, bo są słabe i bez obrony*<sup>9</sup>. Inżynier wypominał także, iż nie da się obracać dział na basztach, skrytykował wał i parkan, na którym nie można było postawić dział, gdyż był za wąski. Podsumowując swoją wizytę, Passarotti zaproponował budowę nowoczesnych ziemnych fortyfikacji odpornych na ogień artyleryjski. Jednak mieszkańcom niespieszno było dawać pieniądze na – ich zdaniem – niepotrzebne wydatki. Wówczas na kresach było jeszcze w miarę spokojnie, dlatego władarze miasta woleli wydawać fundusze miejskie przeznaczone na fortyfikacje na przykład na przebudowę ratusza, jak to miało miejsce w latach 1617–19, gdy burmistrz Marcin Kampian podjął taką inicjatywę, by upamiętnić swoje nazwisko.

Dopiero po klęsce pod Cecorą groźba najazdu tureckiego spowodowała pewne



Obwarowania miejskie Lwowa. Obraz Z. Rozwadowskiego, 1929 (obecnie w Muzeum Historycznym przy Ryńku)



(choć niechętnie czynione) zmiany w fortyfikacjach miejskich. Prysłana do miasta królewska komisja pod przewodnictwem kasztelana Jerzego Dzieduszyckiego ukazała mieszkańcom, jak bardzo opłakany jest stan fortyfikacji. Dopiero po tej kontroli wspomniany burmistrz Kampian rozpoczął energiczne działania. Odnowiono obwarowania już istniejące. W 1625 roku rozpoczęto w narożniku północno-zachodnim budowę nowej baszty – Zimnowódzkiej (zwanej prawdopodobnie też Basteją Grodzką). Możliwe, że już wtedy zaczęto sypać dochodzący do klasztoru Bernardynów (przebudowanego na przełomie XVI i XVII wieku na kształt wielkiego bastionu) Szaniec Szwedzki bądź wzniesiono w tych okolicach rawelin. Od strony Krakowskiego Przedmieścia wybudowano Basztę Krakowską i jeszcze dwie sąsiednie mniejsze baszty. Niestety tym wszystkim pracom sprzeciwiało się pospólstwo miejskie, nastawione konserwatywnie i nie rozumiejące nowych zastosowań w architekturze obronnej. Z tego powodu prace szły opornie. Dopiero gdy do miasta miał przyjechać w 1634 roku „król-inżynier”, czyli Władysław IV, w obawie przed kompromitacją przystąpiono do pracy, lecz nie zbudowano niczego nowego, tylko dokończono już rozpoczęte prace.

**T**worzące się przed murami przedmieścia w XVII wieku doszły do takich rozmiarów (rozrzucone na 10 000 ha), iż trzeba było pomyśleć o ich ufortyfikowaniu (liczba mieszkańców przedmieść wahała się w granicach 12 000–13 500, a samego Lwowa 4 000–4 500). W przypadku ataku stawały się one doskonałą osłoną dla atakujących. Kilka razy

przed oblężeniem palono przedmieścia, lecz takie praktyki ze zrozumiałych względów spotykały się z oporem zamieszkujących je ludzi. Dlatego ich mieszkańcy występowali do króla, by uznano je za odrębne miasta. Jednak powołana na początku XVII wieku komisja oszacowała, że ufortyfikowanie nowego miasta kosztowałoby

1 700 000 zł oraz trzeba by kilkutyśięcnej załogi do obsadzenia tych fortyfikacji. Z tych przyczyn odstąpiono od projektu. Sprawa wróciła podczas wizyty Władysława IV w 1634 roku. Powstał wtedy plan budowy linii fortyfikacyjnych obejmujących wszystkie ważniejsze wzgórza wokół Lwowa. Twórcą planu był artylerzysta, inżynier wojskowy i kartograf Fryderyk Getkant. Nowe fortyfikacje miały być otoczone fosą i wałem ziemnym (o profilu trapezowatym) ciągnącym się na długości 12 km. Wał miał liczyć u podnóża 15 łokci<sup>10</sup> grubości, a w części górnej 5,5 łokcia. Fosa, którą zaprojektowano pod wałem, miała mieć od 10 do 18 łokci szerokości. Wewnątrz tego obszaru o powierzchni prawie 9 km<sup>2</sup> miały się znaleźć 23 umocnienia bastionowe: blokhausy, raweliny, beluardy, pięcioboki, półbastiony, korony, kleszcze, jaskółcze ogony itp. Sam król zatwierdzając plan dodał jeszcze dwie cytadele. Ochoczo zabrano się więc do pracy. Zaczęto sypać wały, lecz z braku funduszy prace szybko przerwano, nie kończąc nawet w połowie linii wału.

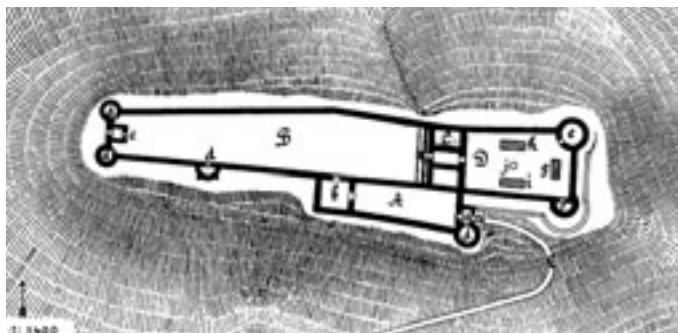
W XVII wieku w zachodniej części miasta zaczęli się budować jezuiti. By skrócić sobie drogę do ogrodu i folwarku, który posiadali w pobliżu, zrobili samowolnie dziurę w murze. Rozgorzał spór. By go załagodzić postanowiono zamurować wyłom, a dla jezuitów wybudować furtę. Powstała więc furta, zwana Jezuicką, którą ufortyfikowano między wałem i fosą. Dzięki temu mur między wieżami Kramarską i Kowalską<sup>11</sup> otrzymały osłonę. Podobnie było z murem miejskim i kościołem Karmelitów. Nikt nie chciał do niego chodzić, gdyż był za daleko, a droga wiodła dookoła murów. Postanowiono stwo-

rzyć nową obroną furtę, zwaną Bosacką. Mieściła się ona na południe od Baszty Prochowej. Sam klasztor Karmelitów był dobrze ufortyfikowany, położony na wzgórzu i stanowił przedpole ściany wschodniej murów. Jednak w razie jego zdobycia był dużym zagrożeniem dla miasta.

W 1637 roku dekretem królewskim postanowiono ukończyć obwarowania klasztoru bernardyńskiego. Był to ufortyfikowany zespół budynków, zbudowany na planie trójkąta. Według dekretu, skrócono zachodnią kurtynę, by nie sięgała do Bramy Halickiej, lecz od Bastei Bernardyńskiej szła do Bramy Strumiłowej. Powstały dzięki temu kąty rozwarły zamknięto wałem idącym od Barbakanu Halickiego do Bastei Bernardyńskiej. W zachodniej kurtynie utworzono Bramę Bernardyńską, od której szedł przez fosę most, osłonięty Szańcem Szwedzkim. Najprawdopodobniej za czasów Władysława IV powstały na linii wałów od strony wschodniej i północnej cztery nowe umocnienia. Był to beluard<sup>12</sup> przy Baszcie Prochowej, wielki bastion zwany Królewskim i dwa mniejsze beluardy zabezpieczające Furtę Bosacką i powstały arsenał. Budowanie we Lwowie beluardów było oznaką pewnej nowoczesności, gdyż była to odmiana systemu szkoły starowłoskiej. Jan III Sobieski chciał jeszcze wybudować dodatkową linię wałów, tak zwanych „Trzecich”, lecz nie dokończono inwestycji.

**D**odatkowo, by wzmocnić obronę miasta, w obrębie murów znajdował się także wybudowany przez Kazimierza Wielkiego Niski Zamek<sup>13</sup>. Coraz częstsze w czasach średniowiecza nieposłuszeństwo mieszczan, a wreszcie otwarty bunt w Krakowie pod wodzą wójta Alberta, który w obrębie murów miejskich czuł się pewny siebie, spowodowały, że Władysław Łokietek musiał zlikwidować część murów miejskich i połączyć miasto z fortyfikacjami na Wawelu, aby nie powtórzyły się takie

wypadki. Kazimierz Wielki, by nie dopuścić do podobnych ekscesów, postanowił zbudować we Lwowie dwa zamki – jeden z nich znajdował się w mieście. Datę powstania zamku należy łączyć z datą powstania miasta, a więc z rokiem 1356. Niski Zamek zbudowany został w najniższym północno-zachodnim narożu miasta. Umieszczony w zakolu Pełtwi, od zachodu sąsiadował z rzeką, a od północy z jej dopływem, który tworzył bagna i rozlewiska. Wzniesiony na planie nieprawidłowego pięciokąta z załamany zachodnim bokiem zamek składał się z dwóch odcinków; dłuższego na północy i krótszego na południu. Otoczony był z trzech stron wałami, a z dwóch wałów, który oddzielał go od miasta. Północny bok zamku, długi na 90 m, chroniły rozlewiska Pełtwi, czworoboczna zamkowa wieża zwana Narożną oraz Wieża Złotników, należąca do obwarowań miejskich. Natomiast południowo-zachodnią część osłaniała druga wieża zamkowa, zbudowana na planie koła, zwana Sądową lub Szlachecką, ponieważ tam mieściło się więzienie szlacheckie. We wschodnim lekko wklęsłym murze umieszczono prostokątną Wieżę Bramną. Wysunięta nieco przed mur, zaopatrzona była w strzelnice, by można było prowadzić ogień wzdłuż muru. W wieży tej znajdował się urząd grodzki. Był to jedyny wjazd na dziedziniec zamkowy, zwany „Planem Castrum”. Do wschodniego muru przylegały budowle przeznaczone prawdopodobnie na więzienia. W połowie długości muru zachodniego stał długi budynek. W swojej górnej części



Plan Wysokiego Zamku. A – przygródek, B – dziedziniec większy, C – gmach mieszkalny, D – dziedziniec mniejszy; a – brama wjazdowa zewnętrzna, b – brama wewnętrzna, c – furta, d – baszty, e – Wieża Szlachecka, f – Wieża Hultajaska, g – dom burgrabiiego, h – domek drabski, i – kuchnia i piekarnia, j – studnia (oprac. A. Czołowski)

miał otwory strzelnicze chroniące przedpole i mur zachodni. W skrzydłach zachodnim i północnym mieściły się komnaty królewskie. Na południowym krańcu usytuowana była kaplica św. Katarzyny. Od strony wewnętrznej zamku mury posiadały krużganki, przyozdobione kamiennymi poręczami i kolumnami. Nad krużgankami osadzono attykę. Zamek zaopatrzone również w kuchnię, piekarnię, spiżarnię. Była też tam studnia przeznaczona na potrzeby gospodarcze. W zamku mieszkała załoga i czeladź. Był więc Niski Zamek zupełnie niezależny od miasta i samodzielny. Na pierwszy rzut oka był okazały i mógł budzić respekt. Posiadając dwie wieże (nie licząc bramy) był dość dobrze broniony. Dzięki odpowiedniej lokalizacji osłaniały go umocnienia miejskie. Niestety zamek nie był bardzo pomocny podczas oblężeń miasta. Wybudowany w średniowieczu, nie został w epoce nowożytnej przystosowany (choć był przebudowywany) do jej architektury obronnej. Powstał jako siedziba dla przyjeżdżających monarchów oraz placówka pozwalająca utrzymać względny spokój w mieście. Miał pełnić rolę bardziej reprezentacyjną niż wojskową. Gościli w nim królowie zjeżdżający do miasta: Jadwiga, Władysław Jagiełło, Władysław Warneńczyk, Kazimierz Jagiellończyk, Jan Olbracht, Zygmunt I<sup>14</sup>, Stefan Batory i Zygmunt III. Podczas pierwszej nocy pobytu Zygmunta III w Niskim Zamku w 1621 roku smród od bagien był tak dokuczliwy, że król przeniósł się do kamienicy. Była to ostatnia wizyta koronowanej głowy na zamku.

Posiadał także Lwów swój arsenał<sup>15</sup>, wybudowany w latach 1638–39, który wzniesiony był, jak pisał Ulryk Werdum, z *łamanego i ciosanego kamienia*<sup>16</sup> oraz z cegły, z drewnianym dachem pokrytym dachówką. Miał on kształt wydłużonego prostokąta o wymiarach 46,5 na 9 m i posiadał tylko jedną kondygnację. Zbudowany był przy wykorzystaniu starego muru miejskiego biegnącego na zapleczu klasztoru i kościoła Dominikanów. Osłonę arsenału stanowiły Baszta Rymarzy i Baszta Prochowa. Do arsenału prowadziły dwie bramy wjazdowe. Budowany oszczędnie przy użyciu starych murów, arsenał dość szybko zaczął się niszczyć. Już w 1648 roku trzeba było wydać na jego remont 2600 zł. W tym też roku okazało się, że usytuowanie arsenału też nie jest zbyt fortunne, gdyż jest

on narażony na ataki od strony wschodniej. Dlatego zamieniono okna na strzelnice, zastaniając je dębowymi palami.

Uzbrojenie miasta w artylerię i broń było ilościowo dość znaczne. Niewątpliwym plusem był fakt, że istniała we Lwowie ludwisarnia oraz zbrojownia, co pozwalało w jakiejś części uzupełniać zapasy. Z roku na rok powiększała się ilość uzbrojenia. W arsenale królewskim w roku 1637 były dwadzieścia cztery działa, a w 1654 już siedemdziesiąt cztery, i to nowoczesne. Znajdowało się tam siedem ćwierćkartaun, dziewięć oktaw, dwadzieścia sześć regimentowych 6-funtowych, szesnaście 3-funtowych, sześć małych działek, dziewięć moździerzy i tylko jedna pietriera. Niestety wskutek braku dozoru stan tej broni pozostawał wiele do życzenia. Wraz ze wzrostem dział rosła ilość i różnorodność amunicji. W 1654 roku na składzie znajdowały się między innymi: trzy tysiące dziewięćdziesiąt cztery sztuki kul do dział 6-funtowych i dwa tysiące siedemset trzydzieści dziewięć kul do 3-funtowych. Było też prawie trzysta dwadzieścia siedem tysięcy kul muskietowych, których wcześniej nie było. Znajdowało się tam też sporo granatów ręcznych, artyleryjskich, proch i ołów. Pod względem amunicji sytuacja po wybudowaniu arsenału wyglądała zadowalająco. Chwalił zaopatrzenie tego arsenału również Jan Alnpek, pisząc, iż cehhausz jest *obszerny i zaopatrzony najobficiej w broń wojenną wszelkiego rodzaju*<sup>17</sup>.

**B**ardzo ważnym punktem wzmacniającym obronność miasta był Wysoki Zamek<sup>18</sup>. Szczyt, na którym został postawiony, był bardzo ważny ze strategicznego punktu widzenia, gdyż górował nad samym miastem. Była to *wysoka góra, ku miastu dość stroma, z drugiej zaś strony łączącą się z innymi górami*<sup>19</sup>. Kazimierz Wielki zbudował go, by był największym wsparciem fortyfikacji miejskich. Był Wysoki Zamek punktem obserwacyjnym, magazynem zapasów wojennych, schronieniem załogi królewskiej oraz więzieniem, w którym przebywali niekiedy ludzie z bliskiego otoczenia monarchów. Przykładem może tu być postać Jakuba z Kobylan, który w 1408 roku został niesłusznie oskarżony o zbytnie spoufalanie się z królową Anną. Zazdrosny Władysław Jagiełło wysłał Jakuba na karę „wieży” do Lwowa.

Remigiusz Węgrzynowicz

## W PAMIĘCI STARYCH ALBUMÓW

**Czy spoglądając na zdjęcie grupowe z lat 1933–35 z kolonii wakacyjnej w Tuchli, znajdzie się uczestnik rozpoznający siebie lub znajomych? Kolonie letnie dla młodzieży nie były najważniejszym zdarzeniem w przedwojennej historii kresowej, ale jedną z licznych użytecznych społecznie akcji rekreacyjnych i wychowawczych młodzieży.**

**W** Tuchli około 300–400 dzieci (pracowników PKP) w sezonie letnim spędzało corocznie czterotygodniowe wakacje w doskonałych – nie tylko jak na ówczesne, ale również na obecne – warunkach. Pobyt na kolonii był bezpłatny, sponsorowany przez organizację „Rodzina Kolejowa”, która uzyskiwała fundusze na ten cel z dochodów przechowywanych bagażu na dworcu głównym we Lwowie. Przed wyjazdem dzieci były poddane obowiązkowemu badaniu i szczepieniu przez pediatrę, znanego doktora Fritza.

Obiekt kolonijny, w urokliwej górskiej miejscowości w dolinie rzeki Oporu, stanowił kompleks budynków rozmieszczonych na pięciu tarasach na zboczu góry, otoczony lasem. Poniżej – pachnąca otoczkami skalnymi, szumiąca rzeka Opór. W głównym budynku parterowym mieściły się cztery ok. 25-osobowe sypialnie dla chłopców, umywalnia – prysznic, jadalnia, infirmeria i pokoje dla wychowawców. Opodal dwupiętrowy budynek dla dziewcząt, nazywany pensjonatem. Poniżej na dwóch tarasach urządzone były boiska do gier, wyposażone w sprzęt sportowy (kosz, siatkówka, kręgle, krykiety, piłka nożna). Powyżej budynku głównego znajdowały się zabudowania gospodarcze mieszczące: kuchnię, piekarnię, dyrekcję i magazyny, a kilkadziesiąt metrów dalej na uboczu – mała elektrownia. Na wyższym tarasie kręgiel-

nia – miejsce spotkań wychowawców po całodziennych zajęciach. Na najwyższym tarasie rondo z ławkami, pośrodku postument z figurą Matki Boskiej. Miejsce „porannej i wieczornej pieśni i kontemplacji.

W dnie deszczowe gromadzono się na werandzie w pensjonacie, gdzie znajdował się składany ołtarz, przy którym w niedzielę przyjezdny ksiądz odprawiał mszę św.

Program dnia był urozmaicony. Rozpocynała się gimnastyka, potem mycie, pieśń poranna, śniadanie, kąpiel w rzece. Wycieczki piesze na szczyty okolicznych gór lub koleją do Skolego, Ławocznego, Zelemianki, Różanki pozwalały poznać piękne okoliczne miejscowości. Nie zapomniano na wycieczce o posiłku, noszonym przez personel w koszach!

Zgodnie z programem dnia codziennie, posiłki podawano cztery razy dziennie. Pieczywo doskonale z własnej piekarni. Niezapomniane w smaku ciepłe bułki wypieków pani Gawłowej. Sznyclce, budynie, dżemy własnego wyrobu – nigdy już później nigdzie tak nie smakowały! Pieśń wieczorna, zbiórka i raport składany przez grupowych kończyły program dzienny.

Gry, zabawy i imprezy na boiskach pozwalały na rozładowywanie energii i emocji. Nie przypominam sobie w tej licznej gromadzie (ok. 200 dzieci) sytuacji wymagającej szczególnego postępowania. Dyscyplina



Kolonijści na boisku koło fontanny. w tle część budynku głównego. Autor oznaczony strzałką



była utrzymywana w formie łagodnej perswazji, kiedy zachodziła potrzeba.

Trudno zapomnieć wspaniałego wychowawcę, zawsze pogodnego, służącego radą, pełnego inwencji – doktora Gawlika. Spośród wielu atrakcyjnych propozycji zawsze wybieraliśmy najciekawszą, tzn opowiadanie przez tego utalentowanego erudyty trylogii Sienkiewicza. Jego opowiadanie wśród wielu atrakcyjnych propozycji było zawsze preferowane przez aklamację. W czasie wypoczynku na wycieczce czy po obiedzie – siedzieliśmy jak „zaczarowani”, również z nami wychowawcy i personel, słuchając opowieści w jego wykonaniu.

W serdecznej pamięci kolonistów pozostał znany we Lwowie dyrektor gimnazjum Duchowicz. Wspaniały nauczyciel przyjaciół młodzieży. Nasze pokolenie pamięta popularne w całym kraju jego autorstwa plakaty pod hasłem: *Co można dostać za 40 groszy, czyli za kieliszek wódki*, z ilustracją artykułów spożywczych dostępnych za tę cenę. W tym okresie popularne było również jak plakat hasło autorstwa Wańkowicza *Cukier krzepi*, do którego krótko i chwytliwie dopowiadano: *a wódka jeszcze lepiej!* Poczucie humoru (jak pamiętamy) w społeczeństwie znacznie różniło się od obecnego – *skonfliktowanych smutasów!* Prym w kraju dźwignął humor lwowski z „Wesołą Falą” na czele.

Podobnie w miłej pamięci kolonistów pozostał wychowawca z innego turnusu, pan Chudzikowski. Tworzył przyjazną atmosferę relaksu, zabawy, w której kształtowały się temperamenty młodzieży, nieujęte w ramy surowej dyscypliny.

Pobył na kolonii w atrakcyjnej klimatycznie miejscowości górskiej, oprócz zasobów energetycznych, zdrowotnych, sprawności fizycznej, wzbogacał młodzież w wiedzę o zasadach dobrego wychowania, życzliwego stosunku do bliźnich, miłowania i szanowania przyrody. Przypominał o bogatej wielokulturowej historii ziem kresowych i udziale naszych przodków w jej kształtowaniu. Postawa wychowawców w sposób niewymuszony zachęcała młodzież do czynnego uczestnictwa zarówno w rozrywce, sporcie, wycieczkach, jak również słuchaniu opowiadań o przeszłości tych ziem.

Nastrój towarzyszący pieśniom porannej i wieczornej udzielał się wszystkim (również młodym sceptykom religijnym...). Zachęcał do uczestnictwa we wspólnej krótkiej kontemplacji, rozpoczynając i kończąc dzień. Śpiewano również pieśń (nieznanego autora), która posiadała charakter rymów pielgrzymkowych, ale treść wraz z towarzyszącym nastrojem pozostała w miłej pamięci:

*Opiekunka nasza, co łaskami darzy  
rok 33-ci dźwiatwę kolejarzy,  
Stromo na pagórku  
Ta najlepsza z matek  
Błogostawi całą rzeszę  
Wdzięcznych swoich dźwiatek.  
Do Niej w każdej porze  
Spieszą jak do matki  
Z wszystkimi prośbami  
Kolonijne dźwiateki.  
I z wielką ufnością  
Błagają ze łzami:  
Opiekunko kolonii,  
Przyczyń się za nami.*

Pieśń niesiona z szumem lasu, w majestacie gór, nadawała głębszy sens słowom *Kiedy ranne wstają zorze... Wszystkie nasze dzienne sprawy...* Pełna uroku sceneria karpackiej przyrody w promieniach wschodów i zachodów słońca potęgowała nastrój refleksyjny. Stojąc u stóp Matki Bożej, symbolu naszej świętości, z widokiem na szczyt góry Paraszki, czczonej przez Hucułów, odczuwaliśmy jedność człowieczą bez względu na

przekonania, miłość do wspaniałej otaczającej nas przyrody i szacunek dla wielkości Siły która ją stworzyła.

**S**wiadomość bogatej tradycji narodowej w „morzu” wieloetnicznym na tej ziemi kresowej wzmocniła poczucie jedności ludzi bez względu na narodowość czy wyznanie. Kontakt nasz z ludnością miejscową był przyjazny, bo lud dobry, serdeczny, gościnnie. Podobnie jak w pozostałych rejonach kresów Wołynia, Polesia, Wileńszczyzny, które miałem okazję poznać w latach następnych w czasie wędrówek harcerskich. Z ludnością miejscową rozmawialiśmy posługując się językiem własnym, ale zrozumiałym przez obydwie strony, bo łączy nas wspólny pień językowy. Różnice nie tworzyły podziałów narodowościowych. Nie przeszkadzały w przyjaznym obcowaniu.

Posługiwanie się własnym językiem, szczególnie na prowincji, przez Ukraińców, Hucułów, Białorusinów, Poleszuków, pozbawiony był intencji szowinistycznych. To był ich język codzienny. Wielu nie znało polskiego. Natomiast w czasie okupacji koledzy Ukraińcy mówili do nas po ukraińsku, mimo że znali lepiej język polski! Chcieli podkreślić w prymitywny sposób, że teraz tutaj jest Ukraina. Trudności mieli z terminologią naukową, której nie znali w rodzinnym języku... Nie znał jej również wykładowca Ukrainiec na Akademii Medycyny Weterynaryjnej – dr Stachurski, wychowany w polskiej kulturze. W obawie przed szowinistami przepraszał, że będzie miał wykład w języku polskim. *Budu howorył po polsku potomu szczo ne znaju dobre terminologii ukraińskiej.* Natomiast inteligencja – profesorowie: Grzycki,

Łopatyński, Skowroński, dr Zajac, dr Załucki... zawsze mówili do nas po polsku. Różnice językowe w okresie międzywojennym nie tworzyły podziałów narodowościowych. Nie przeszkadzały w przyjaznym obcowaniu.

Rozważania o antagonizmach nacjonalistycznych ujawniających się brutalnie w okresie wojny wykraczają poza ramy krótkich wspomnień kolonijnych. Wspomnienia kresowe dotyczące koegzystencji narodów, oprócz wartości faktograficznej, ilustrują naturalne (zgodne z ewolucją) procesy rozwijającej się wielokulturowości europejskich społeczeństw.

Przez wiele lat kształtowała się wizja ludzi żyjących obok siebie w zgodzie mimo różnego pochodzenia etnicznego, wyznawania różnych religii i przekonań. Niestety proces kształtowania integracji jest długi, zakłócany przez krótkowzrocznych polityków. Animozje o podłożu nacjonalistycznym, wobec wzrostu demograficznego i rozwoju technicznego zdolnego zniszczyć byt całej ludzkości, na szczęście tracą aktualność.

Młode pokolenie pragnie żyć w dobrostanie, jaki niesie cywilizacja, odrzucając balast niezgody przodków. Mądrość młodości nakazuje czerpać z bogactwa kultury wielowiekowej to co najlepsze, kreatywne, niosące radosną przyszłość. Kresy na pograniczu kultur wschodu i zachodu powinny spełniać rolę łącznika w procesie integracji w ramach Unii Europejskiej i innych struktur wspólnotowych. Wspomnienia kresowe, oprócz emocji, wzruszeń towarzyszących powrotom do lat młodości, wnoszą uczucie zadowolenia i świadomości, że posiadamy również swój udział w procesie ewolucyjnym integracji narodów Europy.

## NASZE GRZYBY NAJGORSZE?

Wpadła nam w ręce broszurka w języku ukraińskim, wydana w 1936 r. we Lwowie, pt. *Grzyby i pożytek z nich*, autorstwa o. Osipa Facjewicza (czy Faciewiczza, wszystko jedno). We wstępie ojczaszek pisze m.in., co następuje:

*... Na placach targowych znajdujemy około 29–30 rodzajów grzybów, ale nie wykorzystujemy wielu z nich. Przyczyną tego jest nieumiejętność rozpoznawania jadalnych grzybów i niewiedza, jak się je zbiera i przerabia. Prawda, że Polska eksportuje grzyby za granicę za 1 200 000 złotych rocznie, ale w porównaniu z Francją, Niemcami i Czechami, jej towar zalicza się do najgorszych i dlatego tanich. Oprócz tego są fałszowane przez dodawanie przy suszeniu kulek ołowiu i kamyki po to, żeby waga była większa...*

Tak nas zdemaskował!

Tadeusz Olszański

# Ulica Ormiańska

**P**rowadziła od ulicy Trzeciego Maja prosto do kościoła Ormian i dlatego właśnie tak się nazywała. Do kościoła, który był, jest i będzie jednym z historycznych i w dodatku pięknych zabytków Stanisławowa. Dowodem wybitnej roli, jaką odegrali Ormianie w rozwoju miasta. Rozpoczęta w 1742 roku budowę świątyni zakończono w 1763. Wzniesiony w stylu włoskiego baroku kościół ormiański przetrwał bez względu na pożary, burze, wojny i zmiany ustrojów. Po rozmaitych klęskach zawsze był odbudowywany, a w czasach Związku Radzieckiego ocalał, bo w nim właśnie urządzono Muzeum Religii i Ateizmu. Dzięki temu ołtarze i wnętrza uniknęły dewastacji, a organów nie zamieniono na złom. W 1990 roku przywrócono rolę świątyni, ale oddano ją nie Kościołowi Katolickiemu, lecz Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Miejscowy pop-proboszcz wycofał jednak wkrótce kościół spod jurysdykcji patriarchatu moskiewskiego i podporządkował się patriarchatowi kijowskiemu. Tym samym przyłączył się do Ukraińskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej. W sumie ze wszystkich stanisławowskich kościołów ormiański ucierpiał w najmniejszym stopniu. Może dlatego, że nad wejściem, między dwiema wieżami, zachowała się kopia obrazu cudownej Matki Bożej Łaskawej ze złotą koroną. Tego obrazu, który zapłakał łzami w 1742 roku, został uznany za cudowny i przydał sławy miastu. A w 1945 r. udało się go wywieźć do Polski. Ale wmurowana w fasadę kopia pozostała.

Zaraz na początku ulicy Ormiańskiej, po prawej stronie, znajdowała się nowo zbudowana, elegancka kamienica, w której mieszkał zaprzyjaźniony z nami dyrektor szpitala dr Jan Kochaj. Miał starszych ode mnie córkę i syna Janka, gimnazjalistę, który szalenie mi imponował, nie tylko z tego względu, że zawsze chodził w eleganckim mundurku, z tarczą swojej szkoły na rękawie. Miał piękny zbiór znaczków, chętnie pokazywał swoje albumy i pod jego wpływem też zacząłem je zbierać. Po całej prawej stronie

ulicy Ormiańskiej śladu nie zostało. Została wyburzona, bo w tym miejscu usytuowano zamierzony jako imponujący, a w rzeczywistości koszmarny biurowiec Domu Partii, a więc najważniejszy za sowieckich czasów budynek miasta. Typowy dla socjalistycznej architektury półwysokościowiec z trzema skrzydłami, wbity jak pięść w oko secesyjnej w swej naturze tej części Stanisławowa. Ocalała na szczęście lewa strona ze znajdującym się naprzeciw kamienicy Kochajów żydowskim gimnazjum. Z piękną, mauretańską fasadą, z pięcioma zakończonymi półokrągło wysokimi oknami nad wejściową, również półokrągłą bramą. Balkon wzdłuż okien sprawia, że całość kojarzy się z pięcioramiennym świecznikiem. Za Sowietów ulicę Ormiańską przemianowano na Melniczuka. Ale Ormiańska ocalała. Tak bowiem nazwano sąsiadującą z nią narożną ulicę, której patronował uprzednio ksiądz Antoni Bołoz-Antoniewicz, proboszcz parafii stanisławowskiej w drugiej połowie XVIII wieku. Nie tylko doprowadził kościół ormiański do świetności, ale i zasłużył się dla miasta.

**O**rmianie pojawili się w Stanisławowie wkrótce po założeniu grodu. Andrzej Potocki ściągnął ich z Mołdawii i Siedmiogrodu, aby ożywić handel. Szukali schronienia przed Turkami, którzy podbili Armenię. Ormianie mieli swój język i swój alfabet. Byli katolikami, ale otrzymali swój ormiański obrządek, trzeci po rzymskim i greckim. W Stanisławowie z miejsca nadano im specjalne prawa do własnego samorządu, wójta i ławników. Otworzyli stragany, zorganizowali słynny na całym Pokuciu jarmark i zbudowali w wyznaczonym miejscu swój drewniany początkowo kościół. Przywozili ze wschodu nie tylko broń oraz korzenne przyprawy, ale przede wszystkim złoto oraz klejnoty, i wkrótce opanowali całkowicie cech złotniczy. Zaczęli wyprawiać safianowe skóry z hodowanych przez Huculów jagniąt, robić delikatne kozuszkę, ozdobne szlacheckie pasy do kontuszów i założyli cech safianistów. Stanisławowski jarmark ormiański stał się słynny na całą



Polskę, a Ormianie błyskawicznie się wzbo-  
gacili. Nie bez kozery też mawiano wów-  
czas, że gdziekolwiek pojawi się Ormianin,  
tam będzie płakać dwóch Żydów, czterech  
Niemców i ośmiu Polaków. W Stanisławo-  
wie wszakże, we Lwowie oraz w całej poł-  
dniowo-wschodniej połaci kraju szybko ich  
polubiono, bo oprócz obrotności charakte-  
ryzowała ich uczciwość i utożsamienie się  
z nową Ojczyzną, jaką stała się dla nich  
Polska. Nigdy nie było ich za wielu. Od 500  
za czasów Potockich do 200–300 w okresie  
międzywojennym, ale zawsze byli elitą. To ze  
Stanisławowa i Lwowa wzięły początek uwa-  
żane z czasem za rdzennie polskie i wielce  
dla nas zasłużone ormiańskie rody. I wzbo-  
gacili nie tylko handel, ale i polską kulturę.  
*Gente Armenus natione  
Polonus* mawiano.

Ormianinem był ży-  
jący na przełomie XVI  
i XVII stulecia jeden  
z pierwszych polskich  
poetów Szymon Szymo-  
nowic, który nim został  
uszlachcony, nazywał  
się Symon Symonides.  
A także sekretarz Kom-  
sji Edukacji Narodowej  
Grzegorz Piramowicz.  
Ormianinem był wyzna-  
lca destylacji ropy  
Ignacy Łukasiewicz, któ-  
ry skonstruował lampę  
naftową. Niepodległości  
Polski domagał się od  
Austriaków w 1913 roku

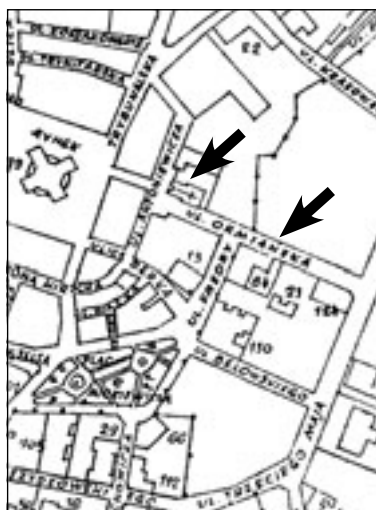
w galicyjskim sejmie arcybiskup ormiań-  
ski Józef Teodorowicz. To właśnie on jako  
poseł do pierwszego sejmu II Rzeczy-  
pospolitej dostąpił zaszczytu wygłoszenia in-  
augurującego obrady przemówienia. Gdy  
więc stanisławowscy Ormianie zbudowali  
własny, już murowany kościół, zaczęła do  
niego masowo chodzić również polska lud-  
ność. Zwłaszcza gdy w rok po zbudowaniu  
kościółka umieszczony na głównym ołtarzu  
obraz Matki Boskiej zaczął spływać łzami.  
Była to wierna kopia Jasnogórskiej Matki  
Bożej, wykonana w XVII wieku przez nie-  
znanego malarza, która została zakupiona  
przez stanisławowskich Ormian i umieszczona  
w pierwszym drewnianym kościółku. I tej  
stanisławowskiej Matce Bożej przypisano

dziesiątki cudownych uzdrowień, czego do-  
wodem były podziwiane przeze mnie w tym  
kościółce ogromne ilości złotych dowodów  
wdzięczności, zwanych wotami, w gablot-  
kach zawieszonych na wszystkich ścianach  
świątyni. Gwałtowny pożar, który wybuchł  
w 1867 roku w znajdującej się w pobliżu  
żydowskiej dzielnicy, na Belwederze, ogar-  
nął kościół. Cudowny obrazomal nie spłonął,  
ale wierni z narażeniem życia uratowali  
świętość i tylko lekko nadpalony z prawej  
strony róg obrazu pozostał śladem po kłę-  
sce, która strawiła miasto. A kościół odbudo-  
wano szybko w identycznym kształcie. Jak  
przez mgłę pamiętam koronację cudownego  
wizerunku Matki Boskiej z ormiańskiego ko-  
ścioła, która odbyła się w maju 1937 roku.

Całą procedurę związa-  
ną z koronacją obrazu,  
a także samą ceremonię  
bardzo starannie i przez  
kilka lat przygotowywał  
proboszcz parafii or-  
miańskiej, cieszący się  
w całym mieście wiel-  
kim szacunkiem ksiądz  
Franciszek Komusie-  
wicz. Niestety, nie dożył  
samej uroczystości.

**M**iałem wtedy 8 lat.  
Przed naszym domem  
na Sapieżyńskiej usta-  
wiliśmy stół kuchenny,  
a na nim dzbanki z wodą  
i blaszane kubki dla cią-  
gnących jedna za drugą

procesji pielgrzymów, które od rana zmierz-  
ły do miasta z kierunku Tyśmienicy. Były to  
tłumy, również zza Karpat, z Rumunii i Cze-  
chosłowacji. Zjechali też Ormianie z całej  
Polski. A potem z rodzicami pomaszerowa-  
łem przez umajone girlandami kwiatów oraz  
udekorowane polskimi, papieskimi i biało-  
niebieskimi maryjnymi flagami miasto na  
pola Dąbrowy, gdzie odbywała się ceremonia  
koronacji. Mieliliśmy tam wyznaczone swoje  
krzesła, a na ogromnym podium zasiadli  
dostojnicy kościelni z prymasem Polski, kar-  
dynałem Augustem Hlondem, który po raz  
pierwszy przybył do Stanisławowa w asyście  
wszystkich polskich biskupów. Ale to nie  
on, a arcybiskup Teodorowicz ukoronował  
obraz. W tej koronacji, jak potem mówiono,



wzięło udział ponad 80 tysięcy ludzi, a więc więcej niż mieszkańców Stanisławowa. Do Ormian, jak to się w Stanisławowie mawiało, zacząłem systematycznie chodzić razem ze swoimi kolegami z ćwiczeniówki za sowieckich czasów. Zapisaliśmy się do kółka ministrantów i była to jedyna *de facto*, również podczas niemieckiej okupacji, polska organizacja. Były nas całe tłumy, a przy nieszporach odprawianych przez księdza Kazimierza Filipiaka mogło asystować tylko trzynastu. Dziesięciu wychodziło z księdzem i podczas odprawiania nieszporów klęczało przed ołtarzem. Czterech z nas miało dzwonki i dzwoniło w odpowiednich momentach. A trzech wychodziło z kadzidłem i mirrą.

Kłóciliśmy się zawzięcie o to, kto będzie służył do nieszporów i na niedzielnej sumie, o komże z ładniejszą koronką, o kołnierzyki, o to, kto będzie miał dzwonek i – co było najbardziej atrakcyjne – o funkcję kadzidłowego. Nie trzeba było bowiem wtedy klęczeć przez całe nabożeństwo, a czekało się na wyjście w zakrystii, kręcąc młynka ogniem przed zakrystią, aby węgielki odpowiednio się zarzyły, kiedy ksiądz Filipiak nasypie mirry i będzie okadzał ołtarz. Opiekujący się ministrantami zakry-



Kościół ormiański w Stanisławowie

stian pan Engel, z czarną opaską na jednym oku, bo stracił je na wojnie, nie radził sobie z nami, dlatego że był równocześnie organistą i musiał odpowiednio wcześniej wejść na galerię z organami. A jak już zasiadł przy organach, to w dodatku okropnie zawodził. A my już bez nadzoru wyrwaliśmy sobie dzwonki i kadzidło, aż ksiądz Filipiak zorientował się w naszych namyślnościach i prezesem kółka mianował starszego od nas o kilka lat Romka Sobaszkana. A ten wpadł na genialny pomysł i ustalił listę dyżurów w kolejności według egzaminu z ormiańskiej liturgii oraz odmawiania „Zdrowaś Mario” po ormiańsku. Nigdy więc nie zapomnę, że ta modlitwa zaczyna się od słów *Wochczum kez Mariam...* bo dzięki znajomości tego pacierza szybko awansowałem na ogniomistrza, czyli tego, który miał dbać

o żarzące się węgielki. Romka, który został później księdzem, słuchaliśmy, bo trochę go się baliśmy, natomiast wręcz uwielbialiśmy księdza Filipiaka.

**B**ył wikarym, ale rządził wszystkim, gdyż proboszcz parafii ormiańskiej, ksiądz prałat Leon Isakowicz, był chorowity i rzadko się pokazywał. Ksiądz Filipiak nie był Ormianinem. Pochodził z Tymbarku, a więc był góralem. Był przystojny i wysportowany, miał jasne zaczesane do góry bujne włosy. W przeciwieństwie do okropnie zawodzącego organisty Engela – pięknie śpiewał. Na odprawiane przez niego po ormiańsku msze śpiewane zawsze przychodziły tłumy. I był odważny,

bo kiedy do Stanisławowa wkroczyli Niemcy, zorganizował wraz z prałatem Isakowiczem wystawianie Żydom ormiańskich metryk, które uratowały ich od zagłady. Nie było nas już w Stanisławowie, kiedy podczas łapanki w marcu 1944 roku obaj ormiańscy księża ukryli przed gestapowcami w kościele oraz zakrystii kilkadziesiąt poszukiwanych młodych osób, w tym przyszłą profesor biologii Uniwersytetu Jagiellońskiego Marię Jordan. Po zakończeniu wojny dzięki odwadze i niezwy-

klej przytomności umysłu księdzu Filipiakowi udało się ocalić cudowny obraz i wywieźć go ze Stanisławowa. Kiedy w ramach tak zwanej akcji repatriacyjnej uzyskał zgodę na wywiezienie wyposażenia kościoła i wszystko było już spakowane, zjawiła się kontrola NKWD z żądaniem przekazania ikony ze złotą koroną, która nie może być zabrana do Polski, ponieważ jest ważnym zabytkiem i musi pozostać na miejscu. I wtedy ksiądz Filipiak wyprowadził oficera NKWD przed kościół i pokazał mu znajdujący się między wieżami obraz. Była to powiększona replika sylwetki cudownej Matki Boskiej, wykonana na blasze i umieszczona na tympanonie. I ponoć słowami *nawet gdybym chciał, nie mógłbym zabrać tego obrazu ze złota, bo jest przymocowany*. W tym momencie wyszło zza chmur słońce i replika zaślniła zło-

tem. Bo rzeczywiście umieszczona wysoko między dwiema kopułami wież kopia obrazu, konkretnie szaty i korona Matki Boskiej, były pokryte cienkimi płatkami złota. Ten niewątpliwie kosztowny zabieg dla uczczenia pamiętnej koronacji na zamówienie probostwa wykonał ojciec mojego serdecznego kolegi z klasy Stasia Siemka, który podobnie jak ja był ministrantem w kościele ormiańskim. Pan Leopold Siemek był kartografem i autorem mapy przedwojennego Stanisławowa. Miał wszakże artystyczną duszę, a że był również oddany ormiańskiej świątyni, na prośbę księdza Komusiewicza społecznie wykonał tę żmudną pracę. Zapewne nie przewidział, że uratuje cudowny obraz. Enkawudzista ściągnął jeszcze specjalistę, który po specjalnie ściągniętej strażackiej drabinie wszedł na fasadę i potwierdził, że są to autentycznie złote płatki, bo albo nie znał, albo zataił prawdę. Wtedy dopiero oficer zrezygnował z otwierania skrzyń i dalszych poszukiwań. Dla wszelkiej pewności ksiądz Filipiak nie zaryzykował przewiezienia cudownego obrazu w transporcie kolejowym z dobytym kościelnym i powierzył go zaufanej parze starszych Ormian, którzy schowali bezcenny skarb



Wnętrze kościoła ormiańskiego

w wozie z podwójnym dnem i w maju 1946 roku przewieźli w ramach akcji repatriacyjnej przez granicę do miejscowości Frysztak pod Jasłem.

Ksiądz Filipiak wraz ze stanisławowską cudowną Matką Bożą długo nie mógł jednak znaleźć dla siebie miejsca w Polsce Ludowej. Może z tego względu, że strzegł jej w imię ormiańskiej diecezji, która po utracie Lwowa przestała istnieć, a na łaskawość ludowej władzy też nie mógł liczyć. A i Ormian było mało, bo w ramach repatriacji rozsypali się po całej Polsce, włącznie z odzyskanymi ziemiami i po prostu przestali istnieć jako społeczność. Więc naprzód było Opole, gdzie na krótko ksiądz Filipiak otrzymał najmniejszy w tym mieście kościół, a właściwie kaplicę św. Sebastiana na Małym Rynku. Potem polecono mu przenieść się do para-

fii Pawłowo w archidiecezji gnieźnieńskiej. A stamtąd wrócił do rodzinnego Tymbarku, gdzie przechowywał obraz w swojej prywatnej kaplicy domowej i odprawiał nadal mszę w obrządku ormiańskim. Te trudne do zrozumienia kłopoty skończyły się dopiero w dwanaście lat po wyjeździe ze Stanisławowa, kiedy w 1958 roku ksiądz Filipiak na własną rękę wybrał się do Gdańska i tam wyjednał zgodę Kurii Biskupiej na ulokowanie stanisławowskiej ikony w spalonym w czasie wojny kościele Apostołów Piotra i Pawła w Gdańsku na Żabim Kruku. Ksiądz Filipiak odbudował jedną nawę, a obraz umieścił w zamienionej w sanktuarium zakrystii. Mimo tych wszystkich kłopotów zachowy-

wał pogodę ducha i poczucie humoru, bo kiedy odwiedziłem go w latach siedemdziesiątych, w opowieści o swoich losach mimochodem wtrącił, że tylko jeden Chrystus wie, ile kłopotów miał z jego Matką! Oprócz wielkiego szacunku cieszył się już wtedy oficjalnym uznaniem, bo mianowano go proboszczem parafii ormiańskiej obejmującej cały kraj. Ksiądz Filipiak nie tylko powoli odbudowywał kościół, ale jeździł po całym kraju, odszukiwał i spisywał Ormian. W kościelnej hierarchii podniesiono go do

godności prałata i wikariusza generalnego Prymasa Polski do spraw obrządku ormiańskiego. Było coś znamiennego i wzruszającego w tym, że za to wszystko, co Ormianie zrobili dla Polski, góral z Podhala, Polak, uczynił tak wiele dla ocalenia obrządku ormiańskiego w naszej Ojczyźnie. A po śmierci księdza Filipiaka w 1992 r. parafię na Żabim Kruku objął, co ciekawe, podobnie jak ksiądz Filipiak rodowity Polak, ksiądz Cezary Annusewicz, który z powodzeniem kontynuuje dzieło odbudowy świątyni i zapewnił w Gdańsku godne chwały miejsce cudownej Matce Bożej ze Stanisławowa.

*Rozdział książki, która ukaże się jesienią nakładem Wydawnictwa „Iskry”. Notkę biograficzną Tadeusza Olszańskiego zamieściliśmy w CL 2/05.*

# Garść refleksji

## O LATACH PRZEDWOJENNYCH W ZIEMI LWOWSKIEJ

Helena Żołnierzowa

Przeczytałam ostatnio książkę profesora A. Szczeklika, w której autor mówi, że w ostatnim wieku życie wydłużyło się o około 25 lat. Cofnęłam się więc myślą do moich przodków: i tak oto moi dziadkowie żyli 41 i 63 lata, babcie obie – po 74 lata, rodzice – po 79 lat. Ja zaś skończyłam 86 i czuję się niezłe. Żyją moi dwaj bracia – 81 i 79 lat. Policzyłam teraz moje koleżanki z klasy maturalnej z Kamionki Strumiłowej, no i żyje nas tylko 5 kobiet. Mężczyźni wymarli.

Wpadły mi też ostatnio w ręce dane statystyczne o szkolnictwie średnim. I oto przed wojną maturę zdawało w Polsce rocznie ok. 13 500 osób, obecnie ok. 450 000. Proporcje niewiarygodne. Liczba ludności mniej więcej podobna. Można stąd wyciągnąć wniosek na temat wartości matury przedwojennej i obecnej. W szkole średniej przed wojną roczne czesne wynosiło 220 złotych – to były dwie pensje nauczycielskie. Dobrze, że obecne pokolenie uczy się, bo nasze pokolenie przekonało się o wartości nauki. Na Wschodzie zostały nasze domy, ogrody, pola, a jedyne, co zabraliśmy – to to, co w głowach.

W zeszłym roku odwiedziłam mój dom rodzinny na Wschodzie, już bez tak wielkich wzruszeń, jakie przeżyłam, gdy w latach 70. byłam tam po raz pierwszy po opuszczeniu ojcowizny. Być może w starszym wieku wszystkie przeżycia są mniej intensywne. Wzruszył mnie mieszkający w naszym domu parobek mojego ojca z lat 30., dziś 95-letni Iwaś – wyprostowany, z kosą na ramieniu, wracający z ogrodu. Wtedy, w latach 30., pracował też u mojego ojca Piotrek Czarniecki – Ukraińiec o tak polsko brzmiącym nazwisku. W niektórych wsiach była tylko cerkiew i tam chrzczono dzieci. Stąd w tych właśnie wsiach ludzie o polskich nazwiskach: Kulczyński, Nieznanowski, Skotnicki – byli Ukraińcami. Nasz Piotrek został powołany w '39 roku na

wojnę, był na froncie ranny i dostał się do niewoli niemieckiej. Jako Ukraińiec został z niewoli zwolniony i odwiedził nas w czasie okupacji niemieckiej. Przed wojną nie było karier majątkowych z dnia na dzień. Ludzie dorabiali się z pokolenia na pokolenie ciężką pracą i oszczędnością. Szanowano też każdą pracę, a szczególnie państwową. Dzieci słyszały – szczególnie od babci – napomnienia, każde wykroczenie było grzechem, za wszystko Bozia się gniewała. I ciągle napędzanie do pracy. To starczało do pewnego wieku, ale w ten sposób osiągało się cel, kształtowało się pracowitość i uczciwość. Ważne było i to, że w małych zbiorowościach nikt nie jest anonimowy. Skłaniało to do dbania o własną opinię i opinię rodziny. To rozwój cywilizacji i migracje niosą ze sobą wzrost przestępczości i demoralizację, co i dziś często widzimy. Już przed wojną Melchior Wańkowicz pisał w swoich reportażach o wielkiej zależności uprzemysłowienia i przestępczości w Centralnym Okręgu Przemysłowym.

Miałam 8 lat, gdy wybuchł wielki kryzys. Pamiętam, jak do ojca przychodzili sąsiedzi, czytali gazetę o krachu na giełdzie i po swojemu komentowali. W tym czasie ojciec kupił kilka morgów pola od sąsiada, który nabył gospodarstwo z parcelacji na Wołyniu. Ojciec zapłacił, a na następny dzień sprzedający prosił, by tę kwotę wymienić na dolary, bo złotówka jest niepewna. Dolar kosztował wtedy 9–10 zł. Po kryzysie – od 35 roku aż do wybuchu wojny – kurs dolara był stabilny, ok. 5,20 zł. Złotówka miała dużą wartość nabywczą, o pieniądzu było trudno, było bezrobocie i przeludnienie wsi.

W latach 30. zaczęły się też niepokoje polityczne w związku z działalnością nacjonalistów ukraińskich. W 1931 roku zginął z rąk ukraińskich poseł Tadeusz Hołówko, zaś w roku 1934 został zamordowany minister Bronisław Pieracki, też przez Ukraińców. Od tego czasu wzmożła się nienawiść i wrogość.

W moich czasach w województwach wschodnich szkoły powszechne i średnie miały dni wolne od nauki także we wszystkie święta grekokatolickie. Było to mile widziane przez uczniów, bo tych świąt było dużo. Stosunki między uczniami różnych narodowości, tak w szkole powszechnej, jak i w gimnazjum, były zawsze dobre, różnice narodowe i religijne nie odgrywały żadnej roli. Tak samo stosunki między nauczycielami różnych wyznań i narodowości. Pamiętam, jak w lecie na dużej przerwie spacerowali i dyskutowali trzej nauczyciele religii: nasz ks. dr J. Kutowski, grekokatolicki ksiądz Dawosyr i nauczyciel religii możeszowej Bauer. Nieraz przystawali, mocno dyskutowali, gestykulowali, ale zawsze z przyjaznym uśmiechem. Grono nauczycielskie było zróżnicowane narodowościowo, szczególnie w gimnazjum. W moich czasach w naszym kamioneckim gimnazjum było 6–7 profesorów Polaków, 3 profesorów Ukraińców, 3 Żydów – dwóch z nich z tytułami doktora. Po prostu ten obszar był zawsze wielonarodowy.

W pobliżu Kamionki były dwie wsie kolonistów niemieckich z przełomu XVIII i XIX wieku. Rzymscy katolicy mieszkali w Jagonii, natomiast w Sapieżance – luteranie. Większość mieszkańców tych wsi po wkroczeniu Sowietów – kiedy były jeszcze dobre stosunki niemiecko-sowieckie – zarejestrowała się i w 1940 roku wyjechała w Łódzkie i Poznańskie, na gospodarstwa pozostawione przez wysiedlonych Polaków.

Po wielkim kryzysie sytuacja ludności zaczęła się poprawiać. Dużo młodych mężczyzn po skończeniu szkoły przemysłowej w Kamionce (założył ją hrabia Badeni wtedy, gdy był posłem sejmiku galicyjskiego w Wiedniu) dostawało dobrze płatną pracę w Centralnym Okręgu Przemysłowym – w Rzeszowie, Stalowej Woli, a nawet w Gdyni. A przecież ta wolna Polska trwała zaledwie 18 lat, bo w 1919 w Galicji była wojna ukraińska, w 1920 wojna bolszewicka, w 1921 plebiscyt na Śląsku, kilka powojennych lat autonomia Śląska i Poznańskiego, no i scalenie po 123 latach organizmu państwowego na niejednorodnym obszarze przy dużej ilości obywateli innych narodowości.

Jak na tak krótki i trudny czas oraz ówczesne standardy cywilizacyjne zrobiono bardzo wiele.

---

## SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- -HISTORYCZNY

---

### CHOROSTKÓW

Miasteczko w pow. husiatyńskim, wojew. tarnopolskim, położone na płn.zach. od Husiatyna i ok.10 km na płn. od Kopyczyniec. Leży nad rzeczką Tajną, w bardzo urodzajnej okolicy. Parafie obu obrządków znajdowały się w miejscu.

**Historia.** Za czasów I Rzeczypospolitej należał do dóbr sanguszkowskich. Parafia rzym.kat. istnieć tu miała od pocz. XVII wieku. Pod koniec XVIII w. Chorostków wraz z okolicznymi wsiami zakupił Józef Kalasanty Lewicki h. Rogala. Syn jego Kajetan, członek austriackiej Izby Panów i słynny hodowca koni rasowych, utworzył ordynację chorostkowską. Był on ostatnim męskim potomkiem rodziny. Po jego śmierci ordynacja przeszła na jego jedyną córkę Zofię, zamężną za hr. Wilhelmem Stanisławem Siemieńskim h. Dąbrowa. Uzyskał on od cesarza Franciszka Józefa w 1869 r. pozwolenie na używanie podwójnego nazwiska: Siemieński-Lewicki i tytuł drugiego ordynata chorostkowskiego. Wypełniając obowiązek nałożony przez pierwszego ordynata na następców, prowadził na szeroką skalę hodowlę koni, które chętnie zakupywali austriaccy oficerowie, arystokracja oraz kupcy z Niemiec. Posłował na sejmy (1871–1882). Był dożywotnim członkiem Izby Panów, działaczem gospodarczym i społecznym. Ordynację po nim odziedziczyli: syn, Stanisław Kostka (zm.1918), a następnie wnuk, Jan Stanisław (zm. 1971 w Montrealu).

**Zabytki.** Kościół parafialny, murywany, zbudowany w mieszanym stylu neoromańskim i neogotyckim, ufundowany w 1859 r. przez Kajetana Lewickiego, konsekrowany w 1872 r. Kaplica cmentarna, neogotycka, w podziemiach której chowano właścicieli.

Zespół pałacowy, wybudowany przez Józefa K. Lewickiego pod koniec XVIII w. lub na pocz. XIX w., złożony z pałacu, oficyny, stajni i ujeżdżalni. Pałac założony na rzucie szerokiego prostokąta, parterowy, jedenastoosiowy; trójosiowa część środkowa z pozornym ryzalitem, podwyższonym o niskie piętro, poprzedzona płytkim portykiem kolumnowym. W początkach XX w. pałac nie

Leszek Sawicki

# Korzenie, drzewo, złote liście (1)

KRÓTKA OPOWIEŚĆ O KLUBIE KWITNĄCEJ WIŚNI SPISANA PRZEZ «PASKARZA»

**To historyczne.** Mieliśmy po piętnaście lat. Nasza klasa – a była to w roku 1939 klasa 2 b XI Państwowego Gimnazjum we Lwowie, której wychowawcą był biolog, mgr Walerian Blidy – odnalazła się prawie w całości po zakończeniu wrześniowych działań wojennych we Lwowie w XVII sowieckiej szkole średniej jako klasa 7 dziecięciolatki. Wychowawcą był nadal prof. Blidy; zabrakło kilku uczniów, którzy zdołali z rodzicami uciec za granicę, zmarł Edwin Spitz, jeden z nielicznych kolegów-Żydów.

Wraz z Tadzikiem Kasprem na początku października zostałem delegowany na słynny „miting”, czyli wiec przedstawicieli młodzieży gimnazjalnej do kina „Apollo” przy ul. Chorążczyzny, na którym zetknęliśmy się po raz pierwszy z ideami wychowawczymi, jakie miały nas obowiązywać. Balkon sali kinowej był ozdobiony olbrzymim napisem – „łozungiem” – w języku polskim: *DZIĘKUJMY TOWARZYSZOWI STALINOWI ZA NASZE SZCZĘŚLIWE DZIECIŃSTWO!* „Miting”, po kilku przemówieniach, zakończyło odśpiewanie „Międzynarodówki” przez nielicznych, a równocześnie „Boże coś Polskę”, a potem „Roty” – przez większość zebranych. Obie te pieśni przytłoczyły wątlą melodię „Międzynarodówki”. Wyszliśmy z kina podnieceni. Władze wyciągnęły z „mitingu” właściwe wnioski i następny wiec w „Apolu”, który odbył się parę dni później i miał podobny przebieg (ale teraz sala była już obstawiona żołnierzami w niebiesko-czerwonych czapkach) – zakończył się aresztowaniami młodzieży wprost na sali.

W budynku naszego gimnazjum zorganizowano jeden z lokali wyborczych dla przeprowadzenia „głosowania ludności Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi” nad dobrowolnym przyłączeniem tych ziem do ZSRR. Zdziwiło nas, że jako jeden z delegatów do zgromadzenia, które miało decydować o przyłączeniu, występował prof. Krypiakiewicz, Ukraińiec, nasz wykładowca historii.

Wkrótce do naszego gimnazjum przy ulicy Szymonowiczów wprowadzono też

– na razie na zasadzie odrębnych klas – dziewczęta z gimnazjum im. Królowej Jadwigi, gdyż ich budynek przy pobliskiej ulicy Potockiego został zajęty przez szpital wojskowy. Stało się to dla nas wielką sensacją; niektórzy już upatrywali sobie swoje sympatie, a pod pulpitymi ławek znajdowaliśmy (lub sami zostawialiśmy) liściki, gdyż nauka była dwuzmianowa, męsko-żeńska. Pełna koedukacja, czyli połączenie klas w męsko-żeńskie oddziały, nastąpiła później, w 1940 roku. Połączyły się też zespoły nauczycielskie obu gimnazjów, przybyło również wielu nauczycieli, w tym i profesorów-Żydów, uciekinierów z zachodniej Polski. Wśród nich byli i żarliwi komuniści, wyznawcy nowego ładu politycznego.

Pomijam szczegóły dotyczące nauki, nastrojów w szkole, nowych przedmiotów (język ukraiński i rosyjski), nowej historii i nowej geografii ZSRR, gdyż o tym zebrał już chyba wszystko profesor Jerzy Kowalczyk z Krakowa i opublikował w kilku tomach relacji o XI Gimnazjum w 2004 r.

Nadszedł kwiecień 1940 roku. 13 kwietnia zastaliśmy w naszej klasie siedem pustych miejsc w ławkach. Tej nocy zostali wywiezieni wraz z rodzicami do Kazachstanu nasi koledzy: Jurek Dąbrowski, Tadzik Kasper, Zbyszek Ojak, Wicio Wolańczyk, Romuald Pistl, Jurek Baczewski i Kuba Halbersberg (a Mietek Serwacki był aresztowany już wcześniej). Na lekcji niemieckiego profesor Gross, sekretarz gimnazjalnej komórki MOPR (Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom), próbował nam wyjaśnić, że z miasta został usunięty



Paskarz



**Jaśku**



**Staszek**



**Tolek**



**Bolek**



**Tula**



**Wiciu**

element społeczny. Milczeliśmy złowrogo, przerażeni, czekając, kiedy nasze rodziny to samo spotka.

Wywózka kolegów, z którymi się przyjaźniliśmy – czy to na zasadzie przyjaźni osobistych, czy w zastępie harcerskim – spowodowała pustkę w naszych naturalnych odczuciach i wywoływała chęć łączenia się dla obrony przed wszystkim, co było nowe i złe zarazem, a co nas *czerwoną falą* otaczało.

I tak doszło do zbliżenia grupki kolegów z naszej klasy. Zbieraliśmy się w moim domu przy ulicy Łyczakowskiej 143, a raczej w ogrodzie przed domem, gdzie pośrodku roso DRZEWO – piękna rozłożysta wiśnia, tworząca swymi zwisającymi gałęziami coś w rodzaju altany; pod nią był mały stolik i ławeczki. Gęste liście zasłaniały nas i od ulicy i od strony domu, byliśmy „u siebie”. Zaczęliśmy zajmować się sprawami absurdalnymi: planowaniem tego, co po wojnie będziemy robili, więc na przykład wyprawą wodną, spływem Wisłą do morza itp. Nasze spotkania stawały się coraz częstsze, powoli zaczynała nas łączyć przyjaźń. Nie spodziewaliśmy się, że będzie ona trwała przez wiele następnych lat, pół wieku, a nawet dłużej...

Tak powstał Klub Kwitnącej Wiśni, którego członkami – przyjaciółmi zostali: Witold Kowalenko („Totek”), Jan Dudryk („Jaśku”), Zbigniew Dziwota („Małpa”), Stanisław Szczęk („Stasiu”), Bolesław Janiszewski („Bolu-Bolu”) i Leszek Sawicki („Paskarz”), a później Jerzy Martula („Tula”) i Witold Czerwiński („Wiciu”). Dla uproszczenia będę w dalszej części relacji nazywał ich tymi przezwiskami.

Nasze późniejsze losy wielokrotnie łączyły się wzajemnie, przeplatały lub szły równoległe, ale zawsze wspieraliśmy się solidarnie i lojalnie, regularnie spotykali, korespondowali i bawili się, wędrowali i gościli u siebie wzajemnie. Ten dziwny klub istnieje nadal (teraz jest rok 2000) i jest chyba jedynym tego rodzaju związkiem w kraju (przynajmniej ja nie słyszałem o czymś podobnym czy zbliżonym).

**Status i rytuał.** Klub wrychle uzyskał statut (formalnym jego autorem był Stasiu, naonczas nasz główny ideolog, miłośnik „Klubu Pickwicka”). Otóż KKW to

jest „Klub Kwitnącej Wiśni, Związek Pięciu Przyjaciół spod Kwitnącej Wiśni przy Gospodzie pod Wiewiórką”. Ta gospoda to szynk Scheiningera mieszczący się na sąsiedniej realności przy ulicy Łyczakowskiej nr 145, którego właściciel rzeczywiście trzymał wiewiórkę w obracającej się okrągłej klatce (budynek ten już nie istnieje).

Podaję niektóre przepisy naszego statutu. Otóż celem Klubu jest wspólne przyjemne spędzanie czasu. Klub zbiera się na posiedzeniach zwanych *palawerami*. Członkostwo Klubu jest dożywotnie. Klub prowadzi kronikę, w której na bieżąco są spisywane wydarzenia, jak również notowane protokoły palawerów.

Klub posiada swój hymn (gimnazjalnego pochodzenia); jest to *Pieśń o Emilu Knotzu*, czyli „Knocówka”, o następujących słowach pierwszej zwrotki:

*Kto ma hybel, kto ma klajster,  
Kto ma majzel, kto ma spuszcza,  
Kto ma kaktus zamiast gęby  
I kto ma na brzuchu tłuszcz?*

i refren:

*Emil Knotz, Emil Knotz...*

Pieśń jest śpiewana na melodię żartobliwej piosenki niemieckiej „Meine Ohma” (czyli żeglarskiej pieśni „Eine Seefahrt”), w skocznym rytmie.

Tekst piosenki powstał, gdy Emil Knotz, nauczyciel robót ręcznych, czymś bardzo się naszej klasie naraził. Stasiu Szczęk napisał wówczas te buntownicze słowa i wziął je ze sobą na klasową wycieczkę poza miasto; było to tuż przed wybuchem wojny (1939). Wkrótce cała klasa ją śpiewała.



Staw Janowski i Królewska Góra,  
rys. S. Szczęk

Hymn Klubu śpiewa się na zakończenie palawerów, na stojąco, z prawą ręką na sercu. Zarazem pierwszy takt „Knocówki” odgwiżdżany ostrym gwizdem jest naszym sygnałem rozpoznawczym, np. na ulicy, pod oknem, na dworcu kolejowym czy w innych okolicznościach. Mało tego, nasze rodziny (zstępni) przyjęły tę melodię jako swoje znaki rozpoznawcze, bez naszej zgody!

Pozdrowienie klubowe to słowo HALLO! – któremu towarzyszy gest powitania, kiwnięcie otwartą dłonią (klubmeni nie podają sobie ręki).

Ludzkość, według statutu, dzieli się na: 1) członków Klubu, czyli klubmenów; 2) sprzymierzeńców Klubu; 3) dobrodziejów Klubu; 4) rodziny klubmenów; 5) resztę, czyli „popiołków”.

Klub jest instytucją demokratyczną, nikt nie jest jego przywódcą. Rolę przewodniczących na palawerach spełniają kolejno poszczególni klubmeni, zazwyczaj gospodarze danego palaweru.

Palawery Klubu są numerowane. Ostatni (przed napisaniem tych słów) palawer odbył się 2 czerwca 2008 r. w Zrębicach k. Olsztyna (w Jurze Krak.-Częst.) i nosił kolejny numer 197. Kronikarzem Klubu jest Paskarz.

**Korzenie.** Wszyscy członkowie Klubu mają swe bliższe lub dalsze korzenie głęboko utkwione w glebie kresowej. Oto ich skrócona genealogia:

Jasiek, urodzony we Lwowie 20.1.1925, jest synem Longina Dudryka (Darlewskiego), inżyniera PKP, naczelnika parowozowni we Lwowie, i Heleny Twardowskiej, magistra farmacji, córki prof. Kazimierza Twardowskiego, twórcy lwowskiej szkoły filozoficznej.

Tolek, urodzony w Wilnie 22.5.1925, jest synem Ambrożego Kowalenki, inżyniera lwowskiej Dyrekcji Poczty, który w Sankt Petersburgu poślubił Pelagię Bazunow. Jest lwowiakiem od 8 roku życia.

Paskarz, urodzony w Kopyczyńcach 12.8.1924, jest synem Władysława Sawickie-



go, inżyniera mierniczego lwowskiej Izby Skarbowej, i Zofii Mentzel, obojga z Małopolski Wschodniej. Jest lwowiakiem od 1 roku życia.

Tula, urodzony we Lwowie w 1925, jest synem Rudolfa Martuli, lwowskiego budowniczego, i Janiny, szwagierki dr. Stanisława Ostrowskiego, ostatniego prezydenta m. Lwowa.

Staszek, urodzony w Janowie 8.5.1924, jest synem Władysława Szczęka, lwowskiego inżyniera budowy dróg i mostów, i Elżbiety Timoftewicz z Krakowa.

Bolu-Bolu urodził się 31.3.1925 w Grójcu jako syn Rudolfa Janiszewskiego, inspektora szkolnego, pochodzącego z Bukowiny, i Wandy Janowskiej herbu Topór; lwowiak od 1938 roku (poprzednio mieszkał w Rawie Ruskiej).

Wiciu urodził się 13.8.1922 we Lwowie jako syn Eugeniusza Czerwińskiego, architekta, profesora Politechniki Lwowskiej, i Zofii Szyszakowskiej, pochodzącej z Karpat Wschodnich.

## **Dalsze wojenne losy Klubu Kwitnącej Wiśni.**

W roku szkolnym 1940/41 uczęszczaliśmy do 8 klasy XVII szkoły średniej przy ulicy Szymonowiczów. Szkoła była już koedukacyjna. Oprócz wspólnego kolegowania, poza godzinami szkolnymi, łączyły nas wycieczki za miasto, drobny handel (Stasiu, Paskarz – stąd jego przezwisko), zawody sportowe (Tolek, Bolu-Bolu, Jasiek). Wydawaliśmy też w tym czasie własną gazetkę klasową (w jednym egzemplarzu) o tytule „Trzęsienie Ziemi”. Jej wydawcy kryli się pod kryptonimem „Sawkodreszcze” (= Sawicki+Kowalenko+Dreher+Szczęka). Wybuch nowej wojny w 1941 roku i zajęcie miasta przez Niemców przerwały naszą szkolno-młodzieżową prawie że sielankę. Szkołę zamknięto.

Okupacja niemiecka, a zwłaszcza sytuacja żywnościowa, zmusiły nas do pracy, później objął nas również tzw. „Arbeitszwang”, czyli obowiązek pracy i konieczność posiadania „ausweisu”, legitymacji pracy. Tu również wspomagaliśmy się, pracując w urzędzie kwaterunkowym („Quartieramt”), potem w „Baudienście” (służbie budowlanej), ja również na kolei („Ostbahn-Maschinenamt”).

Był już zamieszkały przez właścicieli z powodu zawilgocenia. Mieściły się w nim tylko pokoje gościnne na wypadek większych zjazdów. Oficyna, przebudowana przez Siemieńskich-Lewickich w czwartej ćwierci XIX w. w stylu neobarokowym, z dobudowanym piętrem, zaadaptowana przez właścicieli do celów mieszkalnych. Był to budynek sześciopiętrowy, z środkowym ryzalitem, nakrytym łamanym dachem mansardowym.

Stajnie, również przebudowane przez Siemieńskiego w stylu neobarokowym, składały się z dwóch wydłużonych pawilonów połączonych murem z ośmioma półkolistymi zamkniętymi prześwitami arkadowymi i z bramą pośrodku, wiodącą na dziedziniec stajenny. W pawilonach mieściły się pokoje gościnne, mieszkania dla administracji i służby oraz kuchnia, spiżarnia i pralnia. Ujeżdżalnia koni, stanowiąca *pendant* do oficyny, na planie prostokąta, wysoką na półtorej kondygnacji, z dachem dwuspadowym. Jedenastoosiowa fasada frontowa, z portykiem kolumnowym, zwrócona w stronę pałacowego dziedzińca wjazdowego. Pałac otoczony był parkiem krajobrazowym o powierzchni 40 mórg.

Gościem Chorostkowa był Juliusz Kossak, tworząc wiele dzieł przedstawiających konie z tamtejszej stadniny.

### **KUPICZWOLA**

Wieś w pow. żółkiewskim, wojew. lwowskim, położona w odległości 20 km na pld.wsch. od Żółkwi. Leży nad potokiem Żeldec (prawobrzeżny dopływ Raty). Na granicy pld.zach wsi lesiste wzgórze Perechrystyna (221 m n.p.m.). Należała do parafii rzym.kat. w Kamionce Strumiłowej oraz gr.kat. w Bojańcu.

### **ŁAWOCZNE**

Wieś w pow. stryjskim, wojew. stanisławowskim, położona w dolinie Ławoczanki, która w zachodniej części wsi wpada do potoku Opór, oddalona 70 km na pld.zach. od Stryja, 35 km na pld.wsch. od Skolego. Leży na wys. 663 m n.p.m., otoczona kilkoma pasmami górkami (najwyższy szczyt Jawornik Wielki, 1123 m n.p.m.). Nieurodzajna gleba nadawała się tylko pod uprawę owsa.

Walory krajobrazowe i klimatyczne sprzyjały przekształceniu wsi w miejscowość letniskową oraz uprawianiu sportów zimowych. Stacja kolejowa na linii Lwów–Stryj–Czechosłowacja.

We wsi były dwie cerkwie drewniane, jedna z nich na planie krzyża, zbudowana w r. 1800.

Kolejno własność Czarторыńskich, Lubomirskich, Potockich, a w latach 80. XIX. w. hr. Kinskiego.

**Komplety.** Rozpoczęliśmy wieczorową naukę na tajnych kompletach. W skład mojego pięcioosobowego kompletu wchodziła koleżka z klasy i koleżanka z „Królowki”: Jasiek Dudryk, Jasia Kuczyńska (córka prof. Tadeusza Kuczyńskiego, chemika, wywiezionego później przez Sowietów), Marysia Witkiewicz (córka prof. Romana Witkiewicza, jednego z lwowskich profesorów rozstrzelanych w 1941 r. na Wulce), Zbyszek Zborowski (zaginiął w 1945 roku na Łużycach jako oficer WP, artylerzysta) i ja. Wykłady odbywały się kolejno w naszych mieszkaniach lub u profesorów. Wykładowcami byli najlepsi lwowscy profesorowie gimnazjalni, a nawet wyższych uczelni. Przerobiliśmy w czasie niemieckiej okupacji materiały III i IV klasy gimnazjalnej oraz dwóch klas liceum, ale do matury nie doszliśmy, gdyż działalność kompletów została przerwana w lecie 1944 roku, na początku drugiej okupacji sowieckiej Lwowa.

**Konspiracja.** Niezależnie od osobistych powiązań konspiracyjnych różnych rodzajów, przystąpiliśmy w 1942 roku do formacji zbrojnej, której wyższych szczebli nie znaleźliśmy. Znaleźliśmy się w jednej drużynie organizacji NOW (Narodowej Organizacji Wojskowej), podległej Armii Krajowej. Wyjątkiem był Stasiu, który twierdził że „jemu strzelać nie kazano”. Przechodziliśmy szkolenie na spotkaniach w naszych domach, przerabialiśmy różne tematy, z których główny nosił nazwę „Walki w mieście”, za-

poznawaliśmy się z bronią, którą na krótki okres zbiórki, przynosiły dziewczyny-łączniczki. Zostaliśmy zaprzysiężeni, otrzymaliśmy konspiracyjne pseudonimy. Nasza drużyna miała za zadanie rozpracowywanie otoczenia niemieckiej dyrekcji policji na placu Smolki – kto mieszka wokół, jaki jest układ budynków sąsied-

nich itp. Czekaliśmy na rozpoczęcie działań, które nastąpiły dopiero w lipcu 1944 roku. Życie towarzyskie, zabawy i wycieczki, im bardziej ponure było okupacyjne życie zewnętrzne, tym weselej bawiliśmy się na naszych spotkaniach. Wieczorki taneczne przy patefonie kończyły się obowiązkowo przed godziną policyjną, i wtedy trzeba było na gwałt wsiadać na rowery i podążać do domów, a jeszcze przed tym odprowadzić do domów lub zabezpieczyć powrót dziewcząt, naszych sympatii i koleżanek. Nasz wesoły, przyjacielski krąg uzupełniały dziewczęta: Jasia Kuczyńska, jej przyjaciółki Jadzia Goliaś i Nelly Geppert, Basia Matusiak, Ala Kozłowska, Lidka Burzmińska, Alicja Jurkiewicz i inne.

Prawie każdą pogodną niedzielę spędzaliśmy na wycieczkach za miasto. Głównym celem był zazwyczaj Janów z Górą Królewską i wspaniałym stawem. Do Janowa dowoziła nas leniwie wlokąca się kolej, ale częściej jeździliśmy tam rowerami (24 kilometry). Również okolice Miodowej Groty i Czartowskiej Skały były naszymi wypadowymi miejscami.

**„Home”.** Dzięki pracy w urzędzie kwaterunkowym dostaliśmy „lewy” przydział na opuszczone mieszkanie przy ulicy Asnyka 4, na trzecim piętrze. Lokal ten stał się naszym „Home” klubowym. Tutaj formalnie zamieszkała Tula, gdy po „spaleniu się” w Krakowie musiał szybko zmienić miejsce zamieszkania. „Home” był traktowany przez nas jako miejsce azylu i wypoczynku oraz rezerwa na wypadek ukrywania się. Staraliśmy się, aby „Home” był czysty, to jest aby nie było w nim broni ani gazetki. W „Home” odbywały się też potańcówki, imienniny, obławianie „małych matur”.

**Koniec niemieckiej okupacji. Akcja „Bursa”.** Sowieckie bombardowania lotnicze Lwowa w 1944 roku, zwłaszcza nocne, skłoniły nas do zorganizowania akcji samopomocy. Po każdym nalocie każdy klubmen miał obowiązek objechać na rowerze domy pozostałych klubmenów. Stasiu i Bolu-Bolu mieszkali już wówczas w nowych mieszkaniach, gdyż ich pierwotne domy: Staszka – przy górnej Potockiego i Bolka – przy Wuleckiej, zo-



stały włączone do dzielnicy policyjnej (*SS und Polizei-Wohnbezirk*) i musieli się z nich wyprowadzić. Na szczęście bombardowania – oprócz wybuchu szyb u Bola – nie spowodowały większych strat.

W połowie lipca 1944, po rozpoczęciu sowieckiej ofensywy i zbliżeniu się frontu, nastąpił alarm organizacji i koncentracja oddziałów; my przesiedzieliśmy jedną dobę w podziemiu willi na Własnej Strzesze, ale alarm odwołano. Prawdziwy alarm objął nas dopiero w czasie walk o Lwów. Rozpoczęła się akcja „Burza”. Dostaliśmy opaski biało-czerwone i zaświadczenia-przepustki, staliśmy się członkami plutonu Świtez/II Dzielnicy Śródmieście. Słabo uzbrojeni (w pistolety, stare karabiny i granaty ręczne) zajęliśmy lokal niemieckiej firmy budowlanej Kurt Heim przy ulicy Piłsudskiego 4, tuż koło naszego „Home”, czekając na dalsze rozkazy. Tula zaopatrzył się w „pepeszę” po żołnierzu rosyjskim poległym na rogu Asnyka i Piłsudskiego, czołgając się pod obstrzałem. W walkach o dalsze oczyszczanie śródmieścia nie braliśmy udziału. Po dwóch dniach dostaliśmy rozkaz ukrycia broni i wrócenia do konspiracji.

Bliższy opis tych zdarzeń znajduje się w „Semper Fidelis” (1994, nr 4 i 5). W 1990 roku Tolek, Jasiek i Paskarz zostali odznaczni Krzyżami Armii Krajowej, które im przywiózł z Londynu Zbyszek Ojak.

**Opuszczenie Lwowa. Las i aresztowanie.** W pierwszych dniach sierpnia 1944, po aresztowaniu oficerów sztabu AK i ogłoszeniu mobilizacji naszych roczników, wyjechaliśmy ze Lwowa na zachód, obawiając się aresztowań lub wcielenia do Armii Czerwonej. Podzieleni na dwuosobowe zespoły łapaliśmy na szosie samochody wojskowe i po trochę przemierzaliśmy się pod Przeworsk. Tutaj przyjął nas gościnnie nadleśniczy inżynier Zbigniew Opatek, brat Bolka, naszego kolegi i towarzysza z konspiracji. Przez dwa i pół miesiąca mieszkaliśmy – Tula, Tolek, Jaśku i ja – w leśniczówce Wesoła, współdziałając z tamtejszą AK, złożoną w dużej mierze z lwowskich akowców.

18 sierpnia, na apel generała Bora, wyruszyliśmy na odsiecz warszawskiego powstania, przylączywszy się do wielkie-

### **MSZANIEC**

Wieś w pow. husiatyńskim, wojew. tarnopolskim, wchodząca w skład ordynacji chorostkowskiej. Położona 10 km na pld.wsch. od Tarnopola, przy gościńcu trembowelsko-kopczyńskim, na wys. 189 m npm. Parafia rzym.kat. znajdowała się w Chorostkowie, gr.kat. w miejscu.

### **STRZEMIENIĆ**

Wieś w pow. żółkiewskim, wojew. lwowskim, oddalona o 26 km na pld.wsch. od Żółkwi. Zabudowania leżą w dolince potoku, który wpada do Żelca (prawobrzeżnego dopływu Raty). Położony na wys. 214 m npm. Parafia rzym.kat. znajdowała się w Mostach Wielkich, gr.kat. w Reklńcu. We wsi była cerkiew.

Za czasów I Rzeczypospolitej Strzemiń należał do dóbr koronnych starostwa bełskiego.

W Strzemienu urodził się o. Adam Franciszek Stuziński.

go zbrojnego oddziału 26 pułku piechoty AK. Trzeciego dnia marszu w Sarzynie nad Sanem zostaliśmy otoczeni przez Rosjan i rozproszeni. Wróciliśmy pod Przeworsk do Wesołej, do leśniczówki. Pomagaliśmy tu w instalowaniu drukarni podziemnego pisma „Czyn” (w rzeczywistym podziemiu jednej z gajówek). Dwukrotnie wyjeżdżałem w tym czasie (raz z Tolkim) do Lwowa, przez „zieloną granicę”. Czas w leśniczówce spędzaliśmy na pracach polowych i przerabianiu materiału licealnego, z nadzieją rychłego zdania eksternistycznej matury.

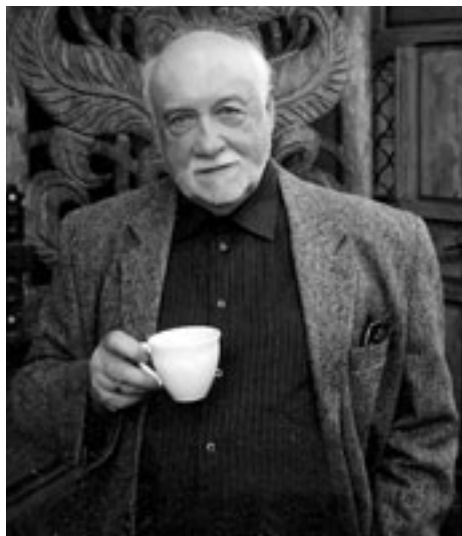
Pod koniec października zostaliśmy (Bolek, Tula, Tolek i ja) aresztowani przez NKWD w czasie wielkiej obławy i spędziliśmy dwa tygodnie w Rzeszowie, w więzieniu urzędzonym w klasztorze Bernardynów. Dzięki klubowej spójności i ściśtemu zmówieniu się – każdy z każdym – ustaliliśmy system naszych zeznań (że pochodzimy z Krakowa, że front zastał nas na robotach „Baudienstu” pod Przeworskiem, itp), w wyniku czego zostaliśmy przez NKWD zwolnieni, a raczej wcieleni jako rekruci do Wojska Polskiego. Wiele osób aresztowanych w tej obławie wywieziono do Rosji (inżynier Opatek, nasz szkolny kolega Jasiu Hollender), niektórzy – nie wrócili (Zbyszek Kuźmiak).

*Dokończenie w następnym numerze*

# Ze Zbigniewem Chrzanowskim

dyrektorem Teatru Polskiego  
we Lwowie

rozmawia Janusz M. Paluch



Panie dyrektorze, za kilka godzin stanie pan na scenie krakowskiego Teatru Bagatela, gdzie wraz ze swym zespołem przedstawić publiczności, wśród której będzie bardzo dużo osób o lwowskich korzeniach, komedię Mariana Hemara *Dwóch panów B.* Tym razem wizyta Teatru Polskiego ze Lwowa związana jest z obchodami jubileuszu 50-lecia Teatru. Czy zechciałby Pan omówić to niezwykle wydarzenie – dlaczego ten jubileusz jest tak ważny?

Jeżeli 50 lat uznalibyśmy za mało ważne dla teatru nieprofesjonalnego, dla teatru, który wystartował w realiach powojennego Lwowa, kiedy do minimum skurczyła się społeczność polska, kiedy Lwów został pozabawiony zawodowej sceny polskiej, kiedy ostatni zawodowi polscy aktorzy odjechali ze Lwowa w roku bodajże 1945, to który jubileusz miałby być ważny? Dopiero 100-lecie?! Dla naszego teatru każdy rok, każda chwila są niebywale ważne, a i każda okazja do tego, by podkreślić obecność we Lwowie polskiej sztuki, polskiej kultury.

Teatr powstał w 1958 roku, i dla niego jest to bardzo ważna data. Może nie upominałbym się o miejsce w historii, ale dla nas samych, dla ludzi, którzy mieszkali i ostali się we Lwowie, stworzenie placówki kulturalnej, tym bardziej teatralnej, było i jest rzeczą niezwykle ważną. Być może 50 lat temu nikt poważnie nie traktował powstania tego zespołu. Ale w tej chwili, kiedy możemy podsumować jego repertuar, jego lata działalności, jego koleje losu, wszystko urasta do rzeczy szalenie ważnych – dla miasta, dla kultury teatralnej zarówno Lwowa, jak i polskiej. Działając w przestrzeni absolutnie już nie polskojęzycznej, potrafilibyśmy utrzymać polski repertuar, słowo polskie, co jest we Lwowie bardzo ważne, i to jest zasługą tych ludzi, którzy na przestrzeni tego półwiecza byli związani z zespołem. Oczywiście największe honory winniśmy przede wszystkim naszemu nauczycielowi Piotrowi Hausvaterowi, który najpierw wychowywał nas w polskich szkołach. To on powołał ten zespół, kiedy był już na emeryturze. Z czasem zespół wystartował na szkolnej scenie. Taki był początek naszego teatru.

**Wiem, że jesteście już po jubileuszowych obchodach we Lwowie.**

Rzeczywiście, 19 kwietnia tego roku na tej samej scenie, w tym samym dniu, tylko 50 lat później, zagraliśmy tę samą sztukę, czyli farsę Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego *Babcia i wnuczek*. To był nasz prawdziwy, choć mały jubileusz, ale tylko dlatego, że w małej sali i na małej scenie. Następnego dnia, 20 kwietnia, w kościele św. Marii Magdaleny, naszym parafialnym kościele, odbyła się uroczysta msza święta poświęcona naszemu jubileuszowi, za co jestem niezmiernie wdzięczny księdzu biskupowi Leonowi Małemu, który tę mszę celebrował. Ksiądz biskup jest naszym wiernym widzem i bardzo często przychodzi na spektakle. Znaczniejsze obchody odbyły się 19 maja, kiedy zagraliśmy na dużej scenie w Teatrze Skarbkowkim, specjalnie na tę okazję wypożyczonym.

**Pan jest związany z teatrem od samego początku. Jak wspomina Pan premierę 19 kwietnia 1958 r.? Przecież to były bardzo dramatyczne czasy, ówczesny Związek Radziecki był już wprawdzie w okresie tzw. odwilży politycznej,**

**ale tam zawsze społeczeństwo było trzymane na dość „krótkiej smyczy”...**

Myślę, że ten czas, właśnie po odwilży, był sprzyjający dla tego typu działalności. To, co stworzył prof. Hausvater, było właściwie teatrem szkolno-domowym, próby do przedstawienia rozpoczęły się w jego prywatnym mieszkaniu. Tuż po Gałczyńskim była przygotowana olbrzymia pozycja, nie najłatwiejsza nawet dla teatru zawodowego: *Balladyna* Juliusza Słowackiego. W 1959 r. przygotowaliśmy fragmenty dramatów Słowackiego z okazji jego 150. urodzin. Wystąpiliśmy wówczas na jakimś przeglądzie miejskim. Zauważono nas i zaproponowano przejście do Obwodowego Domu Nauczyciela z racji tego, że kierownik artystyczny był emerytowanym nauczycielem, więc w tym pionie nauczycielskim będzie nam najłatwiej pracować. I do dziś jesteśmy nawet w tym samym budynku, w dawnym Pałacu Bielskich przy ul. Kopernika 42. Do dzisiejszego dnia pracujemy tam na malutkiej scenie, 5x5 metrów.

**A wydaje się, że ta scena jest znacznie większa!**

My potrafimy ją dostosować do potrzeb spektakli. Na przykład w komedii Szekspira *Sen nocy letniej* zrobiliśmy duże proscenium. Wszystko wiąże się jednak z ograniczoną liczbą widzów. Sala pomieścić może bowiem tylko do 100 osób. Ale to nauczyło nas także tego, że potrafimy transponować nasze przedstawienia na duże sceny. Nigdy nie mamy kłopotu zaistnienia na innej scenie. Na przykład scenografia zaplanowana do *Dwóch panów B.*, którą przedstawiamy dzisiaj w teatrze Bagatela w Krakowie, pochodzi z naszej małej scenki. Ale przecież doskonale sobie radzimy też na scenie teatru im. Juliusza Słowackiego, a także na lwowskich dużych scenach.

**Przez te pół wieku przez scenę teatru przeszło wiele osób. Niektórzy pozostawili po sobie trwale ślady. Może pan ich przypomnieć?**

Ta kłamra, która spina lata 1958 i 2008, jest ogromnie ważna nie tylko dla teatru, ale dla

nas, trwających we Lwowie. Ludzie, którzy byli związani z naszym teatrem, zawsze wiele serca wkładali w pracę. Niektórzy niestety nie doczekali tego pięknego jubileuszu. Myślę tu o wspaniałej aktorce naszej sceny Jolancie Martynowicz, Annie Hausvater – córce naszego mistrza; myślę też o zmarłym w zeszłym roku Walerym Bortiakowie, człowieku, który miał ogromne zasługi w budowaniu tego teatru, jego repertuaru, wizji teatralnej. Był on scenografem, reżyserem i aktorem równocześnie. Jego kariera aktorska rozpoczęła się od przebrnięcia przez trudne dla Rosjanina słowo „zaprzężony” w komedii Fredry *Mąż i żona*. Myślę też o całym szeregu ludzi, dla których teatr był profesją. Nie mogę w tym miejscu pominąć kompozytora Andrzeja Nikodemowicza, mieszkającego obecnie w Lublinie, a który dla teatru pisał muzykę i przez lata stworzył kilka bardzo istotnych kompozycji teatralnych. Była to muzyka do *Wesela* Stanisława Wyspiańskiego, do granych przez nas komedii Aleksandra Fredry.

**Z Teatrem jest pan od początku, a jak długo jest Pan jego dyrektorem?**

Dyrektorem zostałem po śmierci profesora Hausvatera, w 1966 r. To był również rok ukończenia przeze mnie studiów w szkole teatralnej. Mówiąc o aktorach, to w tej chwili pracuje już ze mną trzecie pokolenie, a pomału wchodzi do teatru czwarte...

**A nie ma problemów z naborem aktorów do teatru?**

I tak, i nie. Czasy, jeśli chodzi o kompletowanie zespołu, nie są najłatwiejsze, dlate-



Prof. Hausvater wśród członków Teatru



go że utalentowana młodzież wyjeżdża na studia do Polski. Myślą o tym już w licealnych klasach, kiedy mogliby zaczynać pracę w naszym teatrze. Ale nie przychodzą do nas, bo wiedzą, że za chwilę ich nie będzie we Lwowie. Ale mam nadzieję, że ta sytuacja pomału będzie ulegała zmianie i pęd na studia poza Lwowem będzie mniejszy niż w ostatnich dziesięciu latach.

**Pracujecie we Lwowie, mieście, w którym przez lata oficjalnie mówiło się po rosyjsku, a teraz po ukraińsku. Byliście jednak w swoim rodzinnym mieście, wychowywani w języku polskim i potajemnie w kościele rzymskokatolickim, mieście przez lata zamkniętym dla Polaków chcącym przyjechać z tej strony granicy. Nie czuliście się ze świadomością tego wszystkiego obco, nie odczuwaliście wyobcowania?**

Oczywiście nie! Co ciekawe nasz teatr, wydawałoby się, iż działający w sferze językowo wyodrębnionej, takiej enklawie polskiej, nigdy nie był teatrem tylko dla Polaków. Potrafił sobie z biegiem lat przyswoić społeczność rosyjską, ukraińską i żydowską. Przychodzili do teatru zainteresowani jego repertuarem, pewną artystyczną odrębnością i w ten sposób nawiązywała się współpraca między nami. Zawsze chętnie zapraszaliśmy nie tylko na nasze spektakle, ale i do współpracy aktorów rosyjskich i ukraińskich. Organizowaliśmy wspólne wieczory poezji, to było takie wzajemne przenikanie się kultur. Teatr Polski nie izolował się od

życia artystycznego we Lwowie. W miarę możliwości starał się być obecny wszędzie: i na wystawach plastycznych, i na koncertach muzycznych. Ściśle z teatrem związany był prof. Mieczysław Gębarowicz\*, historyk sztuki, który czasami zapraszał nas na fascynujące wycieczki po Lwowie czy do galerii obrazów, gdzie komentował dzieła sztuki albo opowiadał o słynnych wystawach, np. o wystawie portretu polskiego. To były nasze uniwersytety, nasze szkoły teatralne. W tym czasie skąpym, kiedy ludzie odrywali się od swych obowiązków zawodowych, od rodzin, kiedy nie było czasu na pracę studyjną, trzeba było kształcić swoich aktorów na bieżąco, otwierając ich na życie artystyczne Lwowa, na inne teatry, inne spektakle. To pomagało wyrabiać własny styl teatralny i wzbogacało nasze doświadczenie. Kiedy skończyłem szkołę teatralną, wydawałoby się, że rozpoczną normalne warsztaty teatralne. Ale na to nie było nigdy czasu. Skończyłem Szkołę Teatralną w Moskwie, miałem wymienionych nauczycieli pamiętających czasy realizacji *Księżniczki Turandot* w 1922 r. i samego Jewgienija Bagrationowicza Wachtangowa, który był legendą tej szkoły.

**Wspomniał pan prof. Gębarowicza; to wielka postać polskiego Lwowa, swoisty stróż zabytków polskich i kultury we Lwowie, dokumentator tego, co niszczało, co przepadało. Kto jeszcze bywał na spektaklach waszego teatru?**

Nie zetknąłem się osobiście z obecnością o. Rafała Kiernickiego, ale opowiadali mi, że bywał w naszym teatrze. Pojawiał się incognito. Siedział sobie gdzieś tam na uboczu i oglądał przedstawienie. Bywali także inni profesorowie, np. Maria Jarosiewicz, Adam Kuryłło, którzy pozostali we Lwowie. Powoli wycofywali się jednak z życia i kruszały nam te rzędy wypełniane przez ludzi tamtych czasów. Ale pojawiała się nowa publiczność, coraz młodsza, często wielonarodowościowa. We Lwowie język polski nie był barierą. Tym bardziej, że my proponowaliśmy pozycje literackie, które na innych lwowskich scenach nie figurowały. Byliśmy inicjatorami lwowskich prapremier sztuk Sławomira Mrożka czy Tadeusza Różewicza. Te nazwiska stały się przecież w krótkim czasie związane już nie tylko z teatrem polskim, ale i teatrem europejskim.

**No właśnie – repertuar! To przecież on stanowi o tym, jak postrzegany i jak odbierany jest teatr. Proszę powiedzieć o repertuarze Teatru Polskiego we Lwowie.**

Opieramy się na polskiej klasyce, co się absolutnie zgadza, ale po 10 latach działalności teatr zaczął też sięgać po repertuar bardziej uniwersalny, oparty na współczesnej dramaturgii – taką była *Antygona* Jeana Anouilha, komedie Sławomira Mrożka, jak *Karol, Na pełnym morzu*, komedia Szekspira *Sen nocy letniej*, komedie Czechowa *Jubileusz* i *Oświadczyńny* czy spektakl Tadeusza Różewicza *Stara kobieta wysiaduje* i później zrealizowana na przełomie 2000 r. *Kartoteka* tegoż autora. Nasz repertuar nie jest zatem tylko popularyzacją klasyki. Sięgamy także po sztuki współczesne, na wysokim poziomie artystycznym. To wyraziście świadczy o możliwościach artystycznych zespołu.

**Jak na wasze propozycje reagowała cenzura? Była chyba sroższa niż w Polsce?**

Jeśli chodzi o pozycje klasyczne, to nie było problemów z cenzurą. Natomiast w przypadku sztuk współczesnych, to wykazywaliśmy się umiejętnością budowania repertuaru ze świadomością tego, żeby nie narażać zespołu na jakieś kłopoty z cenzurą. Przecież to mogło przenieść się na dalsze szczyki, które mogły naszych aktorów dosięgnąć w ich miejscach pracy! Tak więc na pewno nie sięgaliśmy po bardzo dyskusyjne tematy. Aczkolwiek dostęp do literatury, do dramaturgii nie był wtedy skomplikowany we Lwowie. Docierały wtedy do nas regularnie numery „Dialogu”, ale i cała polska prasa, łącznie z „Teatrem”, który pozwalał nam śledzić panoramę repertuarową nie tylko w Polsce. Oczywiście dokonując wyboru patrzyliśmy też na nasze możliwości, czy jesteśmy w stanie daną sztukę udźwignąć. W swojej praktyce teatralnej nie sięgam po pozycje, które z góry skazane są na niebyt. Mam świadomość możliwości wykonawczych zespołu, nigdy nie prowokuję swoich aktorów do zagrania czegoś, co odczuwam, że nie są w stanie udźwignąć, że jeszcze nie są w stanie tego zrobić. Naprawdę, z niektórymi pozycjami czekam po kilka lat, czekam, aż do danej sztuki dojrzeję.

**Rzeczywiście nie do wszystkich dociera świadomość statusu pańskiego teatru. O Te-**

**atrze Polskim we Lwowie prawie zawsze rozmawiamy jak o instytucji profesjonalnej. A przecież w zespole tylko pan jest z wykształcenia aktorem i reżyserem...**

Nie ukrywamy tego, że jest to teatr nieprofesjonalny. Amatorski. Ale moi aktorzy są artystami z powołania, są ludźmi o nieprzeciętnej wrażliwości, potrafią reagować na pewne rzeczy, nie trzeba ich tego uczyć, nie trzeba im tego tłumaczyć. Zazwyczaj są to ludzie dorośli, nie prowadzą szkolnego teatru. Trafiają ludzie, którzy są na studiach albo już po studiach. Oczywiście ich edukację artystyczną trzeba jednak uzupełniać i to się robi. Teraz jest znacznie łatwiej. Są nagrania znakomitych przedstawień szekspirowskich. Są filmy, a zespół dysponuje dobrym sprzętem technicznym. Tak więc, pracę studyjną można uzupełnić audiowizualną.

**Działacie w tej chwili w kręgu zupełnie innej kultury, ale w strefie języka polskiego. Spoczywa na was wielka odpowiedzialność za kulturę polską. Jak sądzę, są wielkie oczekiwania od was zarówno tu w Polsce, bo jesteście jedyną artystyczną placówką polskojęzyczną w naszym Lwowie, ale i tam, na Kresach, ludzie oczekują od was coraz to nowych spektakli. Jak pan odczuwa ten ciężar, jak pan chce sprostać tym oczekiwaniom?**



Jolanta Martynowicz



Andrzej Nikodemowicz

Jest to z jednej strony nietatwe działanie, dlatego że ten nagły, powiedziałbym, przyptyw do polskości – bo tak byśmy to zjawisko w ostatnich latach nazwali – jest takim pędem śpiewająco-tańcząco-grającym. Jeżeli chodzi o teatr, o słowo, o poezję, to naprawdę nie jest to łatwa działalność i zapotrzebowanie nie jest mniejsze. Mniejsze przede wszystkim ze strony młodego pokolenia, które zainteresowane jest łatwiejszą formą artystyczną, tańcem, piosenką, nie słowem czy jakąś głęboką literaturą. My uparcie trwamy przy tym słowie, prawdziwej literaturze, ale obawiam się, że coraz bardziej jesteśmy idealistami. Występujemy przed różną publicznością. Często wyjeżdżamy też poza Lwów, w jego okolice. Tam spotykamy się z tym, że publiczność czasami nie jest przygotowana do odbioru pewnego rodzaju sztuki. Przez tak długie lata pozbawiona tego kultu słowa polskiego, piękna języka, dzisiaj sięga po jakieś substytuty, łatwiejsze formy artystyczne narzucane przez ogólnie dziś dostępne *mass media*. My na pewno nie będziemy się zmieniać, aczkolwiek nam też nie jest obcy łatwiejszy repertuar, folklor ulicy lwowskiej, łatwiejsza poezja czy piosenka. Również potrafimy się z tym uporać. Akcent stawiamy jednak na ważniejsze dla nas tematy. Być może z czasem uda nam się wychować publiczność, która już się zmieniła. Niestety nie jestem w tym względzie optymistą. Ale nie będę też już nic zmieniał w naszym repertuarze. Bo na przykład powrót do *Wesela* nastąpił nie tylko dlatego, że w ubiegłym roku obchodziliśmy Rok Wyspiańskiego, ale też przez fakt, o którym już wspominałem, że zauważyłem, iż zespół dojrzał do tego, by móc wrócić do przedstawienia, które zostało zrealizowane w 1969 r. i które przez ponad 12 sezonów trwało w repertuarze teatru, aż do 1981 r.! Ciekawostką naszego zespołu jest to, że potrafi przez bardzo długi czas utrzymywać przedstawi-

nia w repertuarze – przykładem jest grana w teatrze przez ponad 15 sezonów *Zemsta* Fredry, którą zrealizował Walery Bortiakow jako scenograf, reżyser i aktor! Oczywiście zmieniają się wykonawcy, ale spektakl jest eksploatowany. Już na początku przez 10 lat utrzymywana była *Panna Maliczewska* Zapolskiej, która powstała w 1961 r. To była moja pierwsza próba reżyserska, która skłoniła mnie do podjęcia studiów w szkole teatralnej, by w końcu uporządkować reżyserską drogę. Oczywiście wiem, że reżyserii nie można się nauczyć, ale szkoła pomogła mi zrozumieć wiele aspektów tej pięknej sztuki.

**Wspomniał pan dramatyczny dla Polski rok 1981, który również rzucił cień na wasz teatr. Czy we wcześniejszej historii teatru były takie zagrożenia, które mogły zniweczyć pracę Hausvatera i pana?**

Nie, wcześniej takie zagrożenia nie miały miejsca. Zryw solidarnościowy w Polsce, w warunkach ówczesnej panujących we Lwowie, o mało co nie zredukował działalności teatru. W 1981 r. był ten jedyny raz, kiedy próbowano wmówić, że teatr zajmuje się nie sztuką, a stał się jakąś platformą polityczną. Oczywiście prowokacja spaliła na panewce. Okazało się, że to insynuacja, bzdura! Nikt nie dał się sprowokować. No i jakoś udało się ominąć te burzliwe zakręty, a *Wesele* było takim punktem, na którym to wszystko się skupiło. Dla niektórych z nas były to czasy bardziej dramatyczne. Wśród nas byli aktorzy będący obywatelami polskimi, którzy studiowali na Politechnice Lwowskiej. Ich po prostu deportowano ze Lwowa. Ja straciłem wówczas pracę w telewizji lwowskiej. Równocześnie z tym otrzymałem zakaz wstępu do teatru. Wtedy podjąłem decyzję o wyjeździe do Polski. Ale po kilku latach wróciłem. Wróciłem już na takich zasadach, że na próby czy na spektakle dojeżdżam do Lwowa. Czuję się więc tak, jakbym nigdy ze Lwowa nie wyjechał. Nie jest to łatwe, ale daje się jeszcze pokochać. Na szczęście był z nami Walery Bortiakow, który podczas mojej nieobecności podjął się kierownictwa i dzięki niemu zespół się utrzymał. A mógł się przecież zupełnie rozpaść. Ba, mało tego! Potrafił w tym czasie doprowadzić do realizacji kilku premier. Wtedy powstała wspomniana już *Zemsta* i *Odpawa posłów greckich* Jana Kochanowskiego.



**Walery Bortiakow to bardzo specyficzna postać. Narodowości rosyjskiej, a z duszy i serca Polak.**

Potrafił być bardzo otwarty na kulturę polską już wtedy, kiedy się pojawił w teatrze. Z czasem język polski stał się dla niego na pewno drugim językiem ojczystym. A ponieważ był niesamowicie wrażliwym człowiekiem na piękno, na sztukę, to i kultura polska, i wszystko to, co było z nią związane, szalenie rozszerzyło jego horyzonty. On nigdy nie przestawał być Rosjaninem, my szanowaliśmy jego narodowość i wszystko to, co sobą reprezentował. Z drugiej strony podziwialiśmy go za to, jak głęboko potrafił poznać polską kulturę, do niej się zbliżyć, pokochać ją, bo tego słowa należy tu użyć, bo to była miłość do kultury polskiej. Zmarł w tamtym roku. To wielka strata, tym bardziej że tak nieoczekiwana. Scenografa można znaleźć i namówić do współpracy z nami, ale takiej osobowości jaką był Walery Bortiakow łatwo się nie znajdzie.

**Scena w Teatrze Skarbkowskim, na której obchodziliście jubileusz, to chyba pierwsza tak duża scena teatru polskiego we Lwowie w XIX w.**

Wcześniej były w innych miejscach sceny teatralne za czasów legendarnych Bogusławskiego i Kamińskiego. Ale ten teatr, który zafundował hrabia Skarbek miastu, naonczas w XIX w., był chyba jednym z największych obiektów teatralnych europejskich. Teatr o ogromnej tradycji. Dla nas

ma to ogromne znaczenie, że możemy się pojawić na deskach tego właśnie teatru. Dla mnie osobiście ma to zdarzenie zupełnie inny wymiar. Ja się w tym gmachu urodziłem. Ta scena, przy której po wojnie pracował mój ojciec, był elektrykiem teatralnym, odsłoniła przede mną swe kulisy, właściwie całą magię teatru, od strony nie widowni, a właśnie zaplecza, te wszystkie zakamarki! Być może też było to jedną z przyczyn, że wybrałem taki, a nie inny zawód. Ale to nie jest nasz pierwszy występ na tej scenie, na której obchodziliśmy wspólnie z aktorami ukraińskimi 200-lecie urodzin Aleksandra Fredry. Tam była grana *Zemsta* w rocznicę jej lwowskiej prapremiery, z udziałem prof. Barbary Lasockiej – znanego fredrologa, która wystąpiła przed publicznością lwowską. W Teatrze Skarbkowskim graliśmy też *Kartotekę* Tadeusza Różewicza. A teraz będziemy grali komedię Mariana Hemara *Dwóch panów B*. Dla mnie osobiście ta scena ma też i takie znaczenie, że w 1975 r. odbyła się tam premiera *Dam i huzarów* Fredry w mojej reżyserii, którą zrealizowałem z ukraińskim teatrem. Ta komedia doczekała się ponad trzystu przedstawień! Była grana do 1981 r. Później wznowiona została w 1988 r. i jeszcze raz zaproszono mnie do realizacji tego przedstawienia. Tak więc są to moje dodatkowe związki z tą sceną i zespołem teatralnym, który tam obecnie pracuje.

**Nie są to chyba jedyne teatry, z którymi Pan współpracuje.**

Oczywiście. Nie są to za częste kontakty, ale zawsze ciekawe i owocują nowymi przedstawieniami. Ostatnio na kameralnej scenie w Teatrze Narodowym im. Iwana Franki w Kijowie zrealizowałem spektakl poświęcony Sarze Bernhardt z Larysą Kadyrową w roli głównej. W roku ubiegłym prezentowała ten monodram w Śródmiejskim Ośrodku Kultury w Krakowie. W operze lwowskiej zrealizowałem prapremierę Myrosława Skoryka *Mojżesz*, opery, która była przygotowana z okazji wizyty Ojca Świętego Jana Pawła II na Ukrainie i we Lwowie. Naturalnie Ojciec Święty nie miał możliwości obejrzenia tego przedstawienia. Podjechał pod teatr, zatrzymał się, ale nie wysiadł z papamobile. Szereg osób było wytypowanych, żeby

*Dokończenie na s. 75*



Wacław Romiński

# PAPIERNIA W BUSKU\*

Papiernia w Busku została założona około 1546 r. na południowym przedmieściu Lipiboki<sup>1</sup>, nad bocznym zalewem Bugu, który następnie otrzymał nazwę „Papiernickiego Stawu”. Jej inicjatorem był przypuszczalnie starosta buski Andrzej Górka, zmarły w 1551 r. Było to przedsiębiorstwo starościńskie, położone na gruncie państwowym i stanowiące własność starosty. Papiernia była wydzierżawiana przedsiębiorcom, którzy czynsz mogli spłacać w naturze. Nie mieli oni w mieście pełnych praw obywatelskich, nie byli też członkami żadnego z istniejących wtedy w Busku dziesięciu cechów<sup>2</sup>.

W czasie napadu Tatarów w 1575 r. papiernia została prawdopodobnie zniszczona. Samo miasto, otoczone obwałowaniami, zdołało się obronić, zniszczone natomiast zostały przedmieścia. Na Lipibokach, według urzędowej wizji lokalnej, zostało spalonych 12 domów z ogrodami. To przypuszczenie potwierdza też wiadomość zachowana u Antoniego Schneidera o budowie papierni w 1579 r.

Każda ówczesna papiernia posiadała kilka pomieszczeń przeznaczonych na magazyn szmat, młynicę, czerpalnię, klejarnię, suszarnię i magazyn gotowych wyrobów. Najskromniejsze pomieszczenia zajmowała czerpalnia, gdzie znajdowały się też prasy. Większych pomieszczeń wymagał dział przygotowania masy, tu mieściły się stępy do tłoczenia szmat, wał napędowy, rury doprowadzające wodę do koryt, w których stępy ubijały szmaty. W buskiej papierni stępa była poruszana dwoma kołami wodnymi. Suszarnie papieru wymagały dużych pomieszczeń, stąd papiernie posiadały obszerne strychy kryte wysokimi, spadzistymi dachami.

W polskich papierniach XVI-wiecznych przeciętnie zatrudniano 5–6 osób, byli to: mistrz, 2 czeladników, 1–2 uczniów oraz pracownica piorąca i sortująca szmaty. Podstawowym surowcem papierniczym były szmaty lniane, używano też wody do prania i przy tłuczeniu szmat oraz kleju wyrabianego z odpadków garbarskich<sup>3</sup>.

W buskiej papierni produkowano papier piśmienny i prawdopodobnie przemysłowy. Pośrednio może o tym świadczyć używanie w Busku, jak i we Lwowie – zamiast szyb szklanych do okien – natłuszczonego papieru (papier *vitratu*). Te potrzeby mogły być zaspokajane w oparciu o miejscową produkcję. O rodzaju produkcji papierniczej w Busku może świadczyć także powstanie na miejscu w oparciu o papiernię przemysłu kartowniczego, wytwarzającego karty do gry. Pierwsza wzmianka o buskim kartowniku (*foliator*) pochodzi z 1635 r.

Najstarsza wzmianka archiwalna o buskim papierze pochodzi z 1560 r. Produkcja papierni buskiej poza miejscowym zapotrzebowaniem znajdowała ujście na zewnątrz. Najpoważniejszym odbiorcą był Lwów, położony około 50 km na zachód od Buska. Papier buski był cenionym artykułem na rynku lwowskim, służył bowiem do zaspokajania zapotrzebowania urzędów miejskich. Pokrywał także potrzeby urzędów i władz na najbliższych terenach, znany był też w Wielkopolsce.

Jak stwierdza Mieczysław Gębarowicz: *Udział papieru buskiego w księgach grodzkich, ziemskich i miejskich Lwowa, Buska, Bełza, Halicza i Trembowli jest bardzo znaczny, w szeregu wypadków dochodzi do 100%; podobnie przedstawia się sprawa z wydanym w 1574 r. przez Iwana Fedorowa „Apostolem”, który ukazał się we Lwowie w wielkim nakładzie*<sup>4</sup>. W początku XVII w. papiernicy buscy rozwijali ożywioną działalność, wyprodukowany przez nich papier sięgnął do województw północnych i wschodnich. Jego okazy istnieją w zasobach archiwum kijowskiego, dotarł też do Mołdawii.

W latach późniejszych papier wyprodukowany w Busku był eksportowany na Wołyń, Podole i w dalszym ciągu na Ukrainę.

Pierwszym znakiem fabrycznym zastosowanym na wyrobach papierni buskiej był filigran pochodzący z księgi zapisków z 1550 r. Zastosowano tu herb Buska złożony z połowy orła w koronie i litery B na gotycko-renesansowej tarczy. Jest to równocześnie najstarszy herb miasta Buska, znany z dwóch tłoków pieczętnych z XVI w. i jednego późniejszego będącego w użyciu jeszcze w 1783 r. Następnie w papierni buskiej jako znaków wodnych używano herbów kolejnych starostów buskich. Wy-

stępowały one w czasie ich kadencji albo niedługo potem.

Znak wodny z herbem Łódzia rodu Górków był zasadniczą marką fabryczną buskiej papierni. W rękach Górków starostwo buskie znajdowało się przez 50 lat (Andrzej i Łukasz Górkowie). Najstarszy filigran z herbem Łódzia został zastosowany w 1547 r. a potem w latach 1549–1552. Następcą Górków na starostwie buskim został od 1588 r. Stanisław Tarnowski, zmarły w 1619 r. Jego herb Leliwa stał się marką fabryczną papierni od 1591 do 1627 r.

W latach 1619–1629 starostą buskim był Jan Daniłowicz herbu Sas. Filigrany z tym herbem pojawiają się w aktach miejscowych dopiero w roku jego śmierci i utrzymują się do 1643 r. W 1634 r. papiernia w Busku sygnowała swoje wyroby herbem Lubicz. Herb ten, nie mający żadnych historycznych związków z miastem, prawdopodobnie został omyłkowo użyty przez działającego w tym czasie papiernika Jakuba Lubelczyka; herb Lubicz był marką fabryczną papierni lubelskiej. Około 1634 r. pojawia się w papierach buskich znak wodny w postaci herbu Pobóg starosty Stanisława Koniecpolskiego, zmarłego w 1646 r.

Na skutek zajęcia Buska w 1654 r. przez wojska Bohdana Chmielnickiego i gruntownego spustoszenia miasta przestała istnieć także tutejsza papiernia. Wydarzenia te zostały opisane w kronice buskiego mnicha bazylikańskiego o. Aftanazego: *Dotąd Tatarzyn tylko był dla nas postrachem, lecz z nim z czasem się oswoiliśmy, aż tu naraz zbuntowawszy się kozactwo i przybrawszy posiłki moskiewskie podniosło bratobójczy oręż na zniszczenie Rusi. Bohdan Chmielnicki gorszy od Tatarzyna stał się postrachem dla kraju od Dniepru po San. Przeszło dwa tysiące ludzi w tym miejscu z wszystkim dobytkiem pozabijał i poniszczył nieprzyjazny oręż kozacko-moskiewski, poniszczył również fortece miejskie, popalił cerkwie, kościoły, zamek oraz wszystkie domy w mieście i na przedmieściach, słowem całe miasto w pustkę zamienił<sup>6</sup>. Według ilustracji starostwa buskiego z 1659 r. w mieście i na jego sześciu przedmieściach (Podzamcze, Niemiecki Bok, Lipiboki, Długa Strona, Krótka Strona i Wolany) nie można było doliczyć się więcej jak 27 domów, wszystko inne zostało zrównane z ziemią lub leżało w gruzach. *Przedmieście Lipiboki opuszczone.**

Na gruntach papierni powstała około 1698 r. „Ruda papiernicza” czyli kuźnia żelazna, posiadająca dwa miechy – dymarcki i kowalski. Huta przetrwała do 1735 r., kiedy to długotrwała słońca spowodowała wielki przybór wód, które *zniszczyły groble i szczątki dawnej papierni*. Jedyne ślady istnienia papierni w Busku zachował się do XIX w. w toponomastyce znajdującej karczmę (zakarczmie), młyn, ogród i staw na Bugu *na Papierni zwany<sup>6</sup>*.

#### PAPIERNICY BUSCY

Jan „Papiernik” (1568), Lorenc, Lorin (Wawrzyniec) Papiernik (1577–1580), Łukasz, „towarzysz rzemiosła papierniczego”, syn Lorenca, Marcin Kobialka, Bartłomiej, „Bartosz Papiernik de Busko” (1580), „Bartolomeus papiernik de Busko” (1586), Jan Grym, „majster papierni”, Zachariasz, jego bratanek i spadkobierca (1623), Jakub Czerpas – Lubelczyk, „artis papireae magister” (1635, 1639), Piotr Sobankowicz, „artis papireae artifex” (1644).

#### PRZYPISY

- \* Chodzi oczywiście o Busk (nie Busko), położony na pln.wsch. od Lwowa, nad Bugiem.
- 1 Na austriackiej mapie topograficznej (wojskowej) z 1894 r. nazwa przedmieścia występuje w formie — *Lipiboki*, podobnie i w niektórych publikacjach, np. Faliński B., *Powiat Kamionka Strumiłłowa*.
  - 2 Gębarowicz M., *Z dziejów papiernictwa...*
  - 3 Papier jest starym wynalazkiem Chińczyków. Wynalazcą jego miał być chiński mąż stanu, niejaki Ts'ai Lun w roku 105 po Chr. Najstarsze jednak chińskie papiery, które dotrwały do naszych czasów, pochodzą dopiero z IV w.
  - 4 Gębarowicz M., op. cit.
  - 5 Schneider A., *Miasto Busk...*
  - 6 Te określenia były znane też w latach międzywojennych XX w. mieszkańcom Niemieckiego Boku (ul. Sokoła).

#### WYBÓR LITERATURY

- Budka W., *Papiernie w Polsce XVI wieku*, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1971.
- Faliński B., *Powiat Kamionka Strumiłłowa*, 1935.
- Gębarowicz M., *Z dziejów papiernictwa XVI–XVIII w.* [w:] *Roczniki biblioteczne*, R. X, z. 1–2, Wrocław–Warszawa 1966.
- Schneider A., *Miasto Busk, Wenecja Polska*, „Dziennik Literacki”, Lwów 1866, nr 44–48.

WACŁAW ROMIŃSKI, ur. 1942 w Busku. Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego i Jagiellońskiego, archeolog, muzeolog. Mieszka w Nysie. Autor wielu artykułów z dziedziny archeologii i historii turystyki.

Jadwiga Sibiga

## LWOWSCY ARTYŚCI-KAMIENIARZE NA JAROSŁAWSKIM „STARYM CMENTARZU”

Jarosław to jedno z najciekawszych miast dzisiejszej południowo-wschodniej Polski. Historię tego miasta należałoby zacząć od VIII w., kiedy istniała tu osada być może o charakterze handlowym, bo przemawiało za tym położenie łączące odwiecznie Wschód z Zachodem. Pierwsza wzmianka o Jarosławiu pochodzi z 1152 r., a więc z okresu, gdy miasto wchodziło w skład księstwa halicko-włodzimierskiego. W 1349 roku Kazimierz Wielki przyłącza je do Korony, prawo miejskie magdeburskie nadaje mu Władysław Opolczyk w r. 1387. Dziś Jarosław posiada wiele zabytków, stare kamienice, budowle sakralne, mury obronne. Wielką atrakcją jest trasa turystyczna po dawnych piwnicach kupieckich. Ta wstępna informacja o historii Jarosławia wprowadza nas w atmosferę miasta, które w różny sposób powiązane jest ze Lwowem, m.in. poprzez stary zabytkowy cmentarz.

**W** następstwie dekretu cesarza Józefa II z sierpnia 1784 roku, zakazującego chowania zmarłych w obrębie kościołów i miejsc zamieszkałych, w Jarosławiu powstał cmentarz na tzw. Krakowskim Przedmieściu. Jest to jedna z piękniejszych nekropolii w tych stronach Polski. Mieczysław Orłowicz w jednym ze swoich przewodników po mieście z roku 1921 zwraca uwagę na kilka niezwykle ciekawych nagrobków znajdujących się na tym Cmentarzu Starym w Jarosławiu.

Wszystkie nekropolie świata mają wspólną cechę, bo kryją w sobie historię kraju, miasta i ludzi tu

spoczywających. Otaczane przez pokolenia czcią i pamięcią są wyrazem kultury danego społeczeństwa. Miejsca cmentarne mają charakter odrębności, pewnego azylu od świata zewnętrznego z tą świadomością, że wkraczamy na miejsce ciszy i powagi, zostawiając za sobą sprawy dnia codziennego, kierując myśli na tych, którzy tu spoczywają.

Zbliżamy się do bramy Cmentarza Staroego w Jarosławiu liczącego ponad 200 lat. Mijając kaplicę cmentarną poświęconą w 1832 roku, znajdujemy się w najstarszej części cmentarza, stanowiącego obecnie rodzaj lapidarium.

Piękno starych pomników urzeka, nie sposób przejść obojętnie. Kilka odnowionych nagrobków bielą wyróżnia się od reszty.

W miejscu tym nasuwają się skojarzenia czegoś bliskiego, znanego. Pierwsze odczytanie sygnatury wyjaśnia sprawę: jest to praca lwowskiego artysty-kamienniarza, a już następne odkrycie kolejnego nazwiska lwowskiego wprowadza nas w atmosferę Cmentarza Łyczakowskiego. Moja fascynacja udziela się moim dzieciom, przy ich pomocy powstają fotografie.

Oryginalne formy i piękne wykonanie tych dzieł, którym trudno się oprzeć, stają się powodem do dalszych poszukiwań śladów lwowskich artystów. Pani Irena Zając w swojej pracy *Przemyskie zapiski historyczne pisze, że jeśli chodzi o pochodzenie bogatszych i ciekawszych pod względem artystycznym nagrobków z XIX w., to Jarosław pozostawał w kręgu działalności warsztatów lwowskich.*



**W**śród najstarszych nagrobków z 1. połowy XIX w. pojawia się nazwisko artysty-kamienniarza Antona Schimsera (1790–1836). Jest to grobowiec Brygidy Modrzejewskiej, zmarłej w 1828 r., nawiązujący do ulubionego przez Schimsera typu wielopostaciowego. Przy okazałym obelisku zwieńczonym urną z draperią znajdują się trzy postacie w strojach antycznych.

Anton Schimser przybył do Lwowa w 1812 r. z Bratysławy, wcześniej studiował w akademiach wiedeńskiej i paryskiej. Na Cmentarzu Łyczakowskim znajduje się kilkanaście pomników nagrobnych tego artysty. Duży wpływ na A. Schimsera miała twórczość Włocha A. Canovy, co objawiało się szczególnie w kompozycjach antycznych obrazów śmierci. W roku 1826 osiadł we Lwowie brat Antona, Jan Schimser i od tamtej pory prowadzili razem. Na Cmentarzu Starym w Jarosławiu znajduje się kilka nagrobków nie sygnowanych, które jednak łączy się z lwowskim warsztatem Schimserów, jak np. postumenty zwieńczone urnami.

Drugim lwowskim artystą jest Paweł Eutele (1804–1889), uczeń i wieloletni pracownik Antona Schimsera. Zachowany nagrobek, sygnowany nazwiskiem tego właśnie artysty, nawiązuje do wzorów rzymskich sarkofagów o empirowej dekoracji z motywami gryfów. Na cmentarzu jarosławskim znajdują się rzeźby-pomniki przedstawiające postacie niewieście w szatach antycznych, tzw. „płaczk”, stanowiące wyobrażenie smutku. Jeden z takich pomników przedstawia płaczącą kobietę z trójgiem dzieci u stóp krzyża. Mimo braku sygnatur wydaje się wielce prawdopodobne, że są to prace Pawła Eutelego, którego kilka



podobnych w charakterze pomników znajduje się na cmentarzu w Przemyślu.

Kolejny artysta – kamienniarz lwowski to Ludwik Tyrowicz (1861–1930). Pochodził on z rodziny zbiegłej po powstaniu styczniowym z Ostroga na Wołyniu do Lwowa. Rzeźby w drewnie i kamieniu uczył się we Lwowie i Przemyślu. We Lwowie jego firma cieszyła się wielkim powodzeniem, a wiele jej pomników znajduje się na Cmentarzu Łyczakowskim. Na Cmentarzu Starym w Jarosławiu znajdują się trzy nagrobki autorstwa L. Tyrowicza posiadające sygnatury. Grobowiec rodziny Weissów z XIX w. stanowi bogato profilowany i gzymśowany, ozdobiony kwiatami i gałązkami palmowymi obelisk. Drugi grobowiec jest prosty w formie z dwukolumnowym portykiem z frontu i płaskorzeźbami na bocznych ścianach. To grobowiec rodziny Wojciechowskich – pochowany jest w nim powstaniec styczniowy Dionizy Ustrowski. Trzeci z sygnowanych grobów Tyrowicza to prosty granitowy obelisk rodziny Dietziusów.

Bardzo podobny w formie granitowy obelisk jest sygnowany przez artystę lwowskiego Ludwika Makolondrę. Rodzina Makolondrów miała we Lwowie pracownię kamiennarsko-rzeźbiarską przy ulicy św. Piotra 10. Ludwik Makolondra swoją pracownię doprowadził do rozkwitu w okresie międzywojennym, na Cmentarzu Łyczakowskim znajduje się wiele grobów rodzinnych przez niego wykonanych.

Z firmą Schimserów współpracował Abel Maria Perier, którego syn Henryk Perier (1863–1928) jest autorem dwóch

*Dokończenie na s. 47*

**Anna Skoczylas**

### *Sam na sam*

Sam na sam z miastem  
które jest moim cieniem  
kolcem tkwiącym głęboko  
w nie zagojonej bliznie

póki tu jestem – jestem sobą  
najbardziej

Było już tyle miast  
które zachwycały otumaniały  
wabily obiecywały smakowały

póki tu jestem – jestem sobą  
z najdalszych poranków  
od wczesnego świtu  
od pierwszego spojrzenia

Lwów

### *Zmierzch*

Zmierzch już zapadł nad moim miastem  
nakrył chaszcze ogrodów  
i pogrzebał sny  
wszystko inaczej już pozamieniane  
na żółto-sino  
i na wściekły róż  
niby swoboda  
lużno i normalnie  
lecz już nie to co kiedyś  
co w pamięci tkwi  
wszystko spłonęło  
wszystko zapomniane  
już się nie wróci  
na nic gniew i łzy  
nikt nie pamięta ogrodów majowych  
bzów i czeremchy fiołków i zawilców  
górkę wuleckie utonęły w krzakach  
nie ma kapliczki  
zabrały ją wieki

i darmo szukać  
siebie z tamtych dni

### *Biało*

Kiedyś była zima  
sanki dzwoniły po śniegu  
dzyń-dzyń dzyń-dzyń  
mróz rysował na szybach  
całe ogrody  
lodowe sople  
kwitły w słońcu brylantami  
drzewa stały jak pierzyny  
w zaspach po szyję

dzieci wybiegały z domów  
przerzucały się śnieżkami  
białe kule w powietrzu  
pełno śmiechu i krzyku  
na każdym podwórku  
wyrastał ludzik  
biały  
oczy miał z węgla a nos  
z marchewki  
ubrany w czapkę z pomponem

nocą dzwoneczki dzwoniły  
płozy skrzypiały  
konie parskąły dymiły

ale to działa się kiedyś dawno  
i bardzo daleko stąd

grudzień 2006




---

ANNA SKOCZYLAS, córka profesora Politechniki Lwowskiej Zygmunta Klemensiewicza, urodzona we Lwowie. Absolwentka krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Poetka, fotografik, podróżnik. Żona Adama Skoczylasa, pisarza, taternika, alpinisty i himalaisty. Wydała siedem zbiorów wierszy. Prezentowane utwory pochodzą z tomiku *Wędrować po obłokach* (Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2008). Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

---

Franciszek Jaworski

## ZOFIÓWKA – ŻELAZNA WODA

*Niniejsze opowiadanie zaczerpnęliśmy z książki pt. „Lwów stary i wczorajszy” (Lwów 1910)*

Każda strona Lwowa miała z początkiem dziewiętnastego wieku swojego mecenasa. Znamy już ich wszystkich: Węgłęńskiego, Wronowskiego, Cetnera, Kortuma, Lonszana, a do ich liczby przybywa obecnie Jan Łukiewicz, który wprowadzie ogrodowi na Zofiówce nie nadał swego nazwiska, ale natomiast zapisał się wiekuiście jako hojny fundator posagów dla biednych pańienek.

Jan Łukiewicz, właściciel dóbr i sekretarz sądu apelacyjnego we Lwowie, był właścicielem Zofiówki, rozkochany w pięknym jej położeniu, pobudzony tradycją, która opowiadała, jakoby tutaj był niegdyś obóz hajdamacki czy Doroszeńki, dbał Łukiewicz bardzo o swoją posiadłość, urządził w niej ogród owocowy i zwyczajem współczesnym przyjmował w domu swoim liczne towarzystwo, na wzór rzymskiego Mecenasa. Po bezpotomnej śmierci w r. 1817 zapisał majątek cały na rzecz fundacji posagowej i odtąd każdego roku w dniu imienin hojnego fundatora odbywa się w kościółku św. Zofii losowanie posagów z wielką a rzewną uroczystością, której starożytne drzewa, otaczające kościółek, dużo dodają niezwykłego uroku.

Kościółek św. Zofii, fundowany z początkiem siedemnastego wieku przez mieszkankę lwowską Zofię Hannlową, jest środkowym punktem całej prześlicznej okolicy – poprzez plac powystawowy, park Kilińskiego aż do Żelaznej Wody, względnie aż do Krasuczyna i Snopkowa.

Przyroda lwowska jakby się wysiliła, ażeby tę wielką przestrzeń ubrać we wszystkie cechy charakterystyczne, których miastu naszemu zazdrości każdy obcy. Jest tam cisza Pohulanki i gwar Jezuickiego ogrodu, jest powaga dawnych tradycji mieszczkańskich i urok Kaiserwaldu, jest wreszcie wspomnienie dawnych lwowskich majówek, z zapachem kwargli i piwa.

Z tym wszystkim jednak jest to dzielnica terażniejszości i przyszłości, modna w całym

tego słowa znaczeniu, tłumnie zwiedzana, siedlisko plagi festynowej i will eleganczyków, ostatni wyraz sztuki ogrodniczej, która z miejsca pobłogosławionego już przez przyrodę uczyniła jedną z największych osobliwości Lwowa.

Ale to wszystko jest dziełem lat ostatnich. Park Kilińskiego i plac powystawowy powstały niemal na oczach naszych. Jeszcze przed laty dwudziestu była w tym miejscu pustka romantyczna, nieprzebyty spłot wąwozów, jarów, gliniastych wydm, siedlisko wszelakiego rodzaju wólczyków, a czasami widownia harców krewkiej młodzieży, która bez żadnego nadzoru starszych ćwiczyła się w strzelaniu z broni palnej i urządziła ulubione onego czasu zabawy w „żandarmia i zbója”. Opuszczony fort austriacki był jedynym śladem ręki ludzkiej. Dopiero na kilka lat przed wystawą krajową z r. 1894 począł magistrat zalesiać pustkowie, a sama wystawa dokonała reszty.

Plac powystawowy jednak i park Kilińskiego dopiero dla przyszłego kronikarza lwowskiego przedstawiać będą wartość wspomnienia. Dzisiaj zanadto tam wre życie, za często opisują je reporterzy i felietoniści, za dużo tamtędy chodzi par zakochanych i zbyt często wreszcie wyznacza tam sobie schadzkę cały Lwów elegancki, ażeby to wszystko brać było można pod kątem wieczności.

Trzeba albo samemu chodzić i wymyślać na festyny, grać w koło szczęścia, obracać się na karuzelu, obserwować wzloty balonów i aeroplanów, słuchać muzyki, karmić się kielbaskami, wzdychać do księżycy, albo też dać wszystkiemu spokój i wynosić się czym prędzej precz z pięknego towarzystwa, które wspomnień nie lubi, bo one są przywilejem... starości.

Już prędzej tam wieczorami czarna jest cisza, pokryta kopułami drzew wielkich i rozrosłych, tam smętek i strach błądy przelatuje poprzez konary drzewne, tam bolesna ironia... zakład dla ciemnych w prześlicznym słonecznym położeniu, tam wreszcie secesja



i tandeta lwowskich kamienic najnowszych wżarła się aż w żywe ciało poetycznego ustronia.

I wiele drzew padło od gorączki budowlanej, chociaż co prawda drzewa tutejsze zawsze miały osobliwe szczęście do... siekiery. Akta Archiwum miejskiego zachowały bardzo ciekawymi charakterystyczny obrazek

z roku 1746, kiedy to magistrat rugował posiadacza Persenkówki, Jana Wilczka, z asystencją wojskową. Otóż ów Wilczek oblicza szkody leśne, poczynione właśnie w okolicach dzisiejszej Zofiówki:

*Naprzód ludzi kilkadziesiąt rzemieślników i chłopów przez tygodni 6, z płotami spalonymi, wycięli lasu fur 150. Dalej przez żołnierzy sprowadzonych i na Persenkówce lokowanych przez tygodni 14, dla nierządnic, które na każdą noc na Persenkówkę z gospod przedmiejskich bywały sprowadzane wielkim i zbytecznym ogniem paląc, rujnowany był las i przez tychże żołnierzy przedawany zostawał i dla porucznika, i dla innych żołnierzy przez cały czas bytności do gospód ustawicznie wywożony, najmniej fur 500.*

*Sadowina nowo zafundowana także zrujnowana, a przy sposobności gospodarza starego różgami tak zbity, iż kilkanaście niedziel leżeć, a jak mówią ruski miesiąc smarować się musiał i dotąd kawenczeje.*

Drzewa ostatecznie podrosły na nowo, a wspomniany już tylekrotnie nasz informator z r. 1825 piszący w „Rozmaitościach”, widział na Zofiówce soczyste ich owoce i czuł *chłód przyjemny*. Wspomnienie Jana Łukiewicza było tu jeszcze wówczas bardzo żywe, a nasz autor pamiętał snąc dobrze owe czasy, kiedy grono dobranych przyjaciół spieszyło w to miejsce do gościnnego właściciela tej wioski trawić wieczory wśród zabawnej i ucznej rozmowy.

Jako prawdziwy Lwówianin nie wytrzymał autor długo w poetycznym nastroju.

Za chwilę bowiem widzimy go przy misce śmietany, według zasady że: *będąc na wsi, trzeba wiejskie jadać potrawy*. Ponieważ *daleka przechadzka wzbudza dobry apetyt*, przeto tylko od czasu do czasu podnosił on oczy z nad miski i widział przy tym gromady Niemek zapijających się kawą i robiących równocześnie... pończochy. Osądził tedy, że *ładnym panienkom zawsze ładnie*, a nawet lepiej im do twarzy przy pończosze, aniżeli *wśród modnego próżniactwa w oknie z lornetką w ręku lub z kartami do wykładania kabały*.

W r. 1839 był już na Zofiówce przedsmak... placu powystawowego. Budowniczy Underka założył tu mianowicie ogród publiczny z restauracją, gdzie obok podśmiania można było dostać i „rostbratle” na brudnych talerzach, muzyka zaś żydowska urozmaicała pobyt. W r. 1841 poczęły się tu wznosić pierwsze wille, które pobudował dyrektor budownictwa miejskiego i twórca gmachu skarbkowskiego, Salzmann.

Od kościoła św. Zofii na lewo, górzystym grzbietem, zalesionym, zejść można ku Żelaznej Wodzie. Miejscowość stosunkowo młoda i od r. 1820 dopiero zaczynają się jej tradycje. Dyrektor niemieckiej sceny we Lwowie, Franciszek Kratter, urządził tu chwilowo teatr letni. Zresztą do niedawna kąpiele w stawku Kamińskiego i mała karczemka, razem z laskiem wznoszącym się ku górze, były jedyną atrakcją dla nielicznych wycieczkowców, zapędzających się w te zapomniane strony niedziela.

Jaki tu jednak ruch dawniej panował, pamiętają jeszcze starsi ludzie, a wśród nich p. Leon Herzmanek, który pozostawił nawet w druku opis wycieczek, gdzie *rojno i buńczuczno, z niańkami, kołyškami i obfitym prowiantem wędrowali lwowianie nieraz wczesnym rankiem do Żelaznej Wody, zalegali hałaśliwym obozem polanki i trawniki leśne, a wracali późnym wieczorem w usposobieniu odpowiadającym indywidualności, a bardziej jeszcze ilości wychylonych kwart czarnego winnickiego piwa*.

Przed kilku laty gmina miasta Lwowa zakupiła cały ten obszar i od tego czasu nowa rozpoczęła się era dla tej dzielnicy. Era jeszcze nieskończona – więc przyszłość najbliższa pokaże, co zrobi magistrat z Żelazną Wodą.



## LWOWSCY ARTYŚCI- -KAMIENIARZE...

Dokończenie ze str. 43

grobowców bardzo podobnych, prostych w formie, których najpiękniejszym elementem jest udrapowana popielnica. Perierowie pochodzili z Paryża, po śmierci ojca Henryk Perier przejął jego pracownię przy ulicy Piekarskiej we Lwowie.

Jeden z grobów, znajdujący się w lapidarium cmentarza jarosławskiego bez tablicy inskrypcyjnej, przedstawiający postument z hełmem z opuszczoną przyłbicą i wieńcem laurowym. Wykazuje on duże podobieństwo do nagrobków oficerów austriackich na Cmentarzu Łyczakowskim, powstałych w pracowni Juliana Markowskiego (1870–1903).

Przepiękna kolumna z klasycystycznymi atrybutami w otoczeniu wieńców laurowych, stanowiąca grób aptekarza Jana Balczakiewicza z 1. połowy XIX w., to duże prawdopodobieństwo pochodzenia z warsztatów lwowskich.

Na cmentarzu jarosławskim znajduje się wiele dalszych pięknych, zabytkowych pomników-rzeźb, które czekają na opracowanie naukowe i renowację, być może wśród nich znajdują się jeszcze nieodkryte dzieła artystów lwowskich. Wkrótce ukáže się w Jarosławiu książka o cmentarzach jarosławskich. Będzie to praca Zbigniewa Zięby, w której osobny rozdział poświęcony zostanie lwowskim artystom-rzeźbiarzom.

ŹRÓDŁA:

Irena Zając, *Przemyskie zapiski historyczne*  
Fot. Anna Sibiga-Rudel i Andrzej Sibiga

Pani Prezes Federacji  
Organizacji Polskich nU.

**EMILII CHMIELOWEJ**

we Lwowie

**bardzo serdeczne  
wyrazy współczucia  
z powodu śmierci Matki**

składa  
Redakcja „Cracovia–Leopolis”

## SYLWETKI

### RODZINA BARĄCZÓW

Barączowie pochodzili z Ormian. Ormianie wygnani z odległej Armenii pod naciskiem Greków, a później Turków, musieli opuścić rodzinną ziemię, by znaleźć przytułek w wielu miejscach południowo-wschodniej Europy i Polski, także we Lwowie. Ormianie byli tam nieomal „od zawsze”. Mieli swój kościółek pod wezwaniem św. Anny (mniej więcej w okolicy dzisiejszej cerkwi św. Onufrego i Piatnicy) – byli chrześcijanami. Trudnili się przede wszystkim handlem. Ale nie tylko. Już w roku 1407 jeden z nich, Janusz, zwany Tłumaczem (!), dał się poznać wśród posłów lwowian, wysłanych na Wołoszczyznę, gdzie wraz z Janem Sommersteinem i Mikołajem Rusinem zawarli traktat handlowy z wojewodą moldawskim Aleksandrem. Ale Ormianie we Lwowie to nie tylko kupcy czy rzemieślnicy, ale i artyści, i pisarze, przywiązani do swego miasta, do swej nowej ojczyzny.

Barączowie byli typowi: służyli nowej ojczyźnie według swoich sił i umiejętności, dla niej pracowali i tworzyli.

Jeden z nich, Sadok Barącz, wydał we Lwowie *Żywoty sławnych Ormian we Lwowie*. Książka ta do dziś zdobi biblioteki nie liczących już potomków lwowskich Ormian.

Drugi, chyba najbardziej zasłużony dla Lwowa, to Tadeusz (1845–1905), rzeźbiarz. Studia artystyczne skończył w Krakowie. We Lwowie zasłynął jako dekorator budowli użyteczności publicznej, twórca nagrobków i pomników. Jego to dziełem był pomnik króla Jana III Sobieskiego, odsłonięty na Wałach Hetmańskich w 1898 roku (przywieziony po II wojnie najpierw do Wilanowa, później do Gdańska), jego dłuta były we Lwowie posągi Kopernika, Czackiego, Ossolińskiego, Śniadeckiego i Długosza w I gimnazjum męskim przy ul. Batorego, popiersie Szewczenki, Siemiradzkiego, Matejki. Był autorem wielu nagrobków figuralnych, a także kilku medalionów na obeliskach nagrobnych. Bywał częstym gościem w pracowni rzeźbiarskiej Parysa Filippiego, przyjaciela Artura

- ▶ Grotgera (to Filippi jest autorem pomnika nagrobnego zmarłego w 1867 roku przyjacielu), w której zbierała się brać artystyczna ówczesnego Lwowa.

Tadeusz Barącz zmarł we Lwowie w 1905 roku – na jego pogrzeb przyszła cała „lwowska kolonia artystyczna”, w tym przedstawiciele ukraińskiej „Biesiady” z wieńcami mającymi napis na szarfi: *Twórcy pomnika Szewczenki*. Został pochowany w grobowcu rodzinnym, oczywiście na Cmentarzu Łyczakowskim.

Tadeusz był bratem słynnego dyrektora teatru lwowskiego – Stanisława, i dyrektora

kopalni w Wieliczce – Erazma. W 1919 roku w starym grobowcu rodzinnym na Cmentarzu Łyczakowskim spoczął Zygmunt, znany z patriotyzmu lekarz wojskowy, który zmarł na froncie wschodnim pod Bobrujskiem.

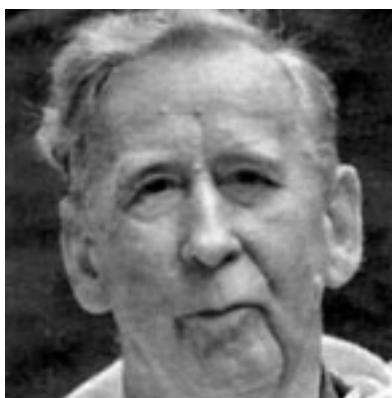
A braciom, Piotrowi i Franciszkowi, zmarłym w Warszawie, nie dane już było spocząć w rodzinnym grobie, w umiłowanym Mieście...

*Wykorzystano artykuł z „Dziennika Polskiego” z 25 II 1992, sygnowany (js), z drobnymi poprawkami i uzupełnieniami.*

## ODSZEDŁ OJCIEC MIECZYŚŁAW KRĄPIEC (1921–2008)

Nazywano Go nauczycielem filozofów. Należał do najwybitniejszych współczesnych filozofów. Do końca życia był niezwykle aktywny. Zmarł nagle, śmierć zastała Go przy pracy, gdy sprawdzał hasła do ostatniego tomu swojego ukochanego dzieła – *Powszechnej Encyklopedii Filozoficznej*.

Urodził się w Bereżowicy Małej k. Zbaraża, miał 87 lat. W 1939 r. zdał maturę i wstąpił do zakonu Dominikanów. Wyświęcony na księdza w 1945 r. kontynuował studia na KUL i na uniwersytecie Angelicum w Rzymie. Od 1951 r., jako profesor KUL, współtworzył lubelską szkołę filozoficzną. Należał do najwybitniejszych w świecie znawców Ary-



stotelesa i św. Tomasza z Akwinu.

O. prof. Mieczysław Krąpiec pięciokrotnie był wybierany na rektora KUL, doprowadził do rozwoju uczelni, reaktywował kilka kierunków inżynierskich. Zostawił po sobie 30 książek i 400 artykułów, rozpraw, studiów, tłumaczonych na wiele języków – z zakresu metafizyki, antropologii

filozoficznej, filozofii prawa, polityki, kultury narodu. Na jego podręcznikach kształciły się pokolenia polskich filozofów.

*Opracowano na podstawie biogramu pióra H. Klejrocka, zamieszczonego w CL 1/04 oraz artykułu Ewy K. Czaczkowskiej, „Rzeczpospolita” 109/08.*

### SĄDOWA WISZNIA

Pisze do nas pan Roman Wójcicki z Sądowej Wiszni:

*Poszukuję wszystkiego, co jest związane z moim miasteczkiem, a mianowicie: starych pocztówek, fotografii, dokumentów, publikacji. Wymienione potrzebuję wyłącznie w formie kserokopii lub zeskanowane na dysk.*

*Mam obszerny zbiory i wiedzę o Sądowej Wiszni; chętnie się nimi podzielę.*

Adres do korespondencji:

81-340 Ukraina, m. Sądowa Wisznia, ul. Zagrody 11, tel./fax (00-380-32-34) 37-203, e-mail: tkpzl@mail.ru

# Z TAMTEJ STRONY

## CMENTARZ ŁYCZAKOWSKI Dobra wiadomość

Ze Lwowa nadeszła optymistyczna wiadomość o oficjalnym rozpoczęciu prac konserwatorskich na Cmentarzu Łyczakowskim. Zabytki naszej najwspanialszej nekropolii były dotąd nieoficjalnie ratowane dzięki corocznym zbiórkom pieniędzy w dniach Wszystkich Świętych i Zaduszki, przede wszystkim na czterech cmentarzach krakowskich, gdzie kwestowali członkowie tutejszego oddziału TMLIKPW. Pewną część nadsyłały inne oddziały Towarzystwa, a także Zarząd Główny we Wrocławiu. Prace na tej bazie wykonywane miały jednak na celu zapobieganie waleniu się i – w jakimś stopniu – zawłaszczaniu grobowców przez nowych użytkowników miasta, a przy okazji niszczeniu zabytkowych detali, napisów itp. (pisaliśmy o tym wielokrotnie), nie zaś konserwowaniu obiektów do końca, wedle prawideł sztuki. Na to było zbyt mało pieniędzy i profesjonalnych wykonawców.

Obecnie dowiadujemy się, że w porozumieniu z administracją ukraińską rozpoczną się prace, które pobiegą dwutorowo. Po pierwsze będzie to wszczęcie konserwacji czterech cennych nagrobków, związanych z... czterema narodowościami: ormiański bpa Samuela Stefanowicza, rusiński Omeliana Ogonowskiego, węgierski (!) rodziny Paporów oraz polski prof. Juliana Makarewicza. Taki niemerytoryczny dobór był niewątpliwie potrzebny stronie ukraińskiej dla zaakceptowania tej jedynej szansy uratowania cmentarza-muzeum, którego stan kompromituje dotąd ich administrację i kulturę. Fundusze na te prace daje oczywiście strona polska, a wspomniane cztery nagrobki mają być ukończone w tym roku.

Kierownikiem prac konserwatorskich będzie prof. Janusz Smaza, którego naszym Czytelnikom przedstawiać nie trzeba, bo pisaliśmy o nim wielokrotnie. To on doprowadził do odnowy kolegiatę żółkiewską,



**CMENTARZ ŁYCZAKOWSKI** uchodzi za jedną z najpiękniejszych nekropolii Europy. Reprezentuje typ parku krajobrazowego, założonego – jak cały Lwów – na pofałdowanym, górzystym terenie. Groby, nagrobki i grobowce piętrzą się nad sobą – są miejsca, gdzie różnice wysokości pokonuje się schodami. Piękno tego miejsca uzupełniają wspaniałe zabytkowe drzewostan oraz wyjątkowo bogactwo architektury i rzeźby.

Niestety tak było – dziś tylko niektóre zakątki cmentarza przypominają dawną elegancję. Cmentarz został przez ponad półwiecze zaśmiecony formami całkiem mu obcymi stylistycznie. Dawne zabytkowe grobowce i nagrobki uległy z braku konserwacji destruktywnemu działaniu czasu. Groby ziemne zapadły się. Kto ma o nie dbać, skoro nie ma rodzin, a obecna władza albo tego nie docenia, albo po prostu nie ma pieniędzy.

Jeszcze gorszym zjawiskiem jest wyburzanie starych grobowców, by zrobić miejsce nowym, albo przebudowywanie, wulgarnie unowocześnianie przez skuwanie kamiennych gzymsów i detali oraz pokrywanie lastrykiem.

Cmentarz Łyczakowski jest jednym z czołowych zabytków Lwowa, jego chlubą. Odnosi się wrażenie, że obecne władze miasta zaczynają sobie powoli zdawać z tego sprawę. Czytaliśmy coś takiego w czasopiśmie ukraińskim, poświęconym zabytkom. Obudziła się więc nadzieja, że Fundusz Kultury Polskiej zostanie wreszcie dopuszczony do energicznego działania na tym terenie.

\* \* \*

Cmentarz Łyczakowski powstał z końcem XVIII wieku, a więc mniej więcej wtedy gdy Rossa, Powązki, Rakowice. Był to czas, gdy uświadomiono sobie w Europie, że cmentarze przykościelne muszą ulec likwidacji, bo stwarzają zagrożenie sanitarne i blokują rozwój miast. Z wymienionych miast najstarsza jest Rossa – 1769, dalej Łyczaków – 1786, Powązki – 1790, Rakowice – 1803. W tym samym roku 1803 otwarto cmentarz Pere-Lachaise w Paryżu (ale jako kolejną nekropolię w tym mieście).

We Lwowie powstały wtedy cztery cmentarze, niejako dzielnicowe: Łyczakowski, Gródecki, Żółkiewski i Stryjski. Te trzy ostatnie zamknięto w 2. połowie XIX wieku, a na ich miejsce otwarto cmentarz Janowski, czynny do dziś. Łyczakowski jest w zasadzie już zamknięty i nowe groby powstawać nie mogą, dlatego właśnie trwa polowanie na stare grobowce.

Cmentarz Łyczakowski w chwili zakładania był przeznaczony m.in. dla dzielnicy śródmiejskiej, zamieszkiwanej co najmniej do końca XIX w. przez wyższe sfery społeczne, a więc ludzi poważnie majątnych. To tłumaczy jego bogactwo i elegancję, ale również i to, że spoczywa tu tak



▷ to jemu udało się przekonać (obie strony) o konieczności ratowania i podjęcia prac w tragicznie zniszczonej, walącej się kaplicy Sieniawskich przy kościele zamkowym w Brzeżanach. Można by przytoczyć jeszcze wiele innych jego inicjatyw w różnych miejscach państwa ukraińskiego.

Po drugie: grupy studenckie z Kielc, Gliwic i Lwowa rozpoczną trzytygodniową inwentaryzację nagrobków.

Miejmy nadzieję, że w następnych latach oba kierunki prac będą kontynuowane i zahamują upadek niezwykłego zabytku sztuki i kultury, jakim jest Cmentarz Łyczakowski.



Nagrobek rodziny Pęparów  
dłuta Antoniego Kurzawy

wielu ludzi ważnych dla historii i kultury Lwowa i całej Polski. Nazwiska kilku czy kilkunastu z nich są zapewne ogólnie znane (Konopnicka, Zapolska, Grottger, Belza, Szajnocha, Ordon itd.). Ale na Łyczakowie spoczywa podobno 20 tysięcy osób, które są ważne dla naszej historii i kultury. Są to zarówno bohaterowie wojen i powstań, politycy, biskupi, prezydenci miasta, profesorowie, pisarze, artyści sztuk pięknych i teatru, działacze społeczni i gospodarzy, wybitni przedstawiciele inteligencji, arystokracja i przemysłowcy itd. Na Łyczakowie są osobne kwatery powstańców 1831 i 1863 roku, którzy licznie osiadali we Lwowie po upadku walk – bo tu im stwarzano dobre warunki życia i taka tu była zawsze patriotyczna atmosfera.

Osobną część Cmentarza Łyczakowskiego stanowi Cmentarz Obrońców Lwowa z lat 1918–1920, którego odbudowę – po latach celowego niszczenia, a potem również celowego utrudniania odbudowy – udało się szczęśliwie doprowadzić do skutku. Natomiast kwatera powstańcza z 1831 r. staje się niestety coraz bardziej uszczuplona – zostało tylko kilkanaście grobów, w tym zaledwie dwa piękne, zabytkowe pomniki kamienne. Kwatera powstańcza z 1863 r. jest w nieco lepszym stanie, ale i tam dochodzi do kolejnych likwidacji grobów weteranów.

## WE LWOWIE W CZERWCU

Przedwakacyjne wydarzenia we Lwowie opisuje nam pani Teresa Dutkiewicz.

*23-go wielu z nas przeżyło swój wielki dzień. 56 osób otrzymało Kartę Polaka. Uroczystość w Operze, w Sali Lustrzanej, poprzedziła straszna burza.*

*Ambasador [Konsul Generalny W. Osuchowski] przemawiając, słusznie podkreślił, że o każdym z obecnych można napisać osobny scenariusz, każdy życiorys – to osobna historia. Zadośćuczynienie za całe życie trwania przy polskich korzeniach. A przecież tak naprawdę w naszym życiu nic się nie zmienia. Polakami byliśmy i Polakami pozostajemy, z tą tylko różnicą, że mamy pisemne potwierdzenie przynależności do narodu polskiego. Jeśli chodzi o ścisłość, to obywatelstwo mogłoby być tą prawdziwą satysfakcją. Dobre i to. Może młode pokolenie doczeka się właśnie tego.*

*Mieliśmy Dni Krakowa we Lwowie. Skaldowie śpiewali w Ryńku, Paulina Bisztyga w Klubie, a Bagatela w Operze wystąpiła z „Ferdydurke” Gombrowicza.*

*Na stronie internetowej [www.lwow.home.pl](http://www.lwow.home.pl) ukazała się zjadliwa relacja anonimowego autora, inteligentnie napisana, ale obrażająca nas, Lwowian, niesprawiedliwie pod wieloma względami. Sądzę, że napisał to ktoś z Krakowa, wprawdzie znający nasze realia, lecz nierozumiejący nas tak na prawdę.*

*Był jeszcze 50. Jubileusz Polskiego Teatru. W Operze. Wystawiono „Dwóch panów B.” – skromny spektakl (choć dobry) jak na taki jubileusz. W finale nie zaproszono na scenę byłych aktorów, którzy przybyli na uroczystość z Polski. Jest to wielki minus...*

## Wydarzenia

◆ **Panie Irena i Jadwiga Zappe** ze Lwowa otrzymały ostatnio odznaczenie „Kustosza Pamięci Narodowej”. Odznaczenie to, ustanowione przez IPN, udzielane jest od 2002 r. osobom i organizacjom szczególnie zasłużonym dla dokumentowania historii, ocalania pamięci historycznej oraz rozrywania zasłon niepamięci.

Obok sióstr Zappe to samo odznaczenie dostał m.in. Związek Polaków na Białorusi oraz Polka z Łotwy.

◆ W połowie kwietnia miało miejsce szczególne **wydarzenie religijno-kulturalne w Skolem**. W miejscowym kościele parafialnym pokazano i uczczono świeżo odnowiony obraz Matki Boskiej Różańcowej, po czym zaprezentowano wiersze poetek Maryli Wolskiej i Beaty Obertyńskiej (matki i córki), które przez wiele lat były związane z domem na Storożce, położonej ponad Skolem.

Z okazji spotkania w Skolem – zorganizowanego przez ks. dziekana Jana Nikła ze Stryja, dra Stanisława Słychna z Leżajska oraz dra Andrzeja Otkę ze Lwowa – wydano broszurkę z wyborem wierszy obu poetek oraz reprodukcją obrazu MB Skolskiej. W tym numerze drukujemy wiersz M. Wolskiej pt. *Poznanie*.



◆ Przypadającą w maju pierwszą rocznicę śmierci **niezapomnianego Walerego Bortiakowa** uczczono we Lwowie wystawą jego prac plastycznych. Wydano z tej okazji okolicznościowy folder-zaproszenie z kilkoma reprodukcjami widoków Lwowa przez niego namalowanych oraz pięknym tekstem, który przepisujemy:

*Już rok brakuje nam go we Lwowie. Odszedł od nas 14 maja 2007 roku. Pozostał po sobie swoje widzenie otaczającego świata. Swój Lwów, którego był dzieckiem adoptowanym, swoją miłość do polskiej sztuki, muzyki i literatury. Był Polakiem, chociaż nigdy nie wyrzekł się swego rosyjskiego pochodzenia. Kochał ludzi, wolność myśli i nienawidził obłudy. Miał czas dla wszystkich i nie dbał o własny dobrobyt.*

Prezentujemy dziś zaledwie skrawek tego, co potrafił zrobić własnym talentem i rękami. Wiele jego dzieł służy dziś w świecie i jest wyrazem hołdu dla Stwórcy.

O Walerym Bortiakowie pisaliśmy w CL 3/07.

◆ Z „Kuriera Galicyjskiego” dowiedzieliśmy się, że zamierzona jest odbudowa dawnego **obserwatorium astronomicznego na Popie Iwanie** (2020 m npm) w Czarnohorze, oddanego do użytku w 1938 r., potem, od wybuchu II wojny, niemal przez 70 lat popadającego w ruinę. Obecnie mają się w tej charakterystycznej budowli znajdować pomieszczenia dla działalności naukowej (?), a także turystyczno-rekreacyjnej. Podobno dokumentacja jest gotowa, tylko brak środków na prace budowlane.

◆ **Anomalie pogodowe**, jakie przeszły w ostatniej dekadzie czerwca nad naszymi miastami, nie ominęły oczywiście Lwowa i innych miast ziem południowo-wschodnich. Prasa doniosła, że tylko w samym Lwowie huragan spowodował straty szacowane wstępnie na 4 miliony dolarów. Wichura zniszczyła w mieście podobno 90 procent ulicznego oświetlenia i sygnalizacji świetlnej, zerwała dachy z ponad stu domów, wyrwała z korzeniami ponad dwieście drzew, niszcząc około 600 dalszych.



## Ucrainica

Otrzymaliśmy taką oto bulwersującą wiadomość: z okazji setnej rocznicy urodzenia Stepana Bandery administracja Iwanofrankiwska (tu nie godzi się używać prawdziwej nazwy naszego miasta) postanowiła udzielić funduszy na budowę zespołu muzealnego razem z pomnikiem (jak zrozumieliśmy) dla tego kata ludności polskiej na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Cała ta budowla ma stać blisko śródmieścia, w kierunku lotniska i jakoby zamierzonej rozbudowy centrum.

# W Krakowie i dalej

## U OJCÓW DOMINIKANÓW

Jak dobrze wiadomo – nie tylko lwowiakom krakowskim – tutejsze ogólne spotkania środowiska TMLiKPW odbywają się dwa razy w miesiącu w dwóch miejscach: w Kapitulniku oo. Dominikanów przy ul. Stolarskiej oraz w Klubie „Zaulek” przy ul. Poselskiej 9. O obu pisaliśmy niejednokrotnie.

U Dominikanów, po śmierci Ojca Adama Studzińskiego, naszym nowym kapelanem i opiekunem stał się o. Jerzy Bakalarz. Zgodnie z wieloletnią tradycją otwiera nasze spotkanie i odmawia z uczestnikami krótką modlitwę. O Ojcu Jerzym napiszemy więcej w następnym numerze CL.

Na ostatnie przedwakacyjne spotkanie w czerwcu o. Jerzy zaprosił o. Andrzeja Kamińskiego (też dominikanina), Wikariusza Generalnego na Rosję i Ukrainę. Ojciec Andrzej przedstawił sytuację w staraniach o powrót Dominikanów m.in. do Lwowa. W latach międzywojennych Lwów był centrum życia intelektualnego tego zakonu. Tam też było ich wydawnictwo i drukarnia. Wojna i czasy komunizmu zniszczyły to wszystko. Obecnie w klasztorze lwowskim znajduje się archiwum. W krągankach było muzeum ateizmu, obecnie – historii religii. Kościół podlegał władzom kijowskim, a nie miasta Lwowa, przez co jeszcze nieostatecznie oddano go grekokatolikom. Jednak obecnie podlega władzom lwowskim, więc próby odzyskania kościoła przez Dominikanów nie dochodzą do skutku, wydaje się to prawie niemożliwe. Dominikanie pracują w Kijowie i chcieliby mieć swoje placówki we Lwowie, Charkowie i Odessie, czyli w miastach uniwersyteckich.

Zamierzeniem Dominikanów jest powrót do pracy wśród inteligencji ponadnarodowej, ponadwyznaniowej. To bardzo trudne zadanie, bo trzeba wyjść ponad podziały. Ale żeby osiągnąć zbliżenie do spraw religijnych, należy być sobą – Polakiem, rzymskim katolikiem. (MW)

## ODESZŁA UCZONA

Nauka polska, a zarazem kultura polskiego Lwowa poniosły ogromną stratę: zmarła wybitna uczona, profesor Helena Madurowicz-Urbańska.

Urodziła się w 1918 r. we Lwowie, rozpoczęła tam studia historyczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza w 1936 roku. II wojna sprawiła, że kończyła je na UJ w Krakowie, tamże doktorat i habilitacja (1963) z historii społecznej i gospodarczej. Przechodząc po szczeblach kariery naukowej została profesorem zwyczajnym w r. 1978. Od 1998 była na emeryturze, działała jednak naukowo dalej.

Profesor Madurowicz-Urbańska zyskała sobie opinię jednego z najwybitniejszych znawców dziejów społecznych i gospodarczych XVI–XX wieku. Poprzez lata swej działalności naukowo-dydaktycznej kierowała kolejno różnymi zakładami w zakresie historii społeczno-gospodarczej i statystyki. Interesowały ją dzieje przemysłu, przemiany wsi XVI–XX w., edycja źródeł historycznych. Była członkiem PAU i kilku towarzystw krajowych i zagranicznych, otrzymała wiele odznaczeń. W czasie II wojny była więźniarką niemieckich obozów koncentracyjnych.

Zmarła w Krakowie w maju br., spoczęła na Cmentarzu Rakowickim.

W ubiegłych latach Pani Profesor pozostawała w kontakcie z naszą Redakcją, była czytelniczką „Cracovia–Leopolis”.

Karol Odrycki, Marta Walczewska (MW)

### Przeczytane

## RADA

Interesujący test przeprowadziła jedna z gazet. Porozumiała się ona z nowo mianowanymi przez premiera członkami Rady do spraw Polaków na Wschodzie. Poprosiła ich o wymienienie najważniejszych skupisk naszych rodaków za wschodnią granicą. Z czwórki pytanym nikt nie potrafił odpowiedzieć. Jedną z osób skierowała redaktora do przewodniczącego Rady. To wcale nie jest śmieszne, to jest skandaliczne.

T. Dom, „Dziennik Polski” 144/08, Kraków

# KULTURA NAUKA

## I MUZEALNE SPOTKANIA Z KRESAMI

W dniach 26–27 maja br. odbyły się w Muzeum Niepodległości w Warszawie I Muzealne Spotkania z Kresami. Dwa pełne dni wypełnione były referatami i prezentacjami fotografii, przedstawionymi przez 15 muzeów z 10 miast – w sumie było 26 wystąpień.

Po inauguracyjnym słowie wstępnym dyrektora MN, dr. Andrzeja Stawarza, referat – a raczej gawędę wprowadzającą w nastrój Kresów – wygłosił prof. Stanisław Nicieja z Opola. Wyjaśnił pojęcie Kresów, przypomniał historyczne postacie stamtąd się wywodzące, przywołał „legendę Kresów”, głęboko utkwioną w świadomości pokoleń Polaków. Przypomnił, że zniesienie cenzury po latach zniewolenia komunistycznego otworzyło drogę do licznych wydawnictw.

Głównym celem spotkania było poinformowanie osób i kręgów zainteresowanych Kresami, jakie zasoby dotyczące szeroko pojętych Kresów Wschodnich znajdują się w poszczególnych muzeach. Przedstawiciele różnych środowisk muzealnych ujawnili, jakie eksponaty świadczące o życiu i kulturze na Kresach I i II Rzeczypospolitej znajdują się w ich gestii. Reprezentowane były duże ośrodki, jak Warszawa, Kraków (3 muzea i 7 referatów), Wrocław, Przemyśl, Gdańsk, Zamość.

Niestety wielu ośrodków jeszcze brakowało, przede wszystkim z tych miejscowości, gdzie zatrzymywali się ekspatrianci, uciekinierzy, repatrianci, którzy przywieźli ze swych małych ojczyzn dowody kultury materialnej, lecz które stopniowo giną bezpowrotnie. Dlatego nazwanie tegorocznego spotkania pierwszym budzi nadzieję, że będą następne. Muzeum Niepodległości nie tylko wyda materiały ze spotkania w formie książkowej, ale także zgodnie z obietnicami będzie nadal organizować i patronować następnym. Zrobiony został pierwszy krok

do wzajemnej informacji międzymuzealnej, a w przyszłości do stworzenia bazy danych o muzealnych zasobach kresowych.

Mimo że oba dni seminarium były ściśle wypełnione prezentacjami, znalazł się jeszcze czas na inne atrakcje: pierwszego dnia wieczorem wyświetlono dwa filmy z cyklu *Zamki kresowe* w reżyserii Jerzego Janickiego, a drugiego dnia wieczorem odbyło się spotkanie z poezją Zygmunta Jana Rumla, poety zapomnianego, patrona tegorocznych obchodów 65. rocznicy ludobójstwa ukraińskiego, dokonanego na ludności polskiej. (DTS)

## TEATR LWOWSKI W KRAKOWIE

W połowie kwietnia wystąpił w Krakowie Polski Teatr Ludowy ze Lwowa, prezentując komedię Mariana Hemara *Dwaj panowie B*. Sztuka ta była debiutem dramaturgicznym Hemara, a jej premiera we wszystkich większych miastach polskich odbyła się w 1929 roku. Reżyserem obecnego przedstawienia był Zbigniew Chrzanowski, a dekoracje zaprojektował przed swą niedawną śmiercią Walery Bortiakow. W spektaklu wystąpiło kilkunastu artystów lwowskich, a wśród nich dobrze nam znani: Lidia Ilku, Luba Lewak, Jadwiga Pechaty, Janusz Tysson i sam Zbigniew Chrzanowski.

Sztuka została odegrana bardzo sprawnie, a poziom gry niewiele odbiegał od aktorstwa profesjonalnego. Role pań Luby i Jadzi oraz obu głównych bohaterów komedii wykazały ich kunszt aktorski. Przyjemność odbioru spektaklu była tym większa, że grano ją tradycyjnie, oszczędzając nam dziwactw stosowanych dziś w teatrach krajowych.

Treść omawianej sztuki lwowskiego autora nie nawiązuje w zasadzie do realiów lwowskich. Reżyser jedynie w sposób delikatny wskazał jej lwowskość: gazetą czytaną przez postacie przedstawienia był pamiętny „Wiek Nowy”.

\* \* \*

Teatr lwowski sięga do różnych dzieł polskiej literatury dramatycznej. Oto w kwietniu br. odbyła się we Lwowie premiera sztuki Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego *Babcia i wnuczek, czyli Noc Cudów*.

Polski Teatr Ludowy obchodzi w tym roku jubileusz swego 50-lecia. Przesyłamy z tej okazji gratulacje i wyrazy naszego uznania oraz serdeczne życzenia na dalsze lata pracy artystycznej na niwie krzewienia polskiej kultury i sztuki.

## Kronika

◆ W CL 3/07 i 1/08 zamieściliśmy dwa różne teksty o działającej we Lwowie w latach II wojny grupie literackiej „Żagiew”. W drugim z tych artykułów, autorstwa Leszka Golińskiego (o nim samym pisaliśmy w CL 2/08), przeczytaliśmy o trudnych w warunkach okupacyjnych sposobach publikowania wierszy lwowskich poetów „Żagwi”. Jedną z form rozpowszechniania były odbitki fotograficzne maszynopisów wierszy.

I oto przedziwny zbieg okoliczności sprawił, że w spuściźnie po dr. Tadeuszu Krzyżewskim znaleźliśmy plik 16 odbitek z większej zapewne serii. Wiersze dotyczą wojny, Lwowa, Powstania Warszawskiego, postaci Józefa Piłsudskiego, Katynia, Oświęcimia... Nie są podpisane, w ówczesnych warunkach było to niemożliwe. Jedyne na kilku dr Krzyżewski dopisał odręcznie nazwiska domniemanych autorów.

Poniżej przedstawiamy jeden z wierszy (jakoby B. Króla) oraz zdjęcia kilku innych.

### EGZEKUCJA

*Mych braci było tam czterdziestu,  
A może cztery tysiące?...  
I wszyscy śmiertelnym*



*piekącym  
bólom –  
chwycili w serce –  
kule.  
Bruk się zakrył czerwonym kobiercem.  
Niewiele było słów:  
Polska –  
Wolność –  
i Lwów – – –  
A za szybami –  
za bramami – za murami –  
tam, gdzie w żyłach jeszcze biła  
polska krew –  
tam w palących ranach  
jest zemsta wypisana!  
Dzisiaj nie ma przebaczeń!  
Przysięgłem na Krzyż i Mękę  
miecz karać ślepy i rękę!!!*

-----  
*Nieprzyjacioły miłować...*

*Jakże to?*

*Jakże to?*

*Chryste!?*

*Odwróć ode mnie te słowa!*

*Daj, bym był mieczem ognistym*

*Za te tysiące –*

*za strzechy płonące –*

*za krwią zalane ulice –*

*za szubienice –*

*za jęki w murze –*

*roznieć mi w rękę*

*burze!!!*

*Nieprzyjacioły miłować...*

*Chryste!*

*Chryste!!*

*Chryste!!!*

*Odwróć ode mnie te słowa!...*



◆ W pierwszych dniach czerwca '08 otwarto w Galerii Domu Polonii w Krakowie wystawę **Lwowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych**. Swoje dzieła wystawili zarówno artyści mieszkający we Lwowie, jak i ci, którzy dziś tworzą w Krakowie. Do tych drugich należą absolwentki krakowskiej ASP: Krystyna Grzegocka, która w czasie wernisażu odebrała przyznane jej wcześniej odznaczenie *Zasłużony dla Kultury Polskiej*, a także Juriana Jur, której grafiki zostały wysoko ocenione. Pokazano też pastelowe portrety zmarłego niedawno Walerego Bortiakowa.

◆ Prasa doniosła, że **krakowska Akademia Górniczo-Hutnicza** nawiązała ponownie współpracę z politechniką lwowską w dziedzinie budownictwa i materiałów budowlanych. Ma być także trzeci partner: producent materiałów budowlanych Lafarge Poland – firma, która inwestuje w państwie Ukraina i jest m.in. właścicielem cementowni koło Lwowa.

Obecna politechnika we Lwowie nosi, jak pamiętamy, imię Bandery. Okazuje się jednak, że *pecunia non olet* (bo przecież zapewne nie o osiągnięcia naukowe chodzi).

## BRONOWICE I KLEPARÓW

W ostatnich latach – w okresie rządów ukraińskich we Lwowie – eksponowana jest tam sprawa „niemieckości” budowy oraz kultury tego miasta we wczesnym okresie jego rozwoju. Bliżej się tego oczywiście nie wyjaśnia – grunt, że jest okazją do pomniejszenia roli polskości, z pominięciem podstawowego faktu, iż Lwów i całe ziemie południowo-wschodnie były częścią Korony, a ich władcą król Polski.

Niemieccy mieszczanie, kupcy, rzemieślnicy, budowniczości, nawet artyści, przybywali do wszystkich polskich miast, ponieważ intencją królów, w szczególności Kazimierza III, nazwanego później Wielkim – było podniesienie stanu państwa, jego gospodarki i kultury, w tym miast, które na ogół trzeba było zorganizować i zabudować trwale od podstaw. Własnych mieszczan i fachowców jeszcze nie mieliśmy (albo bardzo niewiele). Polska wiązała się z Zachodem, oczywiście więc kierunkiem sprowadzania ludzi do miast był najbliższy kraj zachodni – Niemcy i ich główne ośrodki miejskie. Tak samo było w Krakowie czy Poznaniu i dziesiątkach większych i mniejszych miast, nieco później – w Warszawie i we Lwowie, gdy warunki polityczne na to pozwoliły. Nie darmo mówi się o Kazimierzu Wielkim, że *zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną*.

Dlaczego o tym piszemy? Oto w krakowskim „Dzienniku Polskim” 17s/07 znalazł się ciekawy artykuł (niepodpisany) pt. *Kraina pełna pałaców*, a poświęcony sławnym z *Wesela* Wyspiańskiego Bronowicom – niegdysiejszej wsi, dziś już części Krakowa.

Bronowice – arcy-polska wieś. Dowiadujemy się jednak, że wieś ma XI–XII-wieczne korzenie, a jej nazwa pochodzi od imienia Bruno\*. W XII wieku ziemie bronowickie rozpadły się na dwie części, zaś z początkiem XV w. pojawiają się dwie nazwy: *Brunowicze Theutonialis* (niemieckie, potem zwane Wielkie) i *Brunowicze Polonialis* (polskie, potem zwane Małe). Ziemie miały kolejno różnych właścicieli, byli nimi opactwo tynieckie i Akademia Krakowska, ale wsią zarządzali sołtysi. Oto ich imiona lub nazwiska: Detmar, Krystian, Konrad Zeler z Norymbergi, Konrad Zegelbach, trzech Kezingerów, dwóch Rokembergów, Kezling. W XIX w. majątek bronowicki zakupiła rodzina Schoenbergów, a w 1882 r. zamożny kupiec krakowski Fischer\*\*. Ostatnie rodziny były już oczywiście spolonizowane.

Wcale się więc nie dziwmy, że lwowski Zamarstynów pochodzi od nazwiska Sommerstein, a Kleparów od Klopper. Taka była nasza polska historia, bo rozsiedliśmy się (niefortunny) na samych wschodnich peryferiach tacińskiej Europy, wiążąc się z jej kulturą i kierunkami rozwoju. Niech przeto nikt nie rozpatruje tendencyjnie dziejów Lwowa w oderwaniu od szerszej – polskiej i wschodnioeuropejskiej\*\*\* – całości, ponieważ będzie się mijal z prawdą.

\* Nie zdradzamy tu żadnych tajemnic *narodowych*, ponieważ sprawa została już opisana we wspomnianym krakowskim dzienniku.

\*\* O Fischerach i o swym dziadku Janie pisała w felietonie w CL 3/07 Barbara Czałczyńska.

\*\*\* Podobnie jest wszak z miastami krajów bałtyckich, a także Petersburgiem. A XIX-wieczny Kijów? Budowali go w różnych okresach historii Niemcy, Polacy, Rosjanie...

# Książki czasopisma

## Nowe książki

📖 Katowickie wydawnictwo „Unia” (2007) wydało arcyciekawą i ważną pracę pt. ***Kronika 2350 dni wojny i okupacji Lwowa 1 IX 1939 – 5 II 1946***. Na zawartość pracy składają się wyjątki z publikacji, które ukazały się zarówno w tamtych tragicznych dniach, jak i w okresie późniejszym. Materiały te zebrali trzej autorzy: **Grzegorz Mazur**, **Jerzy Skwara** i **Jerzy Węgierski**. Łącznie wykorzystano w pracy około pół tysiąca dokumentów źródłowych, w tym materiały znajdujące się w archiwach lwowskich i kijowskich oraz kilkadziesiąt relacji. Tekst uzupełnia ok. 150 ilustracji. W ten sposób powstała praca niezwykła, pozwalająca nam przenieść się w tamte tragiczne czasy i praktycznie prześledzić wydarzenia dzień po dniu. Publikacja podzielona jest na 6 części. W pierwszej zawarta jest ogólna charakterystyka Lwowa, takiego, jakim był przed wybuchem wojny. Następne części odnoszą się już do czasów wojny, tzn. obrony miasta we wrześniu 1939 r., pierwszej okupacji sowieckiej, okupacji niemieckiej, Akcji „Burza” we Lwowie oraz drugiej okupacji sowieckiej. Cezurą końcową pracy jest dzień 5 lutego 1946 r., kiedy, z formalno-prawnego punktu widzenia, zakończyła się sowiecka okupacja miasta, gdyż oficjalnie została ustalona granica między Polską a ZSRS. Oczywiście jest to termin umowy, gdyż układ graniczny został nam narzucony przemocą i faktyczna okupacja miasta nigdy się nie zakończyła. Mimo tak zarysowanego przedziału czasowego do pracy dołączono epilog, który w sposób syntetyczny pokazuje dalsze dzieje, aż do lipca 1946 r. Jak już pisałem, dzięki *Kronice* możemy śledzić praktycznie dzień po dniu wydarzenia we Lwowie w okresie tych pamiętnych 7 lat. Autorzy nie ograniczyli się do podawania zdarzeń, które miały miejsce w mieście i powiecie lwowskim, ale starali się je pokazać na szerszym tle wydarzeń

zachodzących w Europie, a odnoszących się do spraw polskich, co jeszcze bardziej uwypukla dramatyzm tamtych dni, pokazując z jednej strony niekorzystny dla Polski bieg wydarzeń, a z drugiej strony wiarę mieszkańców miasta w pomyślne zakończenie wojny. Autorzy nie unikają też poruszania tematów trudnych, często budzących kontrowersje, jak chociażby zamieszanie panujące w latach 1939–1941 we lwowskich strukturach ZWZ. Kronika kończy się przejmującym wierszem pt. *Matko Boska*, zaczerpniętym z pracy Marii Bieleckiej-Kasprowicz *Widzenie świata*, który pozwoli sobie przytoczyć w całości:

*Matko Boska  
Z lwowskiej kamienicy  
Wygnano nas  
Tobie zabrano kaplicę  
a trwasz*

*Matko Boska  
Z lwowskiej kamienicy  
Z łukiem  
Nad głową gwiazd  
Jeszcze do Ciebie  
Powrócę jak wracam ciągle w snach*

*Jeszcze do Ciebie  
Powrócę  
Chociażby wnukiem prawnukiem  
Czekaj nas.*

Na koniec zacytuję końcowe zdania wstępu do *Kroniki...*, które najwierniej oddają cel, jaki przeświecał twórcom tego monumentalnego dzieła: *Kroniką 2350 dni wojny i okupacji Lwowa chcemy przywrócić tamtemu nieistniejącemu dziś miastu godność i pamięć i zarazem czcimy bohaterstwo jego mieszkańców. Jesteśmy pewni, że po przeczytaniu tej książki czytelnik zrozumie, co naprawdę znaczy stara łaćniańska maksyma, która na zawsze zrosła się z tym miastem niezwykłym Leopoldis semper fidelis – Lwów zawsze wierny.* Uważam, że ta praca,



będąca oddaniem wielkiego hołdu naszemu miastu i ludziom zamieszkujących go w tamtych czasach, powinna znaleźć się w każdym lwowskim domu. (JM)

📖 W Wydawnictwie i Drukarni Świętego Krzyża w Opolu (2007) ukazała się cenna pozycja dotycząca bolesnej przeszłości Kresów Wschodnich. To **Słownik biograficzny duchowieństwa metropolii lwowskiej obrządku łacińskiego ofiar II wojny światowej 1939–1945** pod redakcją ks. **Józefa Krętosza** oraz **Marii Pawłowiczowej**. Stanowi on kontynuację opracowanej dwa lata wcześniej *Listy strat wśród duchowieństwa metropolii lwowskiej obrządku łacińskiego w latach 1939–1945*. Tom *Słownika* zawiera 255 biogramów: kapłanów diecezjalnych, zakonników oraz kapelanów wojskowych, którzy pracowali i stracili życie na terenie diecezji: lwowskiej, łuckiej i przemyskiej, wchodzących w skład metropolii lwowskiej. Hasła przygotował zespół 23 historyków Kościoła – księży, zakonników oraz osób świeckich, reprezentujących ośrodki badawcze z całego niemal kraju.

*Słownik* otwiera wiersz *Rozstrzelany kościół* autorstwa Krzysztofa Kołtuna, pochodzący ze zbioru *Psalterz z Porycka*. Zasadniczą część poprzedza *Przedmowa* recenzenta naukowego – księdza biskupa Jana Kopca. Obszerny *Wstęp* pióra księdza profesora Józefa Krętosza wprowadza w problematykę wyniszczenia duchowieństwa polskiego na badanym terenie przez Niemców, sowieków i nacjonalistów ukraińskich. Wzbogacony jest on zestawieniami tabelarycznymi. Biogramy kapłanów ujęto alfabetycznie w trzech działach: księża diecezjalni, zakonnicy oraz kapelani.

W biogramach autorzy ukazali całą działalność księży, ich kapłańską drogę przez kolejne parafie, pracę naukową, troskę o zażytki sakralne. Szczególną uwagę autorzy poświęcili wydarzeniom lat wojny, analizowali różne przekazy dotyczące okoliczności śmierci kapłanów, wskazywali najbardziej prawdopodobny przebieg tragicznych wydarzeń.

Pod każdym hasłem zamieszczona została bibliografia przedmiotowa wymieniająca źródła oraz opracowania. Całość uzupełniają: obszerna bibliografia, zestawienia duchownych według diecezji, kapelanów

oraz zakonników według ich przynależności do 15 zakonów, które poniosły straty, a także indeksy osób i miejscowości. Na końcu tomu znajduje się wkładka z fotografiami miejsc i osób. (WP)

Książkę można nabyć w Wydawnictwie św. Krzyża, 45-007 Opole, ul. Katedralna 6, tel. 077 453-94-93

📖 Ukazała się publikacja niewielkiego formatu autorstwa Antoniego Podsiada pt. *Madonny Kresowe u Golgoty Wschodu*, wydana przez „Verbitum” Wydawnictwo Księży Werbitów – Warszawa 2006. Jest to szczegółowa historia powstania w obozie Kozielski II w drugim półroczu 1940 roku dwóch obrazów Matki Boskiej Zwycięskiej z Kozielska. Jednego – malowanego na desce przez Michała Siemiradzkiego, i drugiego – wykonanego przez Tadeusza Zielińskiego w formie płaskorzeźby na desce (pomalowanej później). Podano przebieg starań o powstanie obrazów, sposób zdobywania materiałów. Autor szczegółowo analizuje podobieństwa i różnice obrazów w stosunku do pierwowzorów: Matki Boskiej Żyrowickiej i Ostrobramskiej. Oprócz głównego tematu autor dodatkowo podał informacje o najwcześniejszym wizerunku Matki Boskiej Ostrobramskiej, wykonanym na niewielkiej deseczce w lutym 1940 r. w obozie Kozielski I przez Henryka Gorzechowskiego oraz o znacznie późniejszej Matce Boskiej Katyńskiej, („Pieta”).

Autor swą myśl przewodnią zawarł w zdaniu: Aż cztery Madonny jawią się i spotykają ze sobą u Golgoty Wschodu: Żyrowicka, Ostrobramska, Kozielska i Katyńska... ich cechy się krzyżują, a one same po prostu utożsamiają się ze sobą.

Do publikacji dodane są przypisy oraz zbiór rycin i fotografii wraz z objaśnieniami. (DTS)

📖 Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej – Okręg Wołyński przez wiele lat z uporem dążył do ujawnienia prawdy o masowej zagładzie ludności polskiej na Kresach Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej. Przez kilkadziesiąt lat temat ten był przemilczany zarówno przez polityków, jak i naukowców. W Światowym Związku ŻAK rozważano różne sposoby upublicznienia tematu i uruchomienia badań naukowych. Początkowo zakładano, że prace będą pro-

wadzone wyłącznie siłami historyków polskich. Później okazało się, że muszą to być działania międzynarodowe polsko-ukraińskie. Pokonując wiele trudności i oporów zdecydowano się na współpracę ze Związkiem Ukraińców w Polsce w celu wspólnego zorganizowania seminariów historycznych, na których badacze z obu państw – Polski i Ukrainy – przedstawialiby swoje wyniki i gdzie byłaby możliwość dyskusji na podstawie dokumentów. Przyjęto zasadę, że każdy temat będzie opracowywany równoległe przez historyków reprezentujących oba kraje i dla każdego tematu sporządzać się będzie protokół rozbieżności poglądów. W celu zapewnienia naukowego charakteru seminariów postanowiono dopuszczać do głosu tylko historyków z list, które wcześniej zostały zatwierdzone przez organizatorów.

Odbyło się 11 seminariów w latach 1996–2005 przemienne w Warszawie i Łucku. Wyniki seminariów opublikowano w kolejnych tomach pt. *Polska – Ukraina: trudne pytania*. Sprawozdanie z przebiegu prac, omówienie poszczególnych seminariów, cytaty z protokołów lub referatów oraz korespondencji zawiera książka **Andrzeja Żupańskiego** pt. ***Tragiczne wydarzenia za Bugiem i Sanem przed ponad sześćdziesięciu laty***, wydana dzięki wsparciu finansowemu Kancelarii Prezydenta RP przez Oficynę Wydawniczą RYTM w Warszawie w 2007 roku. Autor przez 11 lat był przewodniczącym środowiska Żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, tym samym był organizatorem i aktywnym uczestnikiem seminariów polsko-ukraińskich.

W pesymistycznym zakończeniu autor podaje, że 10-letnia praca na seminariach historycznych nadal pozostaje nieznaną politykom. W związku z uroczystościami w Porycy i Pawłokomie nastąpił krótkotrwały wybuch dyskusji w obu krajach, a potem znowu milczenie. Na znacznej części państwa ukraińskiego ludność pierwszy raz dowiedziała się o krwawych wydarzeniach na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej.

Wniosek końcowy z protokołu rozbieżności: zdaniem historyków polskich zamiarem OUN Bandery było zlikwidowanie wszystkich Polaków na Wołyniu oraz wypędzenie pod groźbą śmierci do Galicji Wschodniej. Natomiast historycy ukraińscy

mówią o usunięciu ludności polskiej dla zabezpieczenia swego zaplecza. Słowa podobne, ale ile w nich groźnej treści! (DTS)

📖 Oficyna wydawnicza Verba wydała w 2006 r. pracę pt. ***Towarzystwo Straży Kresowej 1918–1927***. Książka poświęcona jest historii organizacji, noszącej od 1919 roku nazwę Towarzystwo Straży Kresowej (TSK). SK powstała w lutym 1918 r. w Lublinie i jej pierwotnym celem działania była akcja na rzecz niedopuszczenia do oderwania od Polski Chełmszczyzny i Podlasia. Groźba taka zawisła w wyniku postanowień traktatu brzeskiego. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę jesienią 1918 r. TSK stopniowo rozszerzało swoją działalność na ziemie kresowe, które przed 1914 r. wchodziły w skład zaboru rosyjskiego: Wołyń, Polesie, Białostoczczyznę, Grodzieńszczyznę, Wileńszczyznę. TSK praktycznie nie działało na terenie byłego zaboru austriackiego, ale swoją działalnością objęło również wschodnią część Podola należącą przed 1914 r. do Rosji. Prowadziło szeroką działalność, począwszy od działalności politycznej, na oświatowej kończąc, TSK zaliczyć można do szeroko pojmowanego obozu piłsudczykowskiego. Korzenie polityczne TSK sięgały do organizacji Zet. W działalności politycznej TSK największą rolę odegrało na Wileńszczyźnie. W 1922 r. Rady Ludowe, często zakładane bezpośrednio przez TSK, odniosły sukces wyborczy w wyborach do Sejmu Wileńskiego, zdobywając 29 na ogólną liczbę 106 mandatów. Warto przy tym dodać, że w wyborach tych TSK przeciwstawiło się lansowanej przez J. Piłsudskiego koncepcji federacyjnej, opowiadając się za inkorporacją Wileńszczyzny. W działalności politycznej TSK dążyło do łagodzenia antagonizmów narodowościowych i do pozyskiwania mniejszości narodowych oraz do idei budowania wspólnego państwa, gwarantującego tym mniejszościom szerokie prawa polityczne. W działalności gospodarczej, z uwagi na fakt, że większość ludności Kresów była zatrudniona w rolnictwie, TSK koncentrowało się na rozwoju ruchu spółdzielczego na wsi, stowarzyszeń pożyczkowo-oszczędnościowych oraz podnoszeniu poziomu kultury rolnej. TSK opowiadało się za przeprowadzeniem reformy rolnej. W działalności gospodarczej TSK wywierało pozytywny wpływ

na kooperatywy tworzone przez mniejszości narodowe, łagodząc ich wrogie nastawienie do Polski.

Kolejnym polem działalności TSK był udział w akcji ratowania zabytków kultury materialnej na Wschodzie. M.in. TSK waleń przyczyniło się do uratowania kolekcji Chodkiewiczów z Młynowa oraz Potockich z Antonin. TSK prowadziło też szeroką akcję wydawniczą. Wydawało łącznie 27 periodyków, począwszy od dzienników na miesięcznikach skończywszy. Wśród tych gazet były też pisma wydawane w językach litewskim, ukraińskim i białoruskim, których celem było przekazanie ludności miejscowej polskiego punktu widzenia odnośnie do przyszłości Kresów. Gazety te starały się też pozyskać mniejszości narodowe do idei budowania wspólnego państwa. TSK prowadziło ponadto na Kresach pracę oświatową, której celem było podniesienie poziomu kulturalnego i oświatowego ludności polskiej, jak również budzenie polskiej świadomości narodowej wśród miejscowej ludności. Kresem aktywnej działalności TSK były wybory parlamentarne w 1922 r. Zachęcone sukcesem wyborczym Rad Ludowych na Wileńszczyźnie, TSK postanowiło wziąć udział w wyborach ogólnopolskich. Poniósł jednak w nich sromotną klęskę i od tego momentu możemy mówić co najwyżej o wegetacji TSK. Po zamachu majowym część działaczy Towarzystwa znalazła się szeregach Związku Naprawy Rzeczypospolitej.

Na zakończenie warto dodać, że swiste uzupełnienie historii TSK zawarte jest wydanej w 1999 r. pracy Joanny Gierowskiej-Kałuża *Straż Kresowa a Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich: współdziałanie czy rywalizacja*.

Podsumowując należy stwierdzić, że do rąk czytelnika trafiła bardzo wartościowa praca omawiająca historię zapomnianej organizacji, która przecież odegrała olbrzymią rolę w obronie polskiego stanu posiadania na Kresach. Towarzystwo Straży Kresowej było najważniejszą organizacją społeczno-polityczną działającą w latach 1918–1922 na Kresach (oczywiście, jak już pisałem, z wyjątkiem Małopolski Wschodniej) i to dzięki temu Towarzystwu udało się pozyskać dla idei budowy Państwa Polskiego przynajmniej część ludności niepolskiej.

(JM)

📖 Wydawnictwo Kluszczyński wydało ostatnio album pt. **Tylko we Lwowie**. Słowo wstępne napisał profesor Zdzisław Żygulski jun. przedstawiając w wielkim skrócie historię miasta, począwszy od czasów Księcia Daniela aż do 1939 r. Album podzielony jest na dwie części. W pierwszej na 50 stronach pokazano zdjęcia wykonane przed 1939 r., w drugiej na 76 stronach – współczesne zdjęcia miasta. Pierwsza część jest zdecydowanie ciekawsza, gdyż współczesne zdjęcia miasta można znaleźć w wielu ostatnio wydanych pracach poświęconych Lwowowi. Do najciekawszych zdjęć zaliczyć można te, które pokazują życie codzienne miasta przed dziejową katastrofą. W albumie można znaleźć takie perełki jak: plakciarza, naklejającego afisze na murach domów, pochód podczas Święta Miast Polskich w 1930 r., ćwiczenia straży pożarnej czy też samolot Potez ufundowany przez Lwowian dla Wojska Polskiego. Nie brakuje takich ciekawostek jak fotografie kąpiących się w stawie przy ulicy Pełczyńskiej, widok drewnianego mostu zbudowanego dla kibiców obserwujących uliczne wyścigi samochodowe. Są też zdjęcia poświęcone różnym ważnym wydarzeniom z życia miasta, jak otwarcie dworca głównego czy też linii tramwajowej na Wysoki Zamek. W części drugiej są fotografie najważniejszych zabytków i ważniejszych budowli. Jednym z najciekawszych zdjęć jest widok ulicy Gródeckiej w zimowy wieczór. Przy niektórych fotografiach przydałby się jednak dokładniejszy opis. I tak np. na zdjęciu z frontonem Uniwersytetu brak jest wyjaśnienia, że rzeźba T. Rygiera na nim zamieszczona przedstawia personifikację Galicji, Wisły i Dniestru. Brakuje też zdjęć polskich pomników, jakie pozostały w mieście. Jest tylko fotografia pomnika Adama Mickiewicza. Nie ma też zdjęcia z widokiem współczesnego okaleczonego Cmentarza Obrońców Lwowa. Powoduje to, że dla kogoś nieznającego miasta, jego obraz nie będzie pełny.

(JM)

Warto dodać, że jest to druga publikacja poświęcona Lwowowi, jaka w krótkim odstępie czasu ukazała się w wydawnictwie Kluszczyński. Mniej więcej pół roku wcześniej wyszedł bogato ilustrowany przewodnik po Lwowie z tekstem Romana Marcinka i zdjęciami Sergieja W. Tarasowa.

📖 W tym samym wydawnictwie ukazał się przewodnik pt. **Kresy** autorstwa **Aleksandry Górskiej**. W zasadzie trudno książkę nazwać przewodnikiem, bo chyba nikt nie będzie się udawał na zwiedzanie z opracowaniem formatu A4. W pracy przedstawione zostały opisy miejscowości zarówno na Kresach bliższych, tzn. tych utraconych w 1939 r., jak i dalszych – utraconych podczas rozbiorów, a nawet wcześniej (Zadnieprze), czyli na ziemiach ukraińskich, a także Inflantach i Litwie Kowieńskiej. Przewodnik składa się z następujących części: Ruś Czerwona, Podole, Ukraina, Wołyń, Polesie, Ruś Biała i Czarna Litwa oraz Inflanty. We wstępie do każdej części jest przedstawiona króciutka charakterystyka opisywanej krainy. Przewodnik jest bogato ilustrowany współczesnymi zdjęciami, które uzupełniają stare fotografie lub rysunki nieistniejących już, a ważnych obiektów, jak np. zdjęcie dworu w Czombrowie, będącego najprawdopodobniej pierwowzorem Soplicowa z *Pana Tadeusza*. W przewodniku zamieszczone są też reprodukcje dzieł malarstwa polskiego przedstawiające ważne wydarzenia historyczne jak np. reprodukcja obrazu *Polskie Termopile* czy też *Piłsudski pod Wilnem*. Do przewodnika dołączona jest mapka omawianych w nim miejscowości, co znacznie ułatwia orientację. Na 272 stronach dostajemy opis najważniejszych zabytków i miejsc godnych zwiedzenia na Kresach. Jest to bardzo pożyteczna praca, którą można polecić szczególnie tym czytelnikom, którzy dopiero zaczynają poznawać tamte strony. Dzięki niej można sobie wyrobić ogólny obraz, jak wielkie nasze dziedzictwo kulturowe zostało na Wschodzie za kordonem jałtańskim.

(JM)

📖 Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa wydała w roku 2003 piękny album pt. **Katedra Lwowska obrządku łacińskiego**. Autorem zdjęć jest **Krzysztof Hejke**, a tekstów **Jerzy T. Petrus**. Na początku album opatrzony jest dwoma krótkimi słowami wstępnymi – ks. kard. Mariana Jaworskiego i sekretarza ROPWiM Andrzeja Przewoźnika.

Pierwsza część albumu to na kilkunastu stronach historia katedry, autorstwa J.T. Petrusa, ilustrowana starymi rysunkami i fotografiami. Druga część – albumowa – to około

140 barwnych fotografii w wykonaniu K. Hejkego. Autor poprzez układ fotografii prowadzi widza – czytelnika, jak doświadczony przewodnik turystę. Najpierw daje kilka widoków na katedrę z różnych punktów w mieście, potem pokazuje otoczenie kościoła, zatrzymując się przy kaplicy Boimów, a dopiero później wprowadza do wnętrza katedry, pokazując poszczególne kaplice. Zdjęcia świetnie technicznie pozwalają na dokładne poznanie kompozycji i detali. Pozwalają ocenić, jak wiele i jak piękne skarby znajdują się w lwowskiej katedrze. Dalej oglądamy witraże, schodzimy do krypty w podziemiach i wychodzimy na wieżę, aby spojrzeć na miasto z góry. Kilka fotografii dokumentuje życie religijne w kościele i zakrystii. Na sam koniec zwiedzania wychodzimy na zewnątrz, gdzie dzień chylił się ku wieczorowi. Ostatnie zdjęcia to Katedra i Rynek nocą.

Zapoznanie się z albumem stanowi ogromne przeżycie poznawcze, emocjonalne i estetyczne. Niestety wydano go w małym nakładzie.

(DTS)

📖 Centrum Szkolenia i Organizacji Systemów Jakości Politechniki Krakowskiej wydało w 2007 r. książkę **Anny Teresy Górzynskiej** pod tytułem **Ukraińskie doświadczenia i refleksje. Spojrzenia polskiego nauczyciela**.

Zgodnie z powyższym są to relacje z doświadczeń i obserwacji w pracy nauczycielskiej autorki w trzech różnych szkołach i trzech różnych środowiskach na Ukrainie w latach 2002–2006. Większość rozdziałów to artykuły opublikowane w polskiej prasie na Ukrainie.

Autorka pochodząca z Pomorza i wykształcona w Toruniu (bez korzeni kresowych) podjęła się nauczania języka i kultury polskiej w środowiskach polonijnych na południe i wschód od przedwojennej granicy polskiej. Na pierwszy rok szkolny 2002/03 dostała skierowanie z Centralnego Ośrodka



Doskonalenia Nauczycieli w Warszawie do Użhorodu na Zakarpaciu, potem pracowała dwa lata w Gródku Podolskim i dodatkowo społecznie w Satanowie, a w czwartym roku szkolnym znalazła się w Starokonstantynowie. W Użhorodzie pracowała w szkole sobotnio-niedzielnej przy Towarzystwie Kultury Polskiej Zakarpacia. Doprowadziła do nadania tej szkole imienia ks. prof. Józefa Tischnera. W Gródku Podolskim uczyła w szkole z polskim językiem nauczania: w klasach początkowych. Wszystkie przedmioty wykładane są tam po polsku, w wyższych klasach język, historia i geografia Polski są po polsku, pozostałe przedmioty po ukraińsku. W Starokonstantynowie uczyła w miejscowym gimnazjum, gdzie język polski był drugim językiem obcym.

Wszędzie, gdzie autorka pracowała, była bardzo aktywna w organizowaniu konkursów, festiwali, konferencji, wszelkich imprez, zarówno lokalnych, wojewódzkich, jak i międzynarodowych. Przyczyniła się do nawiązania współpracy między uczelniami lub środowiskami w Polsce i na Ukrainie. Jako dobry i życzliwy człowiek oraz przesiąknięta chrześcijaństwem wierzy w możliwość współpracy między naszymi społecznościami i sama walczy o to do tego przyczynia. Wyczuwa się optymizm i entuzjazm do wykonywanej pracy. Jak na polonistkę przystało, korzysta z cytatów zaczerpniętych z poezji lub prozy pisarzy, np. Jana Pawła II, ks. Tischnera, Norwida, Makuszyńskiego i innych.

Publikacja (nieco ponad 100 stron) jest bogato ilustrowana fotografiami dokumentującymi opisywane wydarzenia z pracy autorki. W dużej mierze poszczególne rozdziały są sprawozdaniami z prac, konferencji, z podaniem nazwisk znanych lub mniej znanych osób, z którymi autorka się spotkała.

Ważną zaletą książki jest jej aktualność. Autorka relacjonuje to, co działo się zaledwie dwa do sześciu lat temu, dodając czasem ciekawe odniesienia do wydarzeń historycznych, ale unika tematów drażliwych. (DTS)

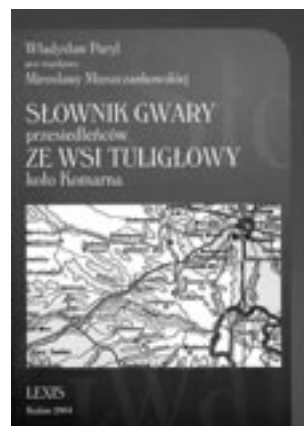
📖 Z zainteresowaniem odkryliśmy nową serię naukową\*, zatytułowaną *Polskie słownictwo kresowe*, wydawaną pod redakcją prof. Janusza Riegera w Pracowni Polszczyzny Kresowej Instytutu Języka Polskiego PAN w Warszawie. Mamy przed sobą dwa z pierwszych tomów – **Słownik gwa-**

**ry przesiedleńców ze wsi Tuligłowy koło Komarna**, autorstwa **Władysława Paryła** przy współpracy **Mirosławy Mieszczankowskiej** (wyd. „Lexis”, Kraków 2004), oraz – **Słownictwo gwarowe przesiedleńców z Ukrainy. Słownik porównawczy kilku wsi w Tarnopolskiem**, autorstwa kilkorga

osób z materiałów zebranych pod kierunkiem **Władysława Paryła** (wyd. „Lexis”, Kraków 2007). Trzeba dodać, że wydano również lub niebawem zostaną wydane tomy dla gwar ludności polskiej, żyjącej w obecnym państwie Ukraina (z tej i z tamtej strony Zbrucza) oraz na terenie dzisiejszej Litwy. Zauważmy na marginesie, że tylko w jednym – wyżej wymienionym – tytule użyto nieprawidłowego i rażącego określenia: *przesiedleńcy z Ukrainy*, gdy chodzi o wsie z Tarnopolszczyzny, ale równocześnie we wstępie do tego samego słownika prof. Rieger pisze właściwie: *Dawne słownictwo przesiedleńców z Tarnopolszczyzny*. Któż więc bezmyślnie nadał tamten tytuł? *Homo novus* bez godności?

Książka pierwsza – przypomnijmy, że Tuligłowy leżą koło Komarna, na południe od Gródka Jagiellońskiego. Okolice to z artykułów w CL dobrze znana: Komarno było majątkiem Karoliny Lanckorońskiej (zamieszczałyśmy zdjęcia popadającego w ruinę pałacu i pięknego, renesansowego kościoła, dotychczas nie oddanego), zaś Tuligłowy należały do rodziny Balów (o słynnej pani Balowej, muzie Malczewskiego, też nieraz pisaliśmy).

Warto przytoczyć podane we wstępie do **Słownika** dane statystyczne. Autor ukraiński W. Kubijowicz w swej książce (wydanej w RFN, 1983) podał, że w 1939 r. w Tuligłowach było 2970 mieszkańców, w tym 2940 Polaków, 10 Ukraińców mówiących po polsku oraz 10 Żydów (i inni). Wg Słownika Geograficznego z 1884 r. w Tuligłowach mieszkało 1907 Polaków, 1 Rusin, 7 Niemców.



Tuligłowy leżą w (dziś sztucznie przeciętej) Ziemi Przemyskiej – szkoda, że niewiele o tym w Słowniku napisano). Nic więc dziwnego, że czytając Słownik dochodzi się do wniosku, iż gwara tamtejszych mieszkańców nie różniła się wcale – może poza jakimiś szczegółami, ale tak jest wszędzie – od gwar polskich chłopów nie tylko pod Przemysłem, Sanokiem, Rzeszowem, Krosnem, ale i Nowym Sączem czy Tarnowem. Była to ta sama mowa polskiego ludu – a jakże by inaczej?

Książka druga – opracowano gwary rodem z 8 wsi, w tym pięciu z rejonu Tarnopola i Trembowli (Borki Wielkie, Boryczówka, Kaczanówka, Krowinka, Sorocko) oraz trzech położonych bliżej Lwowa (Firlejów, Hanaczów, Kozłów – tego ostatniego nie należy mylić z miasteczkiem pod Tarnopolem).

I tu – podobnie jak w opisanych wyżej Tuligłowach – statystyka jest interesująca. Liczba Polaków i Ukraińców przedstawiały się w 1921 r. następująco: Borki W. 1284 Pol. / 962 Ukr., Boryczówka 765 / 0, Firlejów – brak danych, Hanaczów 1390 / 1, Kaczanówka 3300 / 213, Kozłów – brak danych, Krowinka 1049 / 388, Sorocko 825 / 1756 (jedyna wieś z przewagą ludności ukraińskiej).

Sięgając jednak do dalszej przeszłości, nie można zapomnieć, że obraz językowy ludności polskiej w Tarnopolskiem był dość różny niż w Ziemi Przemyskiej – tu relacje ilościowe obu narodowości były inne. Ale czy także historyczne?

W informacji o wsiach czytamy: *Trzeba ustalić, kiedy ludność polska zaludniła badane wsie. ... Prawdopodobnie nastąpiło to jeszcze za czasów I Rzeczypospolitej, przed rozbiorem w 1772 r.* No tak, ale na ile przed? W XVIII czy XV wieku? Jakie były proporcje narodowościowe w XIX/XX w. – patrz wyżej. I dalej: *Mapowanie zebranego w Tarnopolskiem materiału (...) nie ma większego sensu, bo gwary wsi, z których zebrano dane, nie reprezentują żadnych obszarów na tych terenach – takich obszarów tam nie ma i nie było, a koloniści pochodzili najpewniej z różnych regionów Polski...* Wszystkie informacje jednak pozostają w sferze domysłów, przypuszczeń. Wpływ gwar ukraińskich jest tu niewątpliwy, ale czy przebadano – „dla symetrii” – wpływ gwar polskich na tamte? Takie pytanie cisnę-

ło się już przed laty, gdy ukazała się książka Z. Kurzowej o lwowskim bałaku.

Nie do nas należą odpowiedzi, możemy jedynie zgłaszać własne, niefachowe wątpliwości. Na koniec jeszcze dodajmy, że w opisie wszystkich 8 wsi czytamy o losach ich polskich mieszkańców w czasie II wojny, o represjach sowieckich wobec Polaków, a następnie o napadach i mordowaniu ich przez Ukraińców. Wszystko to spowodowało ucieczki ocalałych Polaków, którzy po dramatycznych przejściach osiedlili się (czy też zostali osiedleni) we wsiach Dolnego Śląska.

- \* Wedle naszych wiadomości, wydano lub kontynuowane są wydawnictwa następujących serii opracowań naukowych dot. ziem wschodnich:
- *Materiały do dziejów rezydencji* Romana Aftanazego (11 tomów, zakończone);
  - *Materiały do dziejów sztuki sakralnej*, pod red. Jana Ostrowskiego w Krakowie (wyszedł tom XVI dot. ziem pld.wsch., dalsze w przygotowaniu) oraz analogiczne wydawnictwo w Warszawie (dot. innych ziem kresowych);
  - *Inskrypcje polskich grobów i pomników na cmentarzach Podola*, pod red. Wojciecha Drelicharza (wyszły 3 tomy, 2 w druku);
  - *Polskie słownictwo kresowe*, pod red. Janusza Riegera (wyszły 3 tomy, 2 w przygotowaniu).

📖 Z satysfakcją witamy kolejną księgę o ludziach, którzy ze swej małej ojczyzny zostali przed sześćdziesięcioma laty wygnani, a dziś już w większości nie żyją – książkę, która spełnia propagowany nieustannie przez nas cel: dokumentować wszystko, co składało się na polskość Ziemi, do której opuszczenia nas zmuszono. Polskość, którą dziś usiłuje się kwestionować i zacierać przy zupełnej – niebezpiecznej – obojętności oficjalnych czynników naszego państwa. Powtórzmy: niebezpiecznej obojętności ignorantów.

Ukazało się już kilka czy kilkanaście książek, których





autorzy zadali sobie ogromny trud zestawienia nazwisk i opracowania biogramów ludzi z miejscowości swego pochodzenia, albo tych, którzy po ekspatriacji związali się z określonymi miastami Polski powojennej. Do tych drugich należą np. spisy przybyłych ze Lwowa i całej Małopolski Wschodniej pracowników naukowych uczelni Lublina, Poznania i innych. Do pierwszej kategorii natomiast – bez wątplenia wymagającej większego wysiłku w poszukiwaniach – zaliczamy spisy mieszkańców utraconych miast, miasteczek i wsi, z których ci autorzy i ich rodziny musieli odejść. Jest takich spisów już kilka – tu „niepobite” pozostaje dotąd opracowanie dla Buczacza.

Do tego typu opracowań dochodzą obecnie **Ludzie Borysławia**, dzieło autorstwa **Tadeusza Wróbla** (drugi tom w przygotowaniu), wydane przez Bibliotekę Pedagogiczną Katedry Pedagogiki Porównawczej KUL (Warszawa 2005) przy finansowej pomocy Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”.

W pierwszym tomie zawarto 256 biogramów osób z okresu 20-lecia międzywojennego, tylko w części urodzonych w Borysławiu, ale z nim dłużej lub krócej związanych (najstarsi urodzeni w latach 80. XIX wieku\*, najmłodszy około roku 1930, ale aktywność tych ostatnich nie miała już związku z Borysławiem). Osoby opisywane zestawiono według zawodów: artyści, literaci, naukowcy, pedagodzy, inżynierowie i technicy, przedsiębiorcy, wojskowi, lekarze itd.

Z najbardziej znanych osób warto wymienić znakomitą tancerkę Barbarę Bittnerównę, prof. Witę Rzepeckiego, gen. Stanisława Maczka (ukończył szkoły w Borysławiu), ojca i synów Żygulskich itd. W Borysławiu urodził się Szewach Weiss, a w nieodległej wsi Nahujowice – Iwan Franko.

\* Wyjątkami jest kilka osób urodzonych w 1. połowie XIX wieku, których życie zamknęło się w tym samym stuleciu.

Opisywana tu książka ukazała się prawie 30 lat temu i zapewne nie jest już do nabycia. Nie mieliśmy dotąd okazji jej zaprezentować Czytelnikom, a szkoda, bo wnosi wiele informacji w sprawach, które nas żywo interesują. Jej tytuł: **Jan Andrzej Próchnicki (1553–1633), mecenas i bibliofil**, ale autor, prof. **Mieczysław Gębarowicz**, dodał jesz-

cze podtytuł: *Mecenas i bibliofil. Szkic z dziejów kultury w epoce kontrreformacji*, choć o kontrreformacji tam niewiele można przeczytać. Ów eufemizm miał zapewne uspokoić ówczesnych decydentów w kwestii zezwolenia na druk książki o dość *trefnym* (wtedy) temacie. Cenzura jeszcze działała...



Postaci Profesora przedstawiać nie trzeba. Warto tylko przypomnieć, że urodził się w Jastrzębiu w r. 1893, ale całe życie spędził w Lwowie. Po II wojnie ze Lwowa nie wyjechał, co przypłacił upokorzeniem ze strony sowiecko-ukraińskich okupantów jako człowiek i uczonec. Zmarł we Lwowie w 1984 r.

Wśród szeregu prac napisanych przez M. Gębarowicza – a wydanych po tej stronie granicy, lecz w latach, gdy już nieco „użyło” – jest też właśnie owa monografia postaci arcybiskupa lwowskiego Jana Andrzeja Próchnickiego (wyd. „Znak”, Kraków 1980). Próchnicki, jako pieczętujący się herbem Korczak, mieli korzenie ruskie, jednak ród ten, osiadły w Ziemi Przemyskiej, był już całkiem spolonizowany i rzymskokatolicki. Gębarowicz, aby wyjaśnić historycznie stosunki demograficzne na tej ziemi, cofa się do czasów władztwa ruskiego (przed Kazimierzem Wielkim):

*Stosunki w [ówczesnym] księstwie halicko-włodzimierskim, czyli na Rusi Czerwonej, na skutek jej sąsiedztwa z Polską i Węgrami, wykazywały pewną odrębność w porównaniu z innymi ziemiami ruskimi. Dotyczyło to zwłaszcza ziemi przemyskiej, która jako najdalej na zachód wysunięta, stanowiła najdłuższy teren sporny. Najstarszymi [podkr.red.] historycznie stwierdzić się dającymi mieszkańcami tej ziemi byli Lędzianie [jw.], którzy przekroczywszy górą Wisłę zasiedlili całe porzecze Sanu, a dalej na północy dochodzili do Bugu. Z końcem XV w. [jw.] dotarła w te strony ekspansja ruska, która jako silniejsza wyszła z tej rywalizacji zwycięsko. [...] Nie wiadomo przede wszyst-*

kim [...], czy cała ludność autochtoniczna została przesiedlona nad Roś, czy też jej część pozostała na miejscu. Nie wiemy, czy ówczesny sposób wojowania, polegający na niszczeniu i wyludnianiu kraju przeciwnika, wpłynął na oblicze etniczne ziemi przemyskiej, zwłaszcza że równocześnie odbywały się tutaj inne procesy demograficzne. Obok napływu elementów zachodnich pojawia się od pierwszej ćwierci XIII w. imigracja ze wschodu, w postaci zbiegów z księstw wschodnich uciekających spod jarzma tatarskiego. Żywił ten, który zaczął odgrywać pewną rolę w wewnętrznohistorycznych rozgrywkach, tworzyły – o ile się udało stwierdzić – rody bojarskie. Ich napływ nie miał charakteru masowego i nie był regulowany przez żadne względy polityczne. Natomiast wiadomo, że Roman halicki w 1205 r. i Lew w 1301 r. w czasie napałów na Polskę uprowadzali ze sobą prócz bogatej zdobyczy wielką ilość jeńców, czy ich jednak osiedlano, czy też sprzedawano Tatarom, ustalić niepodobna...

W tak więc skomplikowany sposób powstawało zaludnienie ziem położonych między górnymi biegami trzech ważnych rzek: Bugu, Sanu i Dniestru. Nie można nie zwrócić uwagi, że ludność polska (czy prapolska) podlegała kilkakrotnie ograniczaniom ilościowym: najpierw w X–XI w. „przesiedlona” nad Roś, potem w XIII i XIV w. zniewalana i uprowadzana na wschód.

Napływająca na to miejsce ludność ruska ulegała wpływom kultury zachodniej, tak iż kiedy wkroczył tam Kazimierz Wielki, nie spotkał się z jakimś oporem, odwrotnie – z chęcią współdziałania. Wśród lojalnych rodów bojarskich na pierwszy plan wysuwali się Korczakowie.

Warto na marginesie wyjaśnić (za Gębarowiczem), że na terenie ziemi przemyskiej żyły rodziny bojarskie – jakby dwa klany – które pieczętowały się herbami: Korczak w części północnej i Sas w części południowo-wschodniej. Korczakowie obejmowali ok. 40 rodzin i nazwisk, Sasi ok. 50, ale ci pierwsi wydali co najmniej 10 rodów możnowładczych, zaś Sasi zaledwie kilka, za to więcej drobnej szlachty. Wśród owych rodów możnowładczych byli m.in. książowie Bybelscy (od Bybła k. Nowego Miasta, ród ten potem upadł i zanikł), Drohojowscy, Gorayscy, Komorowscy, Żurawińscy (od Żurawna – w ich domu urodził się jako pasierb Mikołaj Rej) i inne.

Do Korczaków należała rodzina Próchnickich, całkiem już w XVI wieku spolszczona i rzymskokatolicka. Jan Andrzej urodził się (zapewne) w Nikłowicach pod Sądową Wisznią. Studia odbywał na uniwersytetach krakowskim, we Włoszech, Niemczech i Belgii. Po studiach zaciągnął się do służby wojskowej, potem pracował w kancelarii królewskiej. Wreszcie w 1592 r., dobiegając czterdziestki, przyjął święcenia kapłańskie. Niebawem został biskupem kamienieckim, a w 1614 r. – arcybiskupem lwowskim.

Dalsze rozdziały książki opisują działalność Próchnickiego we Lwowie i archidiecezji, jego spuściznę literacką i korespondencję, mecenat i bibliofilstwo. Główną wartością omawianej książki nie jest jednak postać Próchnickiego (nienależącego do pierwszoplanowych postaci w rządzie arcybiskupów lwowskich), co właśnie opis epoki i kręgów, w których przyszło mu żyć.

📖 Tę książkę – raczej album – będzie zapewne trudniej nabyć entuzjastom Huculszczyzny spoza Krakowa niż w nim mieszkającym. Oto krakowskie Muzeum Narodowe – wpisując się niejako w zorganizowane tu w marcu Dni Huculszczyzny (patrz w dziale *Kultura–Nauka*) – wydało dość gruby tom (250 stron – liczne ilustracje) pt. **Huculszczyzna. Ceramika pokucka** w serii *Katalogi zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie*, Kraków 2008). Autorkami są panie **Krystyna Tucholska** i **Bożena Kostuch** (nb. nasza autorka\*).

Książkę otwiera znakomity *Wstęp*, będący w istocie omówieniem istoty ceramiki pokuckiej (to określenie autorki uważają za właściwsze niż *ceramika huculska*), jej historii i rodzajów wyrobów, technologii wytwarzania, cech charakterystycznych zdobnictwa oraz twórców.

Ceramika użytkowa była zapewne na Pokuciu wytwarzana od dawna, ponieważ istniały tam podstawowe materiały garncarskie – złoża bogatej, żelazistej gliny i białego krzemionkowego



piasku. Jednak szczególna forma artystyczna, która przyniosła tej ceramice sławę, zaczęła się utrzymywać od połowy XIX wieku, gdy w warsztatach w Kosowie, Pistyniu, Kutach i Kołomyi zaczęli tworzyć szczególnie zdolni garncarze, głównie Polacy.

Najślawniejszym, uważanym za twórcę stylu pokuckiego, był Aleksander Bachmiński (1820–1882) w Kosowie. Do czołówki należeli ponadto Michał Baranowski, rodziny Kozszaków i Słowickich, a dalej Anna Baściak, Jan Budzianowski, Patkowsky.

Za przełomowy moment dla rozwoju popularności ceramiki pokuckiej uważa się rok 1880, gdy Czarnohorski Oddział Towarzystwa Tatrzańskiego zorganizował w Kołomyi Wystawę Etnograficzną Pokucia, którą obejrzał cesarz Franciszek Józef, wyróżniając szczególnie Aleksandra Bachmińskiego.

Po II wojnie polscy garncarze musieli opuścić rodzinne strony. Kilku z nich, np. Jan Broszkiewicz, osiedliło się w Oławie k. Wrocławia.

Na marginesie: Ukraińcy usiłują zawłaszczyć również twórców ceramiki pokuckiej. Przykładem Bachmiński, Polak i rzymski katolik, którego przezwali... Bachmatiukiem lub Bachmatiewem, albo Baranowski, nazwany Baraniukiem. Też sposób...

---

\* Artykuł o malarce Leli Pawlikowskiej w CL 1/06.

📖 W znanej nam Bibliotece „Wołanie z Wołynia” jako tom 40 wydano książkę pt. **Materiały do dziejów diecezji łuckiej. Relacje o stanie dekanatów i parafii 1941–1944**, opracowaną przez **Marię Dębowską** (Biały Dunajec–Lublin–Łuck–Ostróg 2005).

Jest to zbiór dokumentów z zachowanej po II wojnie części archiwum diecezji łuckiej – głównie z okresu okupacji niemieckiej na tym terenie. Archiwum to zostało w 1945 r. wywiezione z Łucka do Pelplina, a w 1991 r. przekazane do Ośrodka Archiwów, Bibliotek i Muzeów Kościelnych KUL. Zachowane dokumenty to sprawozdania, listy, notatki od dziekanów lub proboszczów do biskupa Adolfa Szelażka, ordynariusza diecezji. Zachowane dokumenty zawierają informacje o sytuacji dekanatów i parafii w czasie pierwszej okupacji sowieckiej, o zniszczeniach z początku wojny niemiecko-sowieckiej

(VI–VII 1941), o czystkach etnicznych dokonywanych przez UPA i dramatycznej sytuacji ludności polskiej w latach 1943–44 oraz o akcji przesiedleńczej.

Między informacjami typu administracyjnego w relacji między dekanatem lub parafią a biskupem-ordynariuszem znajdują się dane o liczbach osób zamordowanych przez bandy, spalonych w kościołach i plebaniach, braku parafian z powodu ucieczki na zachód. Warto przytoczyć motto z początku książki:

*Jest to piękna karta z dziejów Kościoła...*

Trzeba o niej pamiętać...

Niech nie zostanie uśpiona na zawsze w naszych archiwach...

Korespondencja do bpa A. Szelażka ułożona jest w książce latami i dekanatami, w porządku alfabetycznym. Język sprawozdań jest z konieczności lakoniczny, bo nie można było korzystać z poczty. Obecne opracowanie uzupełniono przypisami, podającymi informacje życiorysowe o wymienionych osobach i źródła, skąd pochodzą. Na końcu umieszczono tabelaryczne zestawienie strat osobowych i materialnych Kościoła w diecezji, opracowane przez ks. Floriana Czyżewicza, oraz indeksy osób i miejscowości.

Omawiana publikacja jest bardzo cennym źródłem informacji dla historyków zarówno polskich, jak i ukraińskich, ale równocześnie może ją wziąć do ręki każdy zainteresowany dziejami rodzinnych miejscowości lub regionu. Zawiera nazwiska kapłanów zapamiętane z młodości. (DTS)

📖 Do stałych odbiorców Biblioteki „Wołanie z Wołynia” rozesłana została kolejna książka zatytułowana **Seminaria duchowne łucko-żytomierskiej diecezji 1798–1842**. Jest to praca doktorska **Pawła Grabożaka**, opracowana na KUL w Lublinie (4–8. tom Biblioteki „Wołanie z Wołynia”, Biały Dunajec–Ostróg 2006).

Przeciętnemu czytelnikowi zainteresowanemu problematyką kresową może się wydawać, że książka ta jest zbyt specjalistyczna, przeznaczona jedynie dla wąskiego grona historyków zajmujących się diecezjalnym szkolnictwem kościelnym. Jednak po zaznajomieniu się z treścią książki okazuje się, że współczesnego czytelnika mogą zainteresować opisy codziennego życia

alumnów w Łucku, Żytomierzu i Olyce. Wszędzie było bardzo ciężko, ale najlepsze warunki materialne panowały w seminarium w Łucku, a gorsze w Żytomierzu i Olyce. Zdarzało się, że alumni uciekali z gorszych warunków do Łucka. Oto fragment listu napisanego przez nowego regensa (przełożonego seminarium), obejmującego swoje obowiązki w Żytomierzu, do biskupa diecezjalnego (rok 1826): *Brudność pokarmów i ich niedogotowanie do niezniesienia, przyznam w otwartości, iż kilka dni z powodu surowego mięsa, o chlebie i szklance piwa, przychodziło bez nakazu pościć.*

Współczesny czytelnik żyjący w XXI wieku czytując się w treść książki z trudem wyobraża sobie warunki, w jakich uczyli się kandydaci na duchownych w I połowie XIX wieku.

Praca składa się z 5 rozdziałów: pierwszy to polityka rządu carskiego wobec kościoła rzymskokatolickiego w zaborze rosyjskim, drugi to fundusze seminaryjne, trzeci to warunki kształcenia, programy naukowe, metody nauczania, czwarty to kadra nauczająca i jej obowiązki, wreszcie ostatni to alumni i ich kolejne święcenia.

W zakończeniu książki autor wyraża nadzieję, że jego praca zainspiruje innych naukowców do dalszych badań nad szkolnictwem teologicznym na terenie zaboru rosyjskiego. (DTS)

Osoby pochodzące z Kresów i przesiedlone po II wojnie światowej do Polski centralnej może zaciekawić stosunkowo niewielka książka pt. *W cieniu historii*, napisana przez **Danutę Rybczyńską** (wyd. Miejska Biblioteka Publiczna, Tarnów 2007). Autorka z dużym talentem literackim i w ciekawej konstrukcji epickiej potrafiła przedstawić dzieje jednej „zwykłej” rodziny kresowej, wpłątanej w skomplikowaną historię Polski XX wieku. Równocześnie jest to historia typowa dla bardzo wielu polskich rodzin, którym udało się przeżyć okres wojenny.

Główną bohaterką jest teściowa autorki, której mąż Jan zginął w Katyniu, ale z którego śmiercią jego żona nie pogodziła się przez kilkadziesiąt lat, wciąż czekając na jego powrót. Narracja opowieści jest wielowątkowa. Bardzo prawdziwie przedstawione jest życie na przedwojennych i wojennych Kresach, zagrożenie ludności polskiej z kilku

stron, tułacza wędrowka uciekinierów z Kresów. Ale nad całością dominuje atmosfera czekania na tego, który zginął w Katyniu.

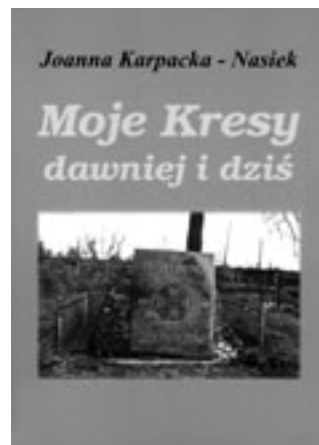
Podane są prawdziwe nazwiska osób i nazwy miejscowości, dzięki czemu książkę można traktować jako zbeletryzowany dokument historyczny. (DTS)

Nazwisko **Joanny Karpackiej-Nasiek** jest dobrze znane naszym Czytelnikom, ponieważ od czasu do czasu pojawiają się w CL jej sprawozdania fotograficzno-tekstowe z podróży po rodzinnej Ziemi Brodzkiej.

Obecnie ukazała się jej książka zatytułowana *Moje Kresy dawniej i dziś*, wydana w Gliwicach (2008?), gdzie rodzina autorki po ekspatriacji osiadła. Joanna Karpacka-Nasiek (urodzona w Brodach w 1944 r.) pełni już piąty rok funkcję prezeski ogólnopolskiego Koła Brodzian, jako następczyni dr Stanisławy Valis-Schyleny (patrz CL 1/05).

Książka Joanny Nasiek nie odnosi się wyłącznie do Brodów. Otrzymujemy w istocie pełny, choć skrócony przegląd dziejów i problematyki Małopolski Wschodniej (łącznie ze Lwowem), regionu, w którym jedno z większych i ważniejszych miast powiatowych w skali trzech województw południowo-wschodnich, powiatowe miasto Brody, odgrywało niepoślednią rolę. Sprawy brodzkie przewijają się więc przez wszystkie rozdziały książki, poczynając od *Krótkiej historii Brodów*. Dużo o powieście brodzkiej czytamy w rozdziałach poświęconych II wojnie, obu okupacjom i ukraińskiemu ludobójstwu. W tym powieście leżą (czy leżały...) takie miejscowości jak Huta Pieniacka, Podkamień, Palikrowy, Bóldury, Tetylkowce i cała seria dalszych, gdzie – w każdej – zginęło po kilkadziesiąt czy kilkaset Polaków. Autorka przytacza tu wypowiedzi dr Lucyny Kulińskiej i Ewy Siemaszko.

Ostatnie rozdziały książki traktują o latach powojennych, poczynając od dramatu ekspatriacji. Píše też au-



torka o haniebnej działalności na emigracji J. Łobodowskiego i J. Giedroycia, o antypolskiej, bezkarnej działalności Związku Ukraińców w Polsce, a wreszcie o nagannej postawie władz RP względem zbrodni, jaka dokonała się na Kresach II Rzeczypospolitej pod koniec II wojny.

Książka Joanny Karpackiej-Nasiek mogłaby po pewnym uporządkowaniu układu treści posłużyć jako lektura dla młodzieży, gdyż pisze tylko prawdę, bez politycznego łagodzenia wobec tych, którzy na to nie zasługują.

Maksymilian Jamnicki, Jacek Marczyński (JM),  
Danuta Trylska-Siekańska (DTS)

## ERRATA

Błędy w CL 2/08:

■ Na II stronie okładki (*Słowo od redakcji*), wiersz 8 od dołu – powinno być: postawić **sprawę**, a nie *stronę*.

■ Na II stronie okładki u dołu napisano, że księgę *Miasto jak brylant* omawiamy w tym samym numerze, a to nieprawda, bo została już omówiona w **CL 1/08**.

■ Na str. 11 w lewej szpalcie, wiersz 13 od dołu – powinno być *Miły mój we mnie...* (opuszczono *we*).

■ Na str. 54 w lewej szpalcie, w wierszach 2 i 3 od dołu – napisano mylnie o Danucie Sikorzance i jej mężu: *Stanisławowa* de Lapierre. Błąd: mąż Sikorzanki miał na imię **Jan Henryk**, o czym można przeczytać na str. 19, w artykule o tej pilotce.

■ Na str. 38 zdjęcie Michała Michalskiego przedstawia go zapewne jako **wiceprezydenta**, a nie *prezydenta* Lwowa. Można to stwierdzić, porównując ze zdjęciem na str. 40. Jako prezydent miałby inny łańcuch z herbem Miasta – taki, jaki ma tam Godzimir Małachowski, poprzednik M. Michalskiego.

■ Na str. 68 w lewej szpalcie, wiersz 15 od góry – powinno być: **z Galicji...**, a nie *do Galicji...*

■ Na str. 86 w prawej szpalcie, wiersz 8 od góry – powinno być: Fryderyka **Staub**a, a nie *Stamba*.

Przepraszamy!

## Wertując wydawnictwa

➔ W krakowskim „Dzienniku Polskim” znalazł się artykuł przypominający ważną dla nas datę bitwy pod Zadwórzem – 17 sierpnia 1920 r., pt. **Zadwórze – Polskie Termopile**, napisany rzeczowo i serdecznie przez płk. dypl. art. rez. Andrzeja Marciniaka. Autor opisuje sytuację wojenną, która doprowadziła do bitwy, jej przebieg i ofiary oraz pozytywne skutki dla dalszego przebiegu obrony przed ofensywą bolszewicką. Na koniec pisze o kopcu i pomniku na polu bitwy, które szczęśliwie uniknęły zniszczenia w czasie komunistycznych rządów ZSRS.

➔ Po długiej, bo trzyletniej przerwie pojawił się wreszcie oczekiwany **kolejny numer „Ziemi Drohobyckiej”** (nr 19–20/07), czasopisma, które śmiało można zaliczyć do niezbyt licznej kategorii kresowych pism o randze naukowej. Pismo to omawiamy w tym numerze w rubryce *Jest co czytać*.

➔ Niedługo po ukazaniu się pierwszych samodzielnych numerów „**Kuriera Galicyjskiego**” (od sierpnia 2007 – patrz CL 1/08) zwróciliśmy uwagę, że jest to pismo budzące optymizm. Kolejne napływające numery (ostatnio siedemnasty po usamodzielnieniu) to wrażenie potwierdzają. W „Kurierze” znajdujemy wiele tekstów wartych szerszego rozpowszechnienia, niż to umożliwiają docierające do RP egzemplarze.

Warto zwrócić uwagę na niektóre tematy poruszane w „KG” w ostatnich trzech numerach.

Nr 6 (58\*): J. Smirnow, *Stare witraże lwowskie* (odcinek 2, poprzedni we wcześniejszym numerze, kolorowe zdjęcia); tego samego autora *Kościół Jezuitów...* (historia kościoła lwowskiego, kolorowe zdjęcia freesków); K. Czawaga, *Blagostawiona Rodaczka* (o s. Marii Wieckiej).

Nr 7 (59): K. Czawaga, *Nieudany zamach na klasztor w Jazłowcu* (próba usunięcia ss. Niepokalanek i odebrania im zamku jazłowieckiego); T. Prochaśko, *Miasto bez perspektyw* (o upadku uzdrowska w Jaremczu); J. Smirnow, *Stare witraże lwowskie* (cd.); tego samego autora:

## Archiwum

### Księga humoru lwowskiego

Przytaczamy dwie recenzje znanych Lwowian, odnoszące się do książki Tadeusza Krzyżewskiego (wyd. „Iwar”, Warszawa 1995). Obok ich opinii, zainteresowały nas różne drobne, a zapewne mało ogółowi znane szczegóły z lat przedwojennych.

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem Pańską książkę pt. „Księga humoru lwowskiego”. Jest to naprawdę pierwsza tak bogato udokumentowana praca dotycząca tego tematu. Jak również po raz pierwszy określono właściwe miejsce dla „bałaku”, który był językiem określonej warstwy społecznej. Nikt z inteligencji nie posługiwał się na co dzień bałakiem.

Sprawa „Śmigusa” zainteresowała mnie szczególnie, gdyż jego wydawcą był brat mojej babki Tillinger. Potraktował go Pan trochę powierzchownie. W tych nielicznych numerach, które zachowałem, są tacy autorzy jak: Henryk Sienkiewicz, Stanisław Reymont, Maria Rodziewiczówna, Bolesław Prus, Edmund Zechenter, Adolf Nowaczyński, Benedykt Hertz, Kazimierz Gliński, Przerwa Tetmajer. Chyba jak na humorystyczne pismo dość szacowne grono.

W latach 20. istniał jakiś czas literacki kabaret „Semafor”. Mieścił się przy ulicy Rejtana. Pamiętam, że grał tam pianista Tadeusz Miller, a reżyserem, zdaje mi się, był Budzyński.

Można by jeszcze wspomnieć, że w roku 1935 istniał akademicki kabaret „Klub Różowego Monokla”, personalnie powiązany z „Wesołą Lwowską Falą”. Występowali tam Wiesław Machan, późniejszy wieloletni kierownik muzyczny „Syreny”, Lila Horwa-

thówna, Danuta Kostecka, chór Esbena. Więcej mi w pamięci nie zostało.

Dziękuję Panu za odświeżenie wspomnień, pozostając z głębokim poważaniem

Zbigniew Schneigert

*Zbigniew Schneigert zmarł w Zakopanem 1 XI 1998 r. w wieku 89 lat*

\* \* \*

Monografia ważnego fragmentu „złotej legendy Lwowa”, czyli dzieje lwowskiego humoru od pierwszych lat austriackich rządów po rok 1944. Autor – przed wojną kierownik Biura Propagandy i Turystyki Zarządu Miasta Lwowa i współpracownik prezydenta Stanisława Ostrowskiego, po wojnie wygnany pod Wawel – zebrał ogromny materiał historyczny, anegdotyczny i ikonograficzny (bo „Księga” jest bogato i znakomicie zilustrowana). Prezentuje liczącą wiele postaci galerię satyryków i humorystów, od Fredry przez Lama, Chochlika-Zagórskiego i Rodocia-Biernackiego po twórców „Wesołej Lwowskiej Fali”.

Przypomina dziesiątki tytułów pism, często efemerycznych. Daje przekrój przez wszystkie warstwy lwowskiego społeczeństwa, od galicyjskich elit po szczególnie zasłużonych dla lwowskiej legendy mieszkańców przedmiejskiego Łyczakowa. Opowiada ze swadą, narrację obficie ilustrując cytata-  
mi, a w aneksie daje m.in. fragmenty „Kronik” Lama i dwa dialogi Tońka i Szczepka.

Ta książka – to dzieło pasji i miłości do rodzinnego miasta, a przy tym cenny przyczynek do dziejów naszej kultury.

Stanisław Lem

*Recenzja z „Tygodnika Powszechnego” nr 34 z 20 VIII 1995 r. Stanisław Lem zmarł w Krakowie 27 III 2006 r.*

*Lwów dawny i współczesny* (o widokówkach lwowskich).

Nr 8 (60): Notatki o międzynarodowym seminarium na temat ochrony i rozwoju Karpat oraz o projekcie normalnotorowej linii kolejowej Przemyśl–Lwów; J. Smirnow, *Stare witraże lwowskie* (jw.); tego samego autora *Leopold von Sacher-Masoch wrócił do Lwo-*

*wa* (o pomniku postawionym we Lwowie), tego samego autora *Kościół Matki Boskiej Śnieżnej* (we Lwowie).

Ponadto w prawie każdym numerze znajdujemy wspomnienia i opisy rezydencji polskich na ziemiach ukraińskich (w ww. numerach: Korosteszów hr. Olizarów, Rude Siolo – Zaleskich).

A więc mnóstwo mało nam znanych wiadomości o dawnym i współczesnym Lwowie i Małopolsce Wschodniej. Warto, by członkowie TMLiKPW (zwłaszcza zarządów) uzupełnili swoją wiedzę. „Kurier Galicyjski” pomoże w tym znakomicie.

➔ Z okazji **100. rocznicy śmierci Juliana Dunajewskiego** (1821–1907), wybitnego ekonomisty, trzykrotnego rektora UJ, ministra skarbu Austrii – w krakowskim „Dzienniku Polskim” z 12 I '08 poświęcono mu całą



stronę z czterema artykułami (m.in. wypowiedź Jana Rokity).

Pamiętamy, że Julian Dunajewski urodził się w Stanisławowie\*. Studia prawnicze ukończył we Lwowie, tamże odbył pięcioletnią praktykę adwokacką. Jego brat Albin był biskupem krakowskim i kardynałem, drugi brat starostą tarnobrzeskim.

\* Był synem Szymona, komisarza okręgowego w Stanisławowie, później w Nowym Sączu, oraz Antoniny z Błażowskich, obojga pochodzenia szlacheckiego. Rodzina Błażowskich wywodziła się z Ziemi Samborskiej.

➔ W „Naszym Dzienniku” z 22–24 III '08 ukazała się rozmowa z Agnieszką Bogucką, b. doradczynią premiera Buzka, pod znamienym tytułem: **Politycy nie dostrzegają kresowiaków**, i nadytułem: *Nie możemy naszych interesów narodowych kończyć na Bugu*.

Od czasu rządów Buzka było już kilka następnych. B. premier został tymczasem eurodeputowanym, zapytujemy więc, czy swego autorytetu – zwłaszcza jako stronnik

PO – nie mógłby spożytkować w różnych trudnych sprawach krajowych i narodowych? Liczylibyśmy tu właśnie na panią Agnieszkę Bogucką!

➔ Wydawnictwo krakowskiej Akademii Pedagogicznej przygotowało dzieło zbiorowe (Kraków 2007) pt. *Kraków. Studia z dziejów miasta*, pod redakcją naukową Jerzego Rajmana. Tom ukazał się w 750. rocznicę lokacji miasta. Wśród kilkudziesięciu prac dotyczących różnych spraw i epok znajdujemy i taką: **Kresowiaci osiedleni w Krakowie w latach 1944–1950**, pióra Anny Zapalec.

To niedługie i dość skrótowo potraktowane opracowanie ma jednak dla nas znaczenie szczególne i powinno stać się podstawą do rozszerzonych studiów, dotyczących nie tylko Krakowa, ale w ogóle problemu *exodusu* z Ziemi Wschodnich na tereny Polski centralnej oraz tzw. ziemie odzyskane w czasie i po II wojnie (nie tylko do 1950 r., ale do tzw. drugiej repatriacji pod koniec lat 50.). Sprawa ekspatriacji nie jest bowiem ostatecznie zdefiniowana, co daje niektórym politykom (nie tylko nowym, ale przede wszystkim tym, którzy swoje poglądy wynieśli z Maison Laffitte) pole do całkiem fałszywych i niesprawiedliwych wyjaśnień oraz nie tylko „samospokojenia”, lecz także niedoceniań sił zewnętrznych, które coraz to wzmacniają swoje pretensje do Polski.

Pomijając powojenną repatriację z Zachodu jako problem ilościowo niezbyt szeroki, trzeba tu wyróżnić kilka obszarów od wschodu i północy:

- ekspatriacji przede wszystkim z terenów włączonych do sowieckiej republiki ukraińskiej, a także białoruskiej;
- to samo z terenów włączonych do sowieckiej republiki litewskiej\*;
- repatriacji z Rosji i jej terytoriów azjatyckich (rejon archangielski, Syberia, Kazachstan).

Ludność polska na terenach wschodnich (szczególnie współzamieszkałych przez Ukraińców) była zmuszona do opuszczenia swojej ojcowizny na skutek następujących powodów:

- bezprzykładne w Europie w poprzedzającym okresie kilkudziesięciu lat (wyjątkiem rzeź Ormian w Turcji w 1915 roku) ludo-

- bójstwo ukraińskie, które powodowało spontaniczne ucieczki ku zachodowi;
- obawy przed prześladowaniami i deportacjami po spodziewanym powrotnym wkroczeniu armii sowieckiej;
  - obawy przed kolejnymi ekscesami w ramach „czystki etnicznej” ze strony Ukraińców;
  - nacisk moralny ze strony polskich komunistycznych władz cywilnych i wojskowych pod wpływem presji sowiecko-ukraińskiej.

Temu wszystkiemu należy przypisać wyjazdy wysokiego procentu Polaków i porzucanie własnego życia, przedkładając nad nie ratowanie życia – głównie z terenów wiejskich i miasteczek. W dużo mniejszym stopniu miało to miejsce na Wileńszczyźnie, gdzie nie dochodziło do aż tak drastycznych wydarzeń, stąd większa liczba (procent) pozostałych tam Polaków.

Ten sposób pozbycia się Polaków odbija się dziś w sposób nieoczekiwany: mówi się o *przesiedleniach* i *repatriacji* i tym podobnemu zamazywaniu tragicznej rzeczywistości. Los, który spotkał Polaków, kontrastuje w tym świetle z „wynaniem” Niemców z ziem zachodnich i jako taki jest przedstawiany przez czynniki polityczne i działaczy niemieckich, zyskując dyskretną aprobatę ze strony tamtejszych władz.

Nie ma tego w Polsce. Taka postawa po naszej stronie staje się pożywką zarówno dla Niemców, którym (i całemu światu) nie wyjaśnia się prawdziwego powodu „przesiedlenia” Polaków, jak i dla władz i społeczeństw Ukrainy i Rosji (a także Białorusi) – co do zbrodniczych motywów „czystki etnicznej” i zagarnięcia ogromnej części obszaru Polski wraz z jej wielowiekową historią i kulturą.

\* \* \*

Warto poruszyć jeszcze jeden wątek w opracowaniu A. Zapalec. Pisze ona o indywidualnych przyjazdach do Krakowa, ale bardzo wiele rodzin przybyło ze Lwowa i innych miast Małopolski Wschodniej nie wprost do Krakowa, lecz do bliższych lub dalszych miejscowości województwa krakowskiego i sąsiednich, mając tam krewnych lub inne dogodne warunki. I tak np. rodzina H. przybyła do Wieliczki (matka z dwoma synami i babcia, potem przyjechał z Anglii

ojciec, a nieco później dotarli tam dziadkowie z Kazachstanu). Do Wieliczki przyjechał też inż. M. z rodziną (później dyrektor Kolei w Krakowie) i rodzina Ł. Państwo Ch. osiedli w Bochni, rodziny N. i C. w Piwnicznej, pani Maria B. z bratem, a także p. Bujakowa\*\* z dziećmi i wielu innych lwowian – w Zakopanem, i tak dalej. Po roku czy dwóch większość znalazła mieszkania w Krakowie. Co do profesorów wyższych uczelni: mamy opracowanie Z. Popławskiego o pracownikach Wydziału Architektury Politechniki Lwowskiej, którzy związali się z Politechniką Krakowską i utworzyli tutejszy Wydział Architektury. Podobnie było na innych wydziałach PK. Wielu lwowskich profesorów, docentów i niższych pracowników naukowo-dydaktycznych z UJK zostało przyjętych na UJ, szczególnie na medycynę (pomimo wyraźnej niechęci ze strony miejscowej kadry\*\*\*) i na inne wydziały (przykładem prof. R. Ingarden).

Temat bogaty i wielowątkowy. (AC)

\* Nie jest przypadkiem wyróżnienie dwóch obszarów, skąd ekspatriowano Polaków: republiki wschodnie, zamieszkałe przez ludność ruską obrządków wschodnich o kulturze o korzeniach bizantyńskich, oraz Litwa – rzymskokatolicka, wychowana na kulturze zachodniej.

\*\* O p. Marii Bujakowej i jej działalności w Zakopanem pisaliśmy w CL 4/01.

\*\*\* Doszło do tego, że np. prof. Franciszek Groer związał się z instytutem Matki i Dziecka w Warszawie (jako dyrektor, mieszkając w Krakowie), zaś prof. Artur Chwalibogowski ze Śląską AM.

➔ Pan Piotr Franków przysłał nam z Gorzowa Wielkopolskiego kolejną – już czwartą – **serię kart pocztowych z historycznymi herbami miast Ziemi Wschodnich**. Jest to 20 kartek z województwa poleskiego. Przypomnijmy, że dostaliśmy już województwa: lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie, a w przygotowaniu jest piąta seria: Wołyń. Ale to nie wszystko: pan Piotr nadesłał też 3 kartki z pomnikami lwowskimi, zaprojektowane przez art. plastyka Dariusza Szpakowskiego. Karty te wydaje ORJ Centrum Sieci Pocztovej w Gorzowie Wlkp., na pewno z inspiracji pana Frankowa. Jesteśmy pełni podziwu i uznania!

Pan Piotr poszukuje herbów miast wołyńskich – czy możemy mu w tym pomóc? Kto





## Jest co czytać (41)

### ZIEMIA DROHOBYCKA

Czasopismo o tym tytule (i tym przedmiocie zainteresowania) wychodzi we Wrocławiu od lat siedemnastu. Doskonalego poziomu merytoryczny – stawiający to pismo w niezbyt licznej grupie pism „kresowych” o randze naukowej – to zasługa jego twórcy i redaktora naczelnego, pana Jerzego M. Pileckiego. I jeszcze jedna zaleta pisma o Ziemi Drohobyckiej: szeroki zakres tematów, ale ten spada Redaktorowi wprost z nieba. Pomyślmy: osiedle ludzkie, potem miasto, wyrosłe przed wiekami pośród przebogatych bogactw naturalnych: soli i ropy naftowej, obszarów leśnych i rolnych, a zarazem legitymujące się gotycką faram, trzecią po katedrach lwowskiej i przemyskiej w tym południowo-wschodnim regionie naszego kraju. Choć nie było miastem wojewódzkim, zalicza się do czwórki głównych miast Małopolski Wschodniej. Otoczone więcem miejscowości górniczo-przemysłowych, ściągające znakomitych fachowców, ale i rzesze biedoty w poszukiwaniu pracy, z wszystkimi problemami ekonomicznymi i społecznymi bogactwa i nędzy. Stolica regionu o niezwykłych walorach leczniczych, ale i krajobrazowo-turystycznych.

miałby jakieś materiały na ten temat – proszony jest o kontakt: Piotr Franków, Osiedle Młodych 1/4, 66-400 Gorzów Wlkp.

Natomiast wszystkie kartki można zamawiać telefonicznie u p. Roberta Kulika pod numerem 0-95 721-02-29.

Redakcja pisma ma więc niezwykłą szansę doboru publikacji i dobrze ją wykorzystuje. W czasopiśmie znajdujemy więc artykuły o Ziemi i jej różnorodnych zaletach, o parusetletniej historii, związanej lub niezwiązanej z naturalnymi bogactwami, o ludziach – grupach społecznych i narodowościowo-religijnych, a wreszcie o wybitnych jednostkach tutejszego pochodzenia lub tutaj przybyłych. Dużo o kulturze tu wyrosłej, o życiu społecznym i rodzinno-towarzystwym, a w końcu o katastrofie XX wieku, która zniszczyła nie tylko „nadbudowę”, ale i „bazę”, bezsensownie potraktowaną przez najeźdźców.

### Ucrainica

W miesięczniku „Kraków” nr 2–3/07 p. Andrzej Romanowski zamieścił wypisane (skrócone) z Polskiego Słownika Biograficznego (z. 174) biogramy ojca i syna Tymofija i Jarosława Staruchów, Ukraińców, którzy – jak się dowiadujemy – nienawidzili Polaków i przeciw nim działali (ostatnie lata XIX w. do 1947). Powstają więc dwa pytania: po co biogramy te znalazły się w PSB – wydawnictwo to wszak poświęcone jest Polakom (czy p. Ołena Arkusza będzie tam serwować kolejne, podobne?), i drugie: w jakim celu redakcja krakowskiego miesięcznika społeczno-kulturalnego pcha się w podobną problematykę?

Wartość „Ziemi Drohobyckiej” polega na szczególnym charakterze różnorodnej zawartości tego pisma, najbardziej może podobnego do „Rocznika Lwowskiego”, choć o dużo mniejszej objętości. Nie jest piśmie *sensu stricto* naukowym, jednak wiele artykułów tam zaprezentowanych trzeba traktować jako owoce badań lub jako

Andrzej Chlipalski (AC),  
Maksymilian Jamnicki

źródła. Redaktor nie zamieszcza (w zasadzie) poezji, prozy lub materiałów rytkowych, a jeżeli, to gdy ich treść wiąże się ściśle z tematyką czasopisma. Jest za to sporo wspomnień i to właśnie one mają charakter źródeł do historii Drohobycza, Borysławia, Schodnicy, Stebnika czy Truskawca, i jeszcze paru innych miejscowości w okolicy. Nieliczne ilustracje są dobierane nie dla *okraszenia* tekstów, lecz dla celów dokumentacyjnych. Nie ma żadnych popisów graficznych. Materiały redagowane są niezwykle starannie, wręcz pedantycznie.

Ostatnio – po trzyletniej przerwie – ukazał się nr 19–20 „Ziemi Drohobyckiej”. Życzymy, by następny pojawił się prędko!

Karol Odrycki

## CZASOPISMA OMÓWIONE W RUBRYCE

### *Jest co czytać*

Poprzednie spisy zamieściliśmy:

poz. 1–15 w CL 4/99, s. 22

poz. 16–23 w CL 2/01, s. 54

poz. 24–35 w CL 4/03, s. 48

36. CL 1/04 WSPÓLNE DZIEDZICTWO (Krzemieniec)

37. CL 2/04 BIULETYN INFORMACYJNY (Poznań)

38. CL 1/07 BIULETYN BUKACZOWIECKI (Poznań–Warszawa)

39. CL 4/07 GŁOS BUCZACZAN (Wrocław)

40. CL 1/08 KURIER GALICYJSKI (Stanisławów)

41. CL 3/08 ZIEMIA DROHOBYCKA (Wrocław)

## LIST KSIĘDZA PROBOSZCZA

*dokończenie ze s. 8*

pragniemy rozpocząć prace przy restauracji posadzki w nawie głównej i wykonaniu nowej w prezbiterium. Jeśli pogoda nie przeszkodzi i znajdziemy odpowiednich wykonawców, to pragniemy prace remontowe zakończyć jesienią bieżącego roku i poświęcić kościół po remoncie. Przed nami jeszcze wiele do zrobienia. Każdego roku napotykaemy coraz większe trudności ze znalezieniem ludzi dobrej woli, którzy pomagają nam finansowo, ponieważ parafia liczy około 400 osób i sami nie jesteśmy w stanie podolać kosztom związanym z zakupem materiałów i z wynagrodzeniem dla majstrów, którzy będą wykonywać fachowe prace przy restauracji świątyni.

Wiadomość o tym, że członkowie Chóru Mariańskiego z Panem Rybarskim na czele pragną dla naszych potrzeb zorganizować koncerty, bardzo nas ucieszyła i podtrzymała na duchu. To, że chcecie kolejny raz wesprzeć nasze Dobre Dzieło odbudowy kościoła, pozwała z nadzieją w sercu planować kolejne prace w tym roku.

Wasza solidarność z nami nas mile zaskoczyła kolejny już raz. Mam nadzieję, że wszystko, tak jak planujecie, odbędzie się i wspólnie odbudujemy nasz i Wasz kościół pw. św. Walentego w Kałuszu.

*Z poważaniem, wdzięcznością i modlitwą*  
Ks. Proboszcz Krzysztof Panasowicz  
Kałusz, 1 I 2008

## FORTYFIKACJE LWOWA W XVII WIEKU

*dokończenie ze s. 18*

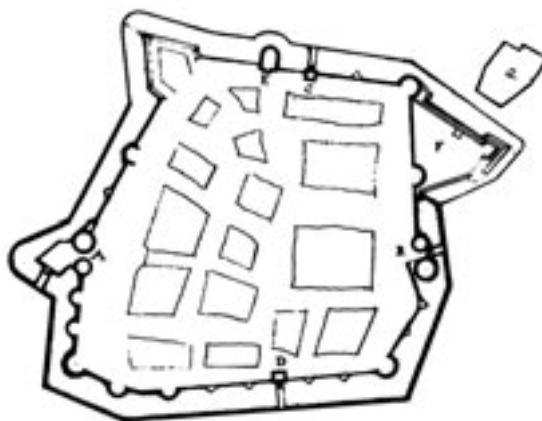
Dzięki strategicznemu położeniu nie stracił Wysoki Zamek swej istotnej pozycji w obronie miasta także w XVII wieku. Jego fortyfikacje<sup>20</sup> miały zapewnić skuteczną obronę mieszkańcom miasta.

Zamek obwarowany był potężnym murem, grubym na dwa metry, tworzącym w rzucie poziomym dwustumetrowy prostokąt. Do zamku wiodła najpierw pierwsza czworoboczna murowana brama, posiadająca dębową kratę, a następnie drewniane wrota na żelaznych zawiasach. Bramy tej strzegła murowana trzykondygnacyjna baszta (zbudowana w XVI wieku), przystosowana do broni artyleryjskiej. Dostępu do bramy bronił także przekop, przez który był przerzucony most zwodzony. Przechodząc przez bramę wchodziło się na przygródek. Był tam drugi wyższy mur wewnętrzny od strony dziedzińca większego, posiadający strzelnicę na działa. Idąc wzdłuż murów dochodziło się do drugiej bramy, większej niż pierwsza, również czworobocznej, posiadającej strzelnicę. Była ona zamykana dużymi dębowymi wrotami, za nimi po prawej stronie były następne wrota i dopiero przez nie można było wejść na dziedzińec. Długość dziedzińca wynosiła 120 metrów, a w najszerszym miejscu osiągał on 23 metry. Z trzech stron dziedzińec był osłonięty murem, natomiast z czwartej – wschodniej

otaczały go pomieszczenia zamkowe. Od zachodniej strony pomiędzy dwiema basztami znajdowała się furta w murze, zamykana na podwójne wrota. Można było nią opuścić zamek tylko pieszo i służyła do ataków na oblegające twierdze wojsko. W murze od strony miasta między bramą wjazdową a basztą narożną znajdowała się półokrągła baszta murowana zaopatrzona w pięć strzelnic działowych, dobudowana w XVI wieku. Same mury nie posiadały strzelnic, opatrzone były tylko drewnianymi blankami na szczytach murów, wzdłuż których biegł od strony dziedzińca drewniany ganek przykryty daszkiem. Na dziedzińcu zwanym *wielkim* mieściły się zapasy drewna, słomy, siana itp. Tam też trzymano zwierzęta – bydło i drób. Na wschodnim krańcu tego dziedzińca znajdował się oskarpowany murem przekop, a za nim dwupiętrowy gmach mieszkalny. Zwodzonym mostem przez przekop wchodziło się w bramę wiodącą na dziedziniec „mniejszy”. Brama do sieni miała okute grubą blachą drzwi. W samej sieni po jednej stronie znajdowała się komora, gdzie była spiżarnia, a po drugiej ciemnica dla zbrodniarzy. Mniejszy dziedziniec stanowił najważniejszą część zamku. Tu można się było bronić, nawet gdy zajęte zostały przez nieprzyjaciela dziedzińce wjazdowy i *wielki*. Tu znajdował się arsenał, mała kaplica oraz więzienie dla skazanej za drobne przewinienia szlachty. Był tu też dom, gdzie mieszkał murgrabia, załoga zamku oraz znajdowały się kuchnia i piekarnia (domek czarny). Tutaj też umieszczona była tak potrzebna obrońcom studnia. Wschodni mur opatrzony był blankami, a na jego krańcach znajdowały się baszty. Ta od strony pól była większa, okrągła, wysoka na cztery piętra. To z niej roztaczał się najdalszy widok na okolicę. Druga usytuowana była od strony miasta, półokrągła, trzypiętrowa. W czasie pokoju mieściły się w nich więzienia. W większej trzymano szlachtę („szlachecka”), a w mniejszej wszystkich innych („hultajska”).

Zamkiem dowodził zastępca starosty – burgrabia. On odpowiadał za ufortyfikowanie i zaopatrzenie zamku oraz za przygotowanie do obrony, a w czasie oblężenia dowodził

obroną. To właśnie od niego zależał stan zamku. Załogę warowni tworzyło kilku lub kilkunastu pachołków, zwanych „drabami”. Służba w surowym zamku nie należała do najprzyjemniejszych. Na jesieni i w zimie nieustannie wiał w zamku wiatr, niekiedy tak mocny, że zrywał dachy. Podczas oblężenia załoga zamku była wzmocniana przez mieszczan, najczęściej z przedmieść, którzy się w nim chronili. Wysoki Zamek, stojąc na mocnej skale, którą trudno było podkopać, by założyć miny, przy odpowiednim nowoczesnym ufortyfikowaniu mógł być twierdzą nie do zdobycia. Niestety bardzo mało było takich chwil w jego historii, kiedy starczało pieniędzy na jego renowację, a co dopiero na przebudowę. Często w XVII wieku za-



Uproszczony plan Lwowa z czasu oblężenia miasta przez Turków w 1672 r.

mek wyglądał jak ruina i odstraszał swym widokiem nie nieprzyjaciół, lecz samych Lwówian. Sypiące się mury i baszty, zawalona studnia to były najczęstsze widoki zamku. Były też chwile, w których zamek wyglądał jak prawdziwa warownia. Po oblężeniu miasta i zdobyciu oraz spaleniu zamku w 1648 roku odbudowano go i wyremontowano. Dobrze był przygotowany do obrony w 1654 roku. Dbał o zamek Jan III Sobieski, kiedy po upadku Kamieńca Podolskiego stał się Lwów pierwszą warownią kresową. Władca chciał włączyć fortecę w plan otoczenia całego Lwowa wałami ziemnymi. Niestety plan ten nie powiódł się i przez cały XVII wiek nie miał Wysoki Zamek nowoczesnych obwarowań.

Fortalicja ta była nie tylko świadkiem bitew i tragedii ludzkich, ale i miłosnych westchnień. Stąd to w 1675 roku Jan III Sobieski tęsknił i pisał

do swojej żony: *Wszystkie duszy, myśli i życia pociechy najśliczniejsza, itd. – Będąc wczora na Wysokim Zamku, uważałem długo zachodzące nad Jarosławiem słońce i w tamte obłoki biegnące stronę. O! jakożem sobie życzył obrócić się w jaką kropelkę deszczu albo rosy, a spaść na najśliczniejszą busienkę*<sup>21</sup>. Niestety pod koniec XVII wieku zupełnie przestano doceniać rolę Wysokiego Zamku w systemie obronnym Lwowa. Podczas ataku wojsk szwedzkich w 1704 roku nie obsadzono nawet zamku załogą, co miało dla miasta katastrofalne skutki i doprowadziło do jego zdobycia przez Szwedów. Stan, w jakim zapewne znajdował się zamek, dobrze wyraził nieznany poeta.

Dziś twój olbrzym w poniewierce,  
Stare mury robak toczy,  
Stare zbroje rdza pojadła!  
*Tylko dzieje tłą w jskierce; (...)*<sup>22</sup>

System obronny Lwowa niestety nie przedstawiał się pod względem nowoczesności imponująco. Pomimo przebudowy w XVI i XVII wieku nie udało się stworzyć nowoczesnego systemu fortyfikacji bastionowej. W ciągu siedemnastego stulecia narysowano wiele planów wzmocnienia miasta, lecz żadnego z nich nie udało się wykonać. Dlatego tak naprawdę przez ten okres nie wyszedł Lwów poza obwarowania średnio-wieczne. Szczególnym problemem w obronności Lwowa wydają się przedmieścia. Prócz kilku ufortyfikowanych klasztorów i wałów ziemnych, w części niedokończonych, nie było tam innych fortyfikacji. Dlatego zdobyte przez wroga dawały mu schronienie i były bardzo niebezpieczne dla miasta. Brak docenienia walorów obronnych Wysokiego Zamku był przyczyną zajęcia miasta przez nieprzyjaciela w 1704 roku.

Pomimo braku nowoczesnych fortyfikacji miasto nie zostało zdobyte poprzez cały XVII wiek. Udało się mieszkańcom wyjść obronną ręką z trzech dużych oblężeń. W 1648 roku po porażce iławieckiej wojska kozacko-tatarskie prawie przez 20 dni oblegały miasto. Pomimo zdobycia Wysokiego Zamku miasto nie poddało się. Po zapłaceniu okupu napastnicy odступili od oblężenia. Pod Lwów wrócił Chmielnicki w 1655 roku. Tym razem pomagały mu wojska moskiewskie. Dobrze przygotowane do obrony (naprawiono fortyfikacje) miasto pozostało wierne królowi Janowi Kazimierzowi i odparło atak. Oblężenie skończyło się zapłaceniem okupu Chmielnickiemu.

Kiedy w 1672 roku Turcy zdobyli Kamieniec Podolski, wydawało się, że nic nie uchroni Lwowa przed klęską. Lecz i tym razem skończyło się na zapłaceniu okupu (choć zebranego z wielkimi problemami). Po traktacie w Buczaczu, na mocy którego Kamieniec Podolski zajęli Turcy, stał się Lwów główną twierdzą kresową. Niestety bogate z początkiem wieku miasto na skutek oblężeń i grabieży przez skonfederowane wojsko polskie (które siłą odbierało żołąd) podupadło zupełnie. Nie było pieniędzy na ulepszenie fortyfikacji. Na samym początku osiemnastego stulecia miasto zostało zdobyte przez jazdę Karola XII, który nie czekał ani na artylerię, ani na piechotę. Ten fakt może świadczyć, jak słabe były wtedy umocnienia, które miały bronić miasta.

#### PRZYPISY

- <sup>1</sup> J. Długosz, *Roczniki*, s. 179.
- <sup>2</sup> M. Kromer, *Polska czyli o położeniu*, s. 52.
- <sup>3</sup> S. Starowski, *Polska albo opisanie*, s. 90.
- <sup>4</sup> A. Gwagnin, *Z Kronik Sarmacyi Europejskiej*, s. 201.
- <sup>5</sup> Nazwy gór (wzgórz, wzniesień): *Kaiserwald, Wronowskich, Cytadela, Stracenia, Kortumowa* zostały nadane w XIX w.
- <sup>6</sup> Zob. W. Tomkiewicz, *Dzieje obwarowań miejskich*, s. 105–137, M. Prochaska, *Nieznany opis Lwowa Jana Wincentego Smoniewskiego*, [w:] „Rocznik Historyczno-Archivalny”, t. 10, Przemyśl 1995, s. 75, 76, T. Nowak, *Polska technika wojenna XVI–XVIII w.*, Warszawa 1970, s. 236–246, J. Bogdanowski, *Architektura obronna w krajobrazie Polski*, Warszawa–Kraków 1996, s. 85, 97, 102, 104, 109, 110, 114.
- <sup>7</sup> Rawelin – element przeznaczony do obrony kurtyny, umieszczony w fosie przed kurtyną, budowany na planie trójkąta z otwartą szczytą od strony kurtyny.
- <sup>8</sup> Nazwa ta pochodzi od herbu Sforzów umieszczonego na tej bastei. Baszta ta była fundowana przez królową Bonę.
- <sup>9</sup> Cyt. za W. Tomkiewiczem, *Dzieje obwarowań miejskich*, s. 110.
- <sup>10</sup> 1 łokieć = 596 mm
- <sup>11</sup> Prawdopodobnie chodzi o bramę Korniatową należącą do kowalów.
- <sup>12</sup> Beluard (hist.) – bastion.
- <sup>13</sup> Zob. W. Tomkiewicz, *Dzieje obwarowań miejskich*, s. 109, F. Markowski, *Niski Zamek we Lwowie*, [w:] *Kwartalnik Architektury i Urbanistyki*, t. 17, z. 3, Warszawa 1972, s. 177–202.
- <sup>14</sup> W swojej pracy *Niski Zamek we Lwowie* F. Markowski podaje sprzeczne informacje: na s. 182

- pisze za J. B. Zimorowiczem, że Zygmunt I przebywał w zamku, a na s. 198, że dwaj ostatni Jagiellonowie w zamku nie mieszkali.
- <sup>15</sup> Zob. T. Nowak, *Polska technika wojenna XVI–XVIII w.*, Warszawa 1970, s. 236–246.
- <sup>16</sup> Opis Ulyka Werduma [w:] K. Liske, *Cudzoziemcy w Polsce*, Lwów 1876, s. 82.
- <sup>17</sup> *Opis miasta Lwowa przez Jana Alnpeka*, s. 46, 47.
- <sup>18</sup> Zob. A. Czołowski, *Wysoki Zamek*, Lwów 1910.
- <sup>19</sup> Opis Ulyka Werduma [w:] K. Liske, *Cudzo-*

- ziemcy w Polsce*, Lwów 1876, s. 80.
- <sup>20</sup> Zob. też, *Opis Wysokiego Zamku z roku 1570 i 1645* [w:] A. Czołowski, *Wysoki Zamek*, Lwów 1910, (aneks), *Lustracja województwa ruskiego 1661–1665*, cz. 2, „Ziemia Lwowska”, wyd. E. i K. Artamowscy, Warszawa, Wrocław, Kraków, Gdańsk, 1974, s. 3.
- <sup>21</sup> K. Świdziński, *Listy Jana Sobieskiego uporządkowane, pomnożone i objaśnione przez Antoniego Zygmunta Helcla*, Biblioteka Ordynacji Myszkowskiej, Kraków 1860, s. 263.
- <sup>22</sup> *Lwowianin*, t. 4, r. 1836, Lwów 1836.

---

## Rozmowa ze Zbigniewem Chrzanowskim

dokończenie ze s. 39

podejść do Niego i otrzymać papieskie błogosławieństwo. Ja byłem wśród nich, ale dopiero po kilku latach otrzymałem od kogoś z Internetu fotografię, jak stoję tuż przy Papieżu pod lwowskim teatrem. A kiedy Ojciec Święty był w Lubaczowie w 1991 r., wtedy nasz teatr zagrał tam premierę sztuki Karola Wojtyły *Przed sklepem jubilera*. Otrzymaliśmy od Niego dedykację na naszym plakacie, który chronimy jak relikwię.

W czasach, kiedy opuściłem Lwów, byłem związany z Teatrem Polskim w Szczecinie, Teatrem im. Szaniawskiego w Wałbrzychu, Teatrem Współczesnym we Wrocławiu. Ale moje doświadczenia wskazują, że najlepiej czuję się z tym zespołem Polskiego Teatru we Lwowie.

**Kończąc rozmowę, na Pana ręce, w imieniu naszej redakcji, składam gratulacje z okazji tak wspaniałego jubileuszu oraz życzenia dalszych sukcesów scenicznych i osobistych! Serdecznie dziękuję Panu za rozmowę!**

---

ZBIGNIEW CHRZANOWSKI, ur. 1935 we Lwowie. Ukończył slawistykę na Uniwersytecie Lwowskim i wydział reżyserii Wyższej Szkoły Teatralnej przy Teatrze im. Wachtangowa w Moskwie. W latach 1958–1981 pracował jako redaktor programów filmowych, muzycznych i młodzieżowych lwowskiego ośrodka Telewizji Państwowej. Od lat szkolnych uczestniczył w kółku dramatycznym, utworzonym w jednej z polskich szkół przez polonistę prof. Piotra Hausvatera, które w 1958 roku przeistoczyło się w teatr amatorski pod nazwą Polskiego Teatru Ludowego z siedzibą w Lwowskim Domu Nauczyciela. W 1966 r., po śmierci prof. Hausvatera, został kierownikiem artystycznym i reżyserem teatru i tę funkcję piastuje do dnia dzisiejszego (poza jednym okresem w dziejach teatru, gdy w 1981 teatr został zamknięty przez ówczesne władze komunistyczne, posądzony o działalność wyrototową przeciwko państwu radzieckiemu. Kierownik teatru oraz kilku aktorów zostało poddanych represjom. Zbigniew Chrzanowski został zmuszony do opuszczenia Lwowa i w 1983 r. osiadł w RP, jednak nie utracił kontaktu z Teatrem we Lwowie. Zamieszkał w Przemysłu, ale dojeżdżał do Lwowa, by nadal sprawować opiekę reżyserską i artystyczną nad Teatrem.

W jego reżyserii w Teatrze Polskim powstało ponad 60 spektakli. Od 1988 teatr wyjeżdża do RP, biorąc udział w różnych festiwalach. Pod jego kierownictwem Teatr odbywał liczne wyjazdy za granicę, m.in. na Litwę, Łotwę, Białoruś, do Niemiec, Węgier, Anglii i Szwecji. Otrzymał wiele odznaczeń, m.in. „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, Krzyż Oficerski Orderu Zasługi. Posiada wiele dyplomów i nagród. Jest członkiem Związku Artystów Scen Polskich. Jako reżyser związany był z teatrami w Szczecinie, Wrocławiu i Wałbrzychu. Przygotowywał spektakle dla ośrodków telewizyjnych we Wrocławiu i Szczecinie. Współpracował z najstarszym polskim teatrem amatorskim „Fredreum” w Przemysłu. Jako reżyser jest zapraszany do innych teatrów profesjonalnych w państwie Ukraina. Z. Chrzanowski nadal aktywnie działa w zakresie propagowania kultury polskiej, jest reżyserem zarówno przedstawień teatralnych, jak i koncertów przy okazji uroczystości państwowych i festiwali kultury polskiej odbywających się cyklicznie na Ukrainie i w Polsce. Wielokrotnie brał udział w wykonaniach oratorium M. Sołtysa *Śluby Jana Kazimierza*. Z okazji 50-lecia działalności artystycznej lwowskiego Teatru otrzymał srebrny medal „Gloria Artis”.

# LISTY DO REDAKCJI



*Pan Tadeusz Józków, zamieszkały w Miliczu, nawiązuje do wspomnień J. Wolańskiego o Grzymałowie z CL 1/08. Przesyła informację i zadaje pytania:*

Niniejszym informuję, że wspomniany ks. kan. Jan Kruczkiewicz, ostatni proboszcz parafii rzymskokatolickiej z Grzymałowa, po ekspatriacji zamieszkał na terenie diecezji gorzowskiej. Dość dużo ekspatriantów było z Grzymałowa w parafii Wąsosz na Dolnym Śląsku. Podobno w Grzymałowie ożenił się Michał Józków z Chorostkowa, po wojnie zamieszkał w Grudziądzu, jego żona to Joanna Batog, z tego małżeństwa urodził się syn Stanisław w 1943 roku. Po wojnie zamieszkał w miejscowości Ostromecko.

Mnie interesują następujące miejscowości:

1. **C h o r o s t k ó w**, pow. Kopyczyńce, siedziba gminy i parafie obu obrządków katolickich. W roku 1931 liczba mieszkańców w miasteczku wynosiła 6924 osoby, miejsce urodzenia moich rodziców [omawiamy w niniejszym numerze CL]

2. **C e l e j ó w**, pow. Kopyczyńce, gm. Wasylkowce, siedziba obrządku greckokatolickiego, a rzymskokatolickiego w Niżborgu Nowym lub Szlacheckim. W Deryłozach obok Celejowa (2 km) zamieszkał moi rodzice w kwietniu 1931 r., a w roku 1934 mój ojciec założył Polski Związek Strzelecki, był jego prezesem do 1939 r. W 1935 rozpoczęli w Celejowie budowę Polskiego Domu Ludowego. Deryłozy to gmina Horodnica, pow. Kopyczyńce.

3. **H o r o d n i c a**, siedziba parafii obu obrządków katolickich i gminy wiejskiej, pow. Kopyczyńce. W 1931 liczba mieszkańców wynosiła 2923 osoby.

4. **K o p y c z y ń c e**... [były omawiane w CL 2/01].

Ponadto interesują mnie następujące nazwiska:

1. Citków i Józków z Chorostkowa;
2. Romaniszyn i Wójtowicz z Chłopówki.

*Wymienione przez Pana miejscowości postaramy się uwzględnić w naszym Słowniku. Co do nazwisk – zwracamy się do Czytelników: kto mógłby udzielić informacji na temat członków tych rodzin z Chorostkowa i Chłopówki? Ewentualne wiadomości proszę przesyłać wprost do p. Tadeusza Józkowa, 56-300 Milicz, ul. M. Kopernika 4a/1. Z góry w Jego imieniu dziękujemy.*

*Sprostowanie drobnego błędu w artykule „Z dziejów Grzymałowa” (CL1/08, s. 141) nadesłał z Łańcuta p. Adolf Styś:*

W książce *Fara w Łańcutie (...)*, wydanej w 2007 r., na str. 141 podano: *W północnej krypcie (...)* spoczywają:

1. Stanisław Lubomirski (1721–1783), marszałek wielki koronny (...) ożeniony z Izabelą Czartoryską.

2. Izabela Anna Teofila z Czartoryskich Lubomirska (1736–1816), córka Augusta Aleksandra Czartoryskiego (...) żona Stanisława Lubomirskiego, zwana Księżną Marszałkową i pochowana w Wiedniu, prochy sprowadzono do Łańcuta 1885 r.

*Chodzi o rok śmierci Księżnej Marszałkowej, prawidłowo – w 1816 r. (a nie w 1815). Tak też podał autor artykułu, p. Jerzy Wolański, a błąd powstał z naszej winy, o czym napisaliśmy w erracie w następnym numerze (CL 2/08). Panu Adolfowi, wiernemu Czytelnikowi, wyrażamy uznanie za wnikliwe czytanie tekstów w naszym kwartalniku. Dziękujemy!*

*Pan Władysław Kumik poinformował nas drogą internetową, że miejscowość na Dolnym Śląsku, w której osiedlili się wygnańcy z S i d o r o w a, omawianego w naszym Słowniku geogr.-hist. w CL 4/01 (ponad siedem lat temu!) – Warta Bolesławiecka – leży koło Bolesławca, a nie koło Zgorzelca.*

*Dowiadujemy się też, że ostatni dziedzic sidorowski, Pajgert (czy raczej Paygert) został przez Sowietów aresztowany w 1939 r. i skierowany na zsyłkę, jednak udało mu się zbiec z transportu i niezwłocznie przedostał się na stronę okupacji niemieckiej.*

*Dziękujemy za informację, pozdrawiamy Rodaków z Sidorowa!*

# PISARZE I POECI POLSCY XIX/XX WIEKU O WSCHODNIOMAŁOPOLSKIM RODOWODZIE LUB DZIAŁALNOŚCI

1. **JAN KASPROWICZ** (1860–1926), ur. pod Inowrocławiem, ale większość twórczych lat swego życia spędził we Lwowie (1889–1922). Poeta, dramaturg, historyk literatury, tłumacz. We Lwowie najpierw jako redaktor, potem profesor Uniw. Jana Kazimierza, rektor. Czołowy reprezentant poezji młodopolskiej, przeszedł drogę od modernizmu po ekspresjonizm. Najważniejsze dzieła poetyckie: „Księga ubogich”, „Salve Regina”, „Krzak dzikiej róży”.

2. **MARYLA WOLSKA** z Młodnickich (1873–1930), ur. we Lwowie. Autorka poezji modernistycznej, dramatopisarka. Najważniejsze zbiory poetyckie: „Symfonia jesienna”, „Dzbanek malin”; tom wspomnień (z córką Beatą Obertyńską) „Quodlibet”.

3. **LEOPOLD STAFF** (1878–1957), ur. we Lwowie. Poeta, dramatopisarz, tłumacz (z kilku języków), wybitny przedstawiciel klasycyzmu w poezji polskiej XX wieku. Najważniejszy zbiór wierszy: „Sny o potęgze”.

4. **KORNEL MAKUSZYŃSKI** (1884–1953), ur. w Stryju. Pisarz i autor opowiadań, powieści dla dzieci i młodzieży. Najważniejsze dzieła: „Bezgrzeszne lata”, „O dwóch takich, co ukradli księżyc”, „Panna z mokrą głową”, „Szatan z siódmej klasy”, „Przygody Koziółka Matołka”.

5. **HENRYK ZBIERZCHOWSKI** (1881–1942), ur. we Lwowie. Poeta, nowelista, satyryk, redaktor czasopism. Wydał dwa tomiki wierszy i dwie powieści. Pisał pieśni legionowe, teksty do wodewili i szopek. Był znaną postacią w kręgu lwowskiej cyganerii.

6. **JAN PARANDOWSKI** (1895–1978), ur. we Lwowie. Pisarz (oddany głównie kulturze antycznej oraz tematyce lwowskiej), tłumacz z języków klasycznych, recenzent. Główne dzieła: „Dysk olimpijski”, „Mitologia”, „Niebo w płomieniach”, „Zegar słoneczny”, „Alchemia słowa”.

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa. Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym.

## Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska  
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościak, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Maria Taszycka, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska  
Strona internetowa CL: [www.cracovia-leopolis.pl](http://www.cracovia-leopolis.pl)  
Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich  
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: [info@cracovia-leopolis.pl](mailto:info@cracovia-leopolis.pl)  
Informacje o kwartalnikach CL: Romana Machowska, tel. (12) 637 1321

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, e-mail: [fall@fall.pl](mailto:fall@fall.pl)  
Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzińskiego 1, tel. (12) 413 76 51  
Nakład 750 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

# Spis treści

		Rozmowy Janusz M. Paluch ROZMOWA ZE Z. CHRZANOWSKIM	34
Słowo od redakcji DWIE RÓŻNE DROGI	II	Wacław Romiński PAPIERNIA W BUSKU	40
Cytaty MIASTO JAK BRYLANT (3)	1	Jadwiga Sibiga LWOWSCY ARTYŚCI KAMIENIARZE...	42
William Bolesław Kierzyk STACH Z ZAMARSTYNOWA	2	Wiersze Anna Skoczyła SAM NA SAM ZMIERZCH BIAŁO	44
Feliks Budzisz UCZCIJMY GODNIE PAMIĘĆ	4	Proza Franciszek Jaworski ZOFIÓWKA – ŻELAZNA WODA	45
Joanna Halaunbrenner-Lisowska WSPOMNIENIE O WSPANIAŁYCH LWOWIANACH	5	Sylwetki RODZINA BARĄCZÓW	47
Marta Walczewska SIOSTRA MARTA WIECKA...	7	Z żałobnej karty ODSZEDŁ O. MIECZYŚLAW KRĄPIEC	48
Ks. Krzysztof Panasowiec LIST KSIĘDZA PROBOSZCZA...	7	Z tamtej strony CMENTARZ ŁYCZAKOWSKI WE LWOWIE W CZERWCU WYDARZENIA	49
Historia Oskar Stanisław Czarnik TRADYCJE RODZINNE I MOJE ŻYCIE	9	W Krakowie i dalej U OJCÓW DOMINIKANÓW ODESZŁA UCZONA	49
Dariusz Jania FORTYFIKACJE LWOWA W XVII WIEKU	14	Kultura ♦ Nauka I MUZEALNE SPOTKANIA Z KRESAMI TEATR LWOWSKI W KRAKOWIE KRONIKA	49
Wspomnienia Remigiusz Węgrzynowicz W PAMIĘCI STARYCH ALBUMÓW	19	Naszym zdaniem BRONOWICE I KLEPARÓW	52
Tadeusz Olszański ULICA ORMIAŃSKA	22	Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI WERTUJĄC WYDAWNICTWA ZIEMIA DROHOBYCKA	53
Helena Żołnierkowa GARŚĆ REFLEKSJI O LATACH PRZEDWOJENNYCH	26	Archiwum KSIĘGA HUMORU LWOWSKIEGO	53
Archiwum NASZE GRZYBY NAJGORSZE?	21	Listy	54
Słownik geograficzno- -historyczny CHOROSTKÓW ♦ KUPICZWOŁA ♦ ŁAWOCZNE ♦ MSZANIEC ♦ STRZEMIEN	27		55
Leszek Sawicki KORZENIE, DRZEWO, ŻŁOTE LIŚCIE	28		67